PISARZE Z ARCHIPELAGU WOLNOŚCI
LEWICA W PUŁAPCE ZŁEJ WŁADZY
„DORWAĆ MACIEREWICZA". KOLEJNA ZAKŁAMANA OPERACJA RZĄDZĄCYCH
SIECI
NAWROCKI CZY CZARNEK?
PiS BLISKO ROZSTRZYGNIĘCIA
SIECI
NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
45 (623) 2024
4–11 listopada 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)
PRZEŁOMOWE WYBORY W USA
JAK TRUMP MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT I POLSKĘ
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
45
9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 12 XI 2024 r.
eprasa.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl-e34f39cd17

Rządy bez nadziei

Zszokowały mnie słowa, które w jednym z wywiadów wypowiedział ostatnio szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jan Grabiec. Brzmiało to mniej więcej tak: „Wyborcy wynajęli nas do brudnej roboty". Mówi to potężny polityk, trzymający sznurki wielu spraw. Przez brudną robotę minister rozumie „rozliczenia" z poprzednikami, czyli mówiąc po ludzku – zemstę. Fakty są bowiem nieprzyjemne dla rządzących: po roku od wyborów, po ośmiu miesiącach od rzucenia połowy chyba aparatu państwowego na szukanie haków na poprzedników, nie znaleziono niczego. Nie tylko 100 mld zł, o których jako rzekomo ukradzionych i straconych mówił Donald Tusk, ale nawet 1 mld, nawet 1 mln, które ktoś by ukradł. Większość rzekomych pisowskich afer, którymi tak się podniecają ludzie koalicji 13 grudnia, polega na próbie kryminalizacji normalnej działalności publicznej, państwowej, społecznej i gospodarczej.

Cała Polska zobaczyła ten kontrast między propagandą a prawdą, gdy zza krat wyszli ks. Michał Olszewski i dwie urzędniczki. Oto rzekomo „zorganizowana grupa przestępcza" okazała się składać z pełnego wiary i pokory kapłana oraz dwóch normalnych, skromnych kobiet, brutalnie wyrwanych z codziennego życia przez potężną maszynę państwa użytą w imię polityki. Nawet jeśli prokurator miał do nich jakieś pytania, coś trzeba było wyjaśnić, nie było żadnego uzasadnienia, by trzymać ich wiele miesięcy w celach, na dodatek jako rzekomo szczególnie niebezpiecznych więźniów, z cyklicznym zapalaniem światła w nocy włącznie. Dziesiątki osób, które nie są tak znane albo z obawy przed stygmatyzacją nie nagłaśniają dotykających ich represji, przeżywa podobne sytuacje. Jedyną przewiną jest najczęściej aktywność społeczna lub polityczna za rządów PiS.

Tym zajmuje się dziś władza i jak wynika ze słów ministra Grabca, tak postrzega swoją misję. Prawdziwie brudna robota, niezbędna, by państwo dobrze funkcjonowało, leży odłogiem. Rządzący oszukali powodzian, którzy zostali sami z najtrudniejszymi wyzwaniami po katastrofie. Nabrali pacjentów odbijających się od drzwi gabinetów lekarskich w rytm bełkotu pani minister Izabeli Leszczyny o tym, że jednak nie ma czarodziejskiej różdżki i innych polityków bredzących o złym PiS, które dawało szpitalom za dużo pieniędzy i te się przyzwyczaiły do tego „luksusu". Wiele grup społecznych i zawodowych przeczuwa, jak trudno będzie godnie przeżyć te rządy, inne już tego doświadczają. 15 października wielu ludzi głosowało w jakimś otumanieniu, wbrew własnym interesom, wielu gorzko tego pożałuje.

Nie ma ani jednego wskaźnika gospodarczego, który pokazywałby poprawę życia Polaków. Ani jednego! „Konsument umarł" – komentuje dramatyczny spadek konsumpcji jeden z banków. W budżecie powiększa się dziura ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Podatki przestały spływać, bo znów bezkarnie szaleją złodziejskie mafie. Na twarzach rządzących widać bezradność i tylko jeden plan: dojechać do wyborów prezydenckich, jeszcze pooszukiwać, a potem na ostro przykręcić Polakom śrubę, „domknąć system", jak to szczerze ujął Grzegorz Schetyna, i zacząć wyprzedawać Polskę za bezcen, redukując ją państwowo do roli niemieckiego landu.

Najbardziej w tym wszystkim szokuje brak jakiejkolwiek chęci dania Polakom nadziei. Nic. Zero. Nikt tam nawet nie udaje, że wie, jak to poskładać, że ma pomysł na jakiś rozwój, lepsze życie. Już nawet nie mówię o tak szybko zgaszonych narodowych ambicjach, ale o utrzymaniu choćby tego, co udało się uzyskać za rządów Prawa i Sprawiedliwości. Ma być gorzej i kropka, ma być drożyzna, ma nie być programów prorodzinnych i prospołecznych, inwestycji, stabilności. Szczerość w tym okrucieństwie wobec Polaków połączona z bezczelnością w łamaniu prawa ma w sobie coś z rządów zewnętrznych. Wszyscy to wyczuwamy.

Czy hałas propagandy zdoła na dłuższą metę zagłuszyć tę smutną prawdę? Czy Polacy obudzą się, zanim bezpowrotnie stracimy większość szans? Pomysł władzy polega na zakrzyczeniu tej prawdy. Sondaże partyjne sugerują, że na razie jakoś się to udaje. Ale gdy spojrzymy na dane mówiące o nastrojach Polaków i zadowoleniu z kierunku, w którym idą sprawy w Polsce, zobaczymy, że podskórnie wzbiera rzeka buntu. Nikt nie uważa, że żyje się lepiej i nikt nie wierzy, że pod Tuskiem kiedykolwiek będzie lepiej. Prędzej czy później to przełoży się na partyjne sondaże. Nie da się bowiem żyć bez nadziei na dobrą przyszłość, a to znak rozpoznawczy tej koalicji. Dziś opozycja musi się przygotowywać z energią na ten moment.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl e34f39cd17

SIECI

spis treści

28 Chwała i niesława
Stanisław Janecki

34 Lewicowa troska o katolicki elektorat
Maciej Walaszczyk

50 Kloc Trzaskowskiego
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

5 **ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BITWA POD ŻYRANDOLEM**
Krzysztof Feusette

9 **KOMU GARNITUR, KOMU?**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WYSŁUCHANIA I PRZESŁUCHANIA**
Daniel Obajtek

13 **KLIMATYCZNA HIPOKRYZJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**
Michał Korsun

16 **PIĘKNO JEST KLOCEM**
Jan Pietrzak

16 **CICHA OFIARA POPULIZMU**
Samuel Pereira

17 **„KREATYWNA" KAPITULACJA**
Arkadiusz Mularczyk

18 **BYŁEM MULTIKULTI**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **JAK PREZYDENT TRUMP MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT I POLSKĘ**
Dariusz Matuszak

23 **OCALONY**
Jan Rokita

26 **GRANICA KŁAMSTWA**
Aleksandra Rybińska

KRAJ

28 **CHWAŁA I NIESŁAWA**
Stanisław Janecki

31 **KTO KANDYDATEM PiS NA PREZYDENTA?**
Piotr Gursztyn

34 **LEWICOWA TROSKA O KATOLICKI ELEKTORAT**
Maciej Walaszczyk

36 **LEWICA W PUŁAPCE**
Z Piotrem Kusznierukiem rozmawia Dorota Łosiewicz

40 **MASKIROWKA 2024**
Marek Pyza

44 **UWOLNIENI**
Goran Andrijanić

46 **KTO NALEŻAŁ DO SIECI RUBCOWA?**
Jakub Augustyn Maciejewski

48 **REWOLUCJA W URZĘDZIE KOMBATANCKIM**
Stanisław Płużański

50 **KLOC TRZASKOWSKIEGO**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

53 **DNO ROSYJSKICH MOŻLIWOŚCI JUŻ WIDAĆ**
Marek Budzisz

HISTORIA

56 **SKLEJANIE NIEPODLEGŁOŚCI**
Z prof. Józefem Brynkusem rozmawia Piotr Słabek

60 **PISARZE Z ARCHIPELAGU WOLNOŚCI**
Teresa Bochwic

SIECI KULTURY

63 **ICH TROJE W DUETACH**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **MOC MODLITWY**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: CECYLIA MALIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI…**
Ryszard Czarnecki

74 **AI – GRAJMY NA DWIE RĘCE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl e34f39cd17

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zanim będzie za późno

Priorytetem dla rządu Tuska nie są ofiary powodzi, nie jest gospodarka ani obronność, priorytetem jest penalizacja „mowy nienawiści", czyli wprowadzenie do polskiego systemu prawnego cenzury.

Pierwszy jej projekt został fundamentalnie skrytykowany przez Krajową Radę Sądownictwa i Sąd Najwyższy, które uznały, że stoi on w sprzeczności z konstytucją. Nie zaakceptowała go nawet Krajowa Rada Prokuratorów powołana przez ministra Bodnara. Ale tempo prac nad cenzurą się nie zmniejsza. Szczególnie zaangażowany w sprawę jest minister ds. równości (chyba Monty Python wymyślił resort i jego szefową) Katarzyna Kotula. Dla niej to racja istnienia.

„Mowa nienawiści" to stygmatyzowanie ludzi ze względu na ich cechy, poglądy tudzież pozycję społeczną. Czy czeka nas więc seria procesów wymierzonych w dehumanizację obywateli dlatego, że nie są „młodymi, wykształconymi, z wielkich miast"?

Zespół przygotowujący ustawę ma m.in.: „wskazywać podstawowe obszary braku właściwej reakcji, zwłaszcza w aspekcie obowiązującego sytemu prawnego, wraz z projektami zmian legislacyjnych". Czy znaczy to, że wróci do wyroków uniewinniających bojówkarzy, którzy zrywali msze, a skazywały tych, którzy usiłowali kościołów bronić? Przecież sądy uniemożliwiały ochronę miejsc chrześcijańskiego kultu i w sumie zachęcały do działań wymierzonych w katolików. Czy „przeprowadzone zostaną konsultacje z sędziami, prokuratorami i przedstawicielami innych zawodów prawniczych oraz organizacji społecznych" w celu „wskazania braku właściwej reakcji" oraz braku takiej wobec kampanii organizowanej przez Martę Lempart? Przecież jej celem było odczłowieczanie tych, którzy mają inne zdanie na temat aborcji. Czy media organizujące kampanię nienawiści przeciwko katolikom zostaną pociągnięte do odpowiedzialności?

Ponure żarty. Walka z „mową nienawiści" to cenzura, która zabezpiecza dominującą ideologię. Ma zapewnić występującej w jej imieniu oligarchii pełnię władzy nad językiem i rzeczywistością społeczną. Norma ma zostać zastąpiona przez jej arbitralną decyzję, a natura przez wolę rządzących. Dlatego na początek prawnie zagwarantowane mają być roszczenia lobby LGBT+.

Próbkę tego mamy w ostatnich wypowiedziach „ministry" Kotuli – rzeczywiście określanie osoby tej jako ministra brzmi jak żart: „Ta ustawa jest potrzebna, dlatego, żeby stworzyć strefę bezpieczeństwa dla tych osób, które przez ostatnie osiem lat, a szczególnie w okresach kampanii wyborczej parlamentarnej i prezydenckiej, bo słyszeliśmy ze strony prezydenta Andrzeja Dudy, czołowych polityków PiS np. ówczesnego ministra edukacji Przemysława Czarnka haniebne słowa, które były mową nienawiści, zaplanowaną mową nienawiści w cynicznej, politycznej grze prawicy przeciwko swoim oponentom politycznym [...] Dehumanizowało się osoby ze społeczności LGBT+, oskarżało się te osoby o czyny pedofilskie. Ściek tego hejtu, tej mowy nienawiści był dostępny w przestrzeni Internetu, przestrzeni publicznej i co gorsza ze strony prawicy nie było tu żadnych zahamowań".

Wypowiedź Kotuli jest wzorcowym przykładem mowy nienawiści: najgorsze epitety i żadnego uzasadnienia. „Ministra" kłamie: ani Czarnek, ani tym bardziej prezydent nie mówili niczego przeciw „społeczności LGBT+". Faktem jest, że zdecydowaną większość czynów pedofilskich popełniają homoseksualiści. Z wypowiedzi Kotuli wynika, że nie wolno będzie tego odnotowywać.

Penalizacja „mowy nienawiści" ma uniemożliwić pojawienie się w przestrzeni publicznej niewygodnych dla rządzących treści i zachowań. Ostatnio w Anglii skazany został na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu oraz grzywnę w wysokości 9 tys. funtów weteran wojenny. Ukryty za drzewem i odwrócony od kliniki aborcyjnej, 50 m od niej, cicho modlił się za swojego nienarodzonego syna. Nie złamał żadnego zapisu, ale wystarczyła intencja, którą ujawnił dopiero na żądanie sądu. Walka z „mową nienawiści" ma przeorientować nasze postawy.

Zgodnie z logiką dominującej ideologii ministerstwo równości jest departamentem dbającym o nierówność. Wpływowym środowiskom zapewnić ma przywileje i karać jakiekolwiek zastrzeżenia wobec panującej ortodoksji. W polskim (i każdym zachodnim) kodeksie karnym znajdują się paragrafy przeciwko obrażaniu i nawoływaniu do agresji wobec dowolnych grup osób. Jeśli powoływane są dodatkowe ustawy, które szczególnie zajmują się obroną określonych zbiorowości, a więc preferują je, powinna zapalać się czerwona lampka.

„Mowa nienawiści" jest określeniem arbitralnym, a definiują ją najbardziej wpływowe środowiska. Staje się więc idealnym uzasadnieniem cenzury i budowy nowego totalitaryzmu, gdyż rozszerzać ją można na wszelkie dziedziny życia i obejmować także pozajęzykowe zachowania. Cenzura i totalitaryzm zawsze występują pod wzniosłymi szyldami.

Lewica z pasją walczy o cenzurę. Projektowany przez nią „nowy człowiek" ma być wolny od wątpliwości.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e34f39cd17

Sygnalista nadaje

Donaldowi zrobiła się dziura. Duża, nawet bardzo duża. W budżecie. Symboliczne 240 mld zł. Nie przejmujmy się. Przecież nic nie powinno zachwiać wiarą w uśmiechniętą Polskę i słowa pana premiera (z kampanii wyborczej, kiedy jeszcze nim nie był): „Mamy wszystko dokładnie policzone i każda z danych naszych 100 gwarancji zostanie spełniona w pierwsze 100 dni naszego rządzenia, natychmiast i bezwarunkowo. Zlikwidujemy drożyznę, obniżymy cenę gazu i prądu o połowę, benzyna będzie po 5 zł, a kwota wolna od podatku wyniesie 60 tys. na rok, bo wiemy, jak to zrobić. Jeszcze raz gwarantuję to państwu...".

A u Donalda słowo droższe od pieniędzy. To dlatego o dziurze mówił niejaki Domański, bo oficjalny przekaz jest taki, że to dziura Domańskiego, a nie Tuska. A ten Domański – bo ktoś może gościa nie kojarzyć – to taki facet z twarzy podobny do nikogo, który u Donalda robi za ministra finansów. Czyli frajera, który ma mówić te złe rzeczy, które Donald wymyślił, ale sam nie chce być z nimi kojarzony. Bo mimo wszystko lubi być lubiany. A teraz – raz, dwa, trzy – że to wszystko wina PiS.

Donald lubi być lubiany i potrafi cieszyć się z rzeczy małych, gdy nie ma szansy na radość z rzeczy wielkich. Chwilę osłody przyniósł mu sondaż, który pokazuje wielkie przewagi jego partii nad kaczyzmem. Sondaż wykonany przez rządowy ośrodek, czyli CBOS, ale przecież za coś biorą publiczne pieniądze. Przecież nie za to, żeby stresować ludzi władzy tym, że mogą przestać nimi być i znów będą musieli podjąć niewdzięczną misję totalnej opozycji.

Personel CBOS był przy tym na tyle sprytny, że pokazał Tuskowi odpowiedni sondaż. To znaczy partyjny. A tego drugiego o liczbie przeciwników i zwolenników rządu już przezornie wolał nie pokazywać. I słusznie, bo wynika z niego, że ponad połowa Polaków to niewdzięcznicy, którzy nie doceniają ciężkiej pracy Ukochanego Przywódcy Uśmiechniętej Polski. Przecież wiadomo, że pan premier „ciągle pracuje! Wszystkiego przypilnuje i jeszcze inni, niektórzy, wtykają mu szpilki. To nie ludzie – to wilki!".

Z nauk tuskizmu-donaldyzmu: „Naczelną zasadą polityki finansowej mojego rządu będzie stopniowe obniżanie podatków i innych danin publicznych". Pamiętają państwo te piękne słowa Donalda Tuska? Jak pamiętacie, to zapomnijcie. Albo wytłumaczcie sobie, że będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy system się domknie, a PiS-owców się zamknie.

Na razie jest tak, że z powodu Wielkiej Dziury trzeba zapłacić trochę więcej. Walka z kaczyzmem zmusiła rząd do tego, aby zamrozić progi podatkowe, a to znaczy, że dużo ludzi zacznie płacić PiT nie 12-procentowy, ale 32-procentowy. Ponoć dotyczy to nawet setek tysięcy ludzi, którzy dzięki temu dostaną wypłatę niższą nawet o kilka tysięcy złotych miesięcznie. Rząd jednak nie powinien się obawiać ich buntu, bo obejmie to ludzi zamożniejszych, lepiej wykształconych i z dużych ośrodków. Czyli nie PiS-owców, ale własnych wyborców. Tych, którzy 15 października wybrali Uśmiechniętą Polskę, a chcącemu nie dzieje się przecież krzywda...

Dramatyczna sytuacja w Warszawie. Naprawdę bardzo poważna, bo ***Rafał Trzaskowski*** osobiście wsiadł do tramwaju i w roli pasażera przejechał kilka przystanków. Ostatni raz to robił, gdy walczył o prezydenturę kraju w 2020 r. Wprawdzie miał miejsce siedzące, ale słaba to pociecha – bo proszę sobie wyobrazić – w tramwajach nie ma miejsc VIP ani nawet klasy business. Wszyscy jeżdżą w ekonomicznej. Naprawdę, to nie żart!

W każdym razie Rafał „Silny prezydent, wspólna Polska" Trzaskowski poczuł się zaniepokojony, że komu innemu zostanie powierzona misja domknięcia systemu. Po mieście chodzi

eprasa.pl e34f39cd17

Radek Sikorski i opowiada, że to on będzie kandydatem Uśmiechniętej Polski w wyborach prezydenckich. To przerażająca wizja. Nie względu na Radka ani nawet na jego żonę, ale z tego powodu, że niejaki Paweł Wroński zostanie prezydenckim ministrem. Wprawdzie zgolił sobie bródkę-alfonsówkę spod dolnej wargi, ale i tak wygląda jak gość, który całe życie spędził w „Wyborczej".

Jak Radek Rafałowi, tak Rafał Radkowi – mówi stare platformerskie przysłowie. Ludzie Radka nabijają się z Rafała, że swoją największą dumę inwestycyjną, czyli linię tramwajową na Wilanów, budował dłużej, niż powstawała druga linia metra w Sofii. Może to prawda, ale za to przyjaciele Rafała zaczęli z lubością cytować co głupsze wypowiedzi Radka. Zwłaszcza te, kiedy dał się nagrać w knajpie u Sowy. Lubią przypominać też to, co Radek i jego żona mówili o sojuszu z Ameryką oraz o Donaldzie Trumpie (tak, Trzaskowski bardzo liczy na to, że wybory za Oceanem wygra Trump). A nawet... uwaga, uwaga! Postawili kwestię, czy kandydatem na prezydenta może być człowiek odpowiedzialny za reset z Rosją i który ma tyle wspólnych fotek z Ławrowem. Tu już pojechali po PiS-owsku.

Trzeba dodać, że Sikorski przeraził też zaprzyjaźnione media. Kanał na „Wyborczą" przez Wrońskiego niewiele pomógł. Może dlatego, że to jednak Ratusz hojnie wspomagał finansowo media walczące o Uśmiechniętą Polskę. A Radek słynie z tego, że jest złotówką. Na dodatek miał zwąchać się z PSL-owcami w sprawie poparcia jego kandydatury. To jednak nie jest pewne. Prędzej mogło chodzić o to, aby tym zarzutem oczernić Radka. A to dlatego, że w opinii najgorętszych fanatyków Demokracji Walczącej PSL to prawie już jak PiS. Stronnictwo o niczym innym nie marzy, tylko o tym, jak zdradzić koalicję. Knuje z klerem i intryguje z faszystami. Co drugi artykuł o PSL w „Wyborczej" jest właśnie o tym. Skoro „GW" tak pisze, to pewnie tak jest.

Polaryzacja Polski postępuje. Trwa ostry konflikt o słynny już Klocek Trzaskowskiego. Osobom niezorientowanym (o ile takie są) wyjaśniamy, że chodzi o klocka, którego prezydent stolicy postawił koło Pekinu. Niestety nie w Chinach, ale w Warszawie, obok Pałacu Kultury i Nauki. Na razie jest biały (spokojnie, niedługo będzie szarobury) i wzbudził ogromny spór. Jeśli ktoś chce się uważać za demokratę walczącego i osobę lepszą od pisiorów, to musi zadeklarować, że obiekt wygląda cudownie. Bo pisiory mówią, że jest okropny. Ale oni muszą tak mówić, bo dostali przekaz dnia z Nowogrodzkiej, a poza tym są niewykształceni i nieeuropejscy.

Straszne rzeczy dzieją się w prokuraturze. Zakamuflowani ziobryści nadal przetrzymują ***Janusza Palikota***. Biedak spędził 60. urodziny za kratami i nie może wyjść nawet za kaucją. Co gorsza, ofiarą intrygi ziobrystów padł zasłużony pracownik „GW" Wojciech „Osiem gwiazdek" Czuchnowski. Dotarł on bowiem do akt w sprawie Funduszu Sprawiedliwości (dokładniej mówiąc, to akta dotarły do niego). Na tej podstawie napisał oskarżycielski tekst o tym, że ks. Olszewski potrafi korzystać z bankomatu, a nawet płacić kartą kredytową. Szczytem zwyrodnienia duchownego jest to, że sprzedawał skarpetki. A może kupował? Nieważne, to okoliczność całkowicie obciążająca. Demaskacja zrobiła wielkie wrażenie. Uśmiechnięta Polska odetchnęła, bo już się bała, że bodnarowska prokuratura nie ma żadnych atutów. A prawacka Polska znowu się wściekła na „Wyborczą". Potem głowy ostygły i okazało się, że w tekście Czuchnowskiego nie ma niczego, co da się określić jako przestępstwo. A zadowoleni adwokaci księdza zaczęli straszyć, że teraz puszczą z torbami niezłomnego redaktora i innych, którzy powtarzali jego rewelacje. Wyszło na to, że ziobryści znów wpuścili Czuchnowskiego w maliny. I to bardzo kolczaste.

Jeśli chodzi o Radio Erewań, filia nad Wisłą, to ziobryści wkręcili też pana Korusa z „Newsweeka". Ten tropiciel zbrodni kaczyzmu napisał, że jakaś pani Lewandowska z ziobrystowskiego Funduszu Sprawiedliwości jest krewną prawackiego mecenasa Lewandowskiego. Perfidnie wykorzystali szczery zapał walczącego demokraty, naiwnego, ale za to bardzo zaangażowanego w walce z prawactwem. Potem głupio wyszło, bo okazało się, że Lewandowskich jest w Polsce dość dużo (a redaktor tego nie wiedział) i że ta pani Lewandowska nie jest krewną tego mecenasa Lewandowskiego. A nawet się nie znają. Więc jeśli teraz pojawi się apel o internetową zbiórkę na redaktora Korusa, to wiadomo, że te pieniądze pójdą do kieszeni przebiegłego mecenasa.

Mokra nawierzchnia autostrady nie dostosowała się do prędkości służbowego auta którym mknął komendant główny policji Marek Boroń – orzekła specjalna komisja badająca dachowanie samochodu wiozącego naczelnego oberpolicmajstra na spotkanie z premierem Tuskiem. Było to wtedy, gdy szef rządu heroicznie uczestniczył w transmisjach telewizyjnych z terenów powodziowych. Komendant Boroń trochę się zagapił i zbyt późno wyjechał na Dolny Śląsk. Aby to naprawić, szybko wyruszył z Warszawy. Niestety choć autostrada była pusta, na drodze stanęła zdradliwa kałuża.

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl e34f39cd17

Bitwa pod żyrandolem

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: I co ja mam z wami zrobić?
Czarzasty: Ja chcę tylko laskę marszałkowską...
Sikorski: Zebraliśmy się w innym celu. Pan premier zapowiedział, że kandydatem na prezydenta będzie ktoś, kto przemawiał na ostatniej konwencji, prawda?
Hartwich: I dlatego przyszłam.
Sikorski: Pani nie ma pojęcia o bezpieczeństwie, a to ono będzie decydować w wyborach.
Trzaskowski: Ja już przejrzałem schrony w Warszawie.
Tusk: Chwileczkę, kto prowadzi to zebranie? Po pierwsze, pani Hartwich – proszę zrobić kawę i zaczekać w kuchni. Pan Szłapka stanie na czatach przy drzwiach, żeby nikt nie podsłuchiwał. Wyboru dokonam między panem Rafałem i panem Radkiem...
Trzaskowski: Co to w ogóle za imię: Radek? To jest niepoważne.
Sikorski: A zdejmowanie krzyży w Polsce jest poważne?
Trzaskowski: A reset z Rosją jest?
Sikorski: Mnie Niemcy nie sponsorują obozu dla młodzieżówek.
Trzaskowski: Ale ich błagałeś, żeby wzięli przywództwo w Europie.
Sikorski: A ty masz lotnisko w Berlinie.
Szłapka: Stój, kto idzie?!
Tusk: Spokojnie, zaprosiłem pana Szymka i pana Władka, żeby też się wypowiedzieli. Ktoś nas będzie musiał w drugiej turze poprzeć.
Kosiniak-Kamysz: No więc tak: moja koncepcja jest genialna. Proponuję, by cała koalicja rządowa zgłosiła jednego kandydata.
Tusk: Teraz?!
Hołownia: Władku, przecież ja miałem kandydować!
Kosiniak-Kamysz: Sam mówiłeś, że umowa to nie jest Pismo Święte.
Czarzasty: Szymonie, ale laskę mi oddasz, co?
Hołownia: Niby którą?
Sikorski: No przecież nie tę, którą Amerykanom robiliśmy.
Trzaskowski: Ty wolisz Ławrowa, co?
Sikorski: Chłopczyku, jak ciebie od „dupiarzy" wyzywali, ja już w Afganistanie walczyłem!
Trzaskowski: Ja z tego wyrosłem, a ty się dalej ślinisz przy stewardesach.
Hołownia: Panowie, tak nie można. To znaczy jeśli ma być jeden kandydat, to już widać, że żaden z was. To musiałby być pan premier Donald. No, ale kto wtedy zostanie premierem?
Kosiniak-Kamysz: Akurat są wśród nas znakomici pretendenci.
Hartwich: I pretendentki.
Tusk: Czy pani może się uspokoić? Kto panią w ogóle wziął na listy?
Hartwich: No, organy. Organa. Organizacje porza... poza... spozarządowe.
Kosiniak-Kamysz: Dobra, mam plan!
Tusk: Już mówiłeś. Beznadziejny.
Hołownia: Dziękuję, bo już myślałem, że będę musiał wgnieść go w glebę. Zdrajca.
Kosiniak-Kamysz: Trzeba było Muchę zakneblować, jak mówiła, że już jest po Trzeciej Drodze. Panie premierze, pan musi wystartować!
Tusk: Przecież obiecałem, że w to nie wchodzę.
Czarzasty: I co z tego? Właśnie dobrze, bo będzie pan premier konsekwentny. Jak obiecał, to wiadomo, że nic z tego nie będzie.
Tusk: Oj, bo wy jeszcze tej laski nie macie...
Czarzasty: Lewica zgłasza panią Dziemianowicz-Bąk.
Tusk: Kogo?
Czarzasty: Panią minister od równouprawnienia.
Tusk: A, to ta w sukience, co spot nagrała o „babciowym" i myślała, że nie zauważę? Słaba propozycja, doceniam.
Kosiniak-Kamysz: To co, zgadza się pan premier na jednego kandydata?
Tusk: Nie mogę, choćbym chciał. Bo jako premier mogę więcej. Poza tym chłopakom obiecałem, że wystartują.
Trzaskowski: Jak to chłopakom? Mnie i komu?
Sikorski: I mnie, głąbie.
Trzaskowski: Thank you, Soviet Union...
Sikorski: Dziękuj, dziękuj...
Trzaskowski: O co ci chodzi?
Sikorski: O ten tramwaj, co nie chodzi.
Trzaskowski: Właśnie, o to chodzi, że chodzi i to na Wilanów. Nawet filmik sobie nagrałem z otwarcia. A ty co ostatnio otworzyłeś? Poza gębą, oczywiście?
Tusk: Uspokójcie się, bo was porozsadzam. Jak wy się zachowujecie? Co ja powiedziałem?! Że swoich w pierwszej turze nie atakujemy, a w drugiej wszyscy na jednego. To wy się już teraz żrecie?
Sikorski: Zróbmy prawybory.
Trzaskowski: Z Bronkiem przerżnąłeś, potem z Kidawą walkowerem...
Sikorski: Ja? Ty też się nie zgłosiłeś.
Trzaskowski: Ale moralnie wygrałem. Pan premier może potwierdzić.
Tusk: Potwierdzam. Rafał jest prezydentem nie tylko Warszawy. Gdyby nie to, że przegrał, to by od dawna balował w pałacu prezydenckim.
Sikorski: I to go właśnie obciąża. Już raz próbował i przegrał. A ja jestem nowy.
Trzaskowski: Byłeś w pisowskim rządzie.
Sikorski: Pan premier mi wybaczył. Więcej watah dorżnąłem niż ty.
Tusk: Spokój! Żaden się nie nadaje.
Hartwich: To może...
Tusk: Gdzie jest Szłapka?
Szłapka: Ojej... Taki zaszczyt... Nie, mnie to się chyba śni... Nawet marzyć o tym nie mogłem...
Tusk: Stul dziób. Pójdziesz teraz do mediów i powiesz, że pan premier zaczyna się wahać. I patrz na twarze, notuj każdy grymas, jasne?
Szłapka: Jak słońce Petru!

eprasa.pl e34f39cd17

Komu garnitur, komu?

Być może minister Henning-Kloska ma satysfakcję, że Polacy, biedniejąc, wspomagają Ziemię

Wspominanie słów urzędującego premiera sprzed wyborów i zestawienie ich z rzeczywistością lub jego własnymi, nowszymi słowami, to niezmiennie świetna zabawa, tak duży rozdźwięk jest między tym, co miało być, a co jest. Np. miesiąc przed wyborami na konwencji KO w Tarnowie Donald Tusk mówił: „Te 100 konkretów doprowadzi do tego, że ludzie w Polsce będą mieli więcej w kieszeni, będzie taniej w polskich sklepach i będzie lepiej w każdym polskim domu".

Jak jest? W sklepach jest drożej, m.in. z powodu wzrostu VAT na żywność. W polskich domach jest gorzej choćby z powodu likwidacji tarczy energetycznej i wzrostu cen energii. Pod górkę mają też pacjenci, którzy nie będą mogli skorzystać z programów lekowych, czy ci, którym przesunięto planowe zabiegi.

Wróćmy jednak do portfeli Polaków. Główny Urząd Statystyczny podał bardzo złe dane o sprzedaży detalicznej we wrześniu, która uplasowała się radykalnie poniżej oczekiwań analityków. We wrześniu 2024 r. sprzedaż detaliczna w cenach stałych spadła o 3 proc. w ujęciu rocznym, a w ujęciu miesięcznym aż o 5,7 proc. Na czym oszczędzają Polacy? Głównie na odzieży (spadek o 12,5 proc. rok do roku), meblach, domowej elektronice i jedzeniu (spadek o 7,6 proc. rok do roku). Spadki objęły niemal każdą kategorię. Jest tak źle, że analitycy mBanku ogłosili śmierć konsumenta: „Konsument umarł. Sprzedaż detaliczna we wrześniu fatalna i aż trudno uwierzyć w tak dużą pomyłkę konsensusu prognoz oraz sam wynik. Co tu się podziało? Słabość widać po całej linii. Gdyby nie sprzedaż samochodów, byłoby dużo gorzej".

Jedni twierdzą, że Polacy chcą odbudować oszczędności, inni, że swoje zrobił wzrost VAT na żywność i wzrost cen energii, co pociągnęło za sobą konieczność ograniczenia konsumpcji. Jednak gdy większość analityków rwie włosy z głowy, są w tym rządzie tacy, którzy się cieszą: „Z tego co widziałam, to spadają głównie nie rzeczy pierwszej potrzeby, tylko raczej takie, bez których czasami możemy się obyć. Tekstylia z punktu widzenia klimatu to nawet dobrze, jak będziemy mniej tego typu rzeczy kupować, bo to jednak powoduje właśnie emisję" – skomentowała fatalne dane z rynku minister klimatu i środowiska Paulina Henning-Kloska. Innymi słowy, jej zdaniem fakt, że Polacy kupują mniej ubrań czy butów, jest „dobry dla klimatu". Raczej jednak ludzie nie przestali kupować dlatego, że pani minister ich do tego przekonała, tylko dlatego, że mają mniej pieniędzy. Być może minister Henning-Kloska ma satysfakcję, że Polacy, biedniejąc, wspomagają Ziemię, ale czy cieszą się rodzice, którzy muszą odmówić dzieciom zakupu nowej kurtki czy butów? Wątpliwe. Kiedyś Stefan Niesiołowski proponował głodnym dzieciom mirabelki i szczaw z nasypu. A co proponuje pani minister? Second handy? I pomyśleć, że Izabela Leszczyna, koleżanka z rządu pani Henning-Kloski, mówiła w kampanii w Radiu ZET: „Chcemy bogatej Polski, zamożnych Polaków, długotrwałego dobrobytu". Choć mówią, że chcieć to móc, to jednak wyszło inaczej, bo jak wiadomo pani Leszczyna zgubiła lub popsuła czarodziejską różdżkę, za dotknięciem której wszystko miało się zmienić.

Są jednak tacy, którzy zwiększają zakupy tekstyliów. Np. ministerstwa. Jak podała „Rzeczpospolita", Ministerstwo Aktywów Państwowych zamówiło garnitury z koszulami, butami, a nawet kamizelkami. „Umowę na »Sukcesywny zakup odzieży służbowej męskiej dla pracowników MAP« znaleźliśmy w rejestrze umów Ministerstwa Aktywów Państwowych. Zlecenie o wartości ponad 15,5 tys. zł otrzymało przedsiębiorstwo Roland Dariusza Rogowskiego z Płońska. To rodzinna firma krawiecka szyjąca elegancką odzież męską także na miarę – od garniturów przez płaszcze po koszule. Dla kogo resort zamówił eleganckie garnitury? Okazuje się, że dla „kierowców obsługujących ministerstwo, głównie członków kierownictwa" – podaje dziennik. Zestaw „stanowi własność ministerstwa". Całe szczęście, że ministrowie ubierają się na własną rękę, bo byłaby niezła chryja. Podobnych zakupów dokonuje także MSZ.

Czy Ministerstwo Środowiska zruga wspomniane resorty za niszczenie planety, czy mają ją ratować tylko „zwykli obywatele"?

Dorota Łosiewicz

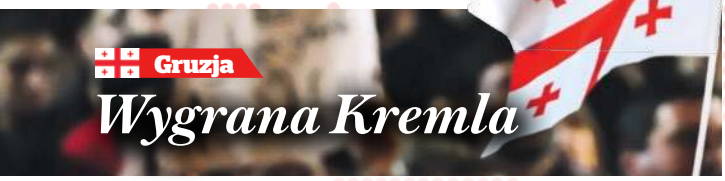

Gruzja

Wygrana Kremla

Wybory parlamentarne w Gruzji, które odbyły się tydzień temu, wygrała rządząca formacja Gruzińskie Marzenie – miała zdobyć 53 proc. głosów. Cztery partie opozycyjne, które dostały się do parlamentu, uzyskały łącznie 38 proc., przy czym najwięcej, bo 11,1 proc. głosów, otrzymała Koalicja na Rzecz Zmian.

Sondaże exit poll dawały rządzącej formacji maksymalnie 42 proc. głosów. Po ogłoszeniu oficjalnych wyników prezydent Salome Zurabiszwili oskarżyła rząd o sfałszowanie wyborów i wezwała obywateli do masowych protestów, aby wymusić unieważnienie wyników. Opozycja poinformowała zaś, że nie przyjmie mandatów i będzie bojkotowała parlament.

Nie da się ukryć, że wybory mocno odbiegały od europejskich standardów. W dniu głosowania pobito przeszło 30 dziennikarzy, a w powyborczy poniedziałek wpłynęło ponad 330 protestów. Obserwatorzy z organizacji Sprawiedliwe Wybory (ISFED) mówią o „setkach nieprawidłowości", a prezydent Zurabiszwili określiła to, co się stało, mianem rosyjskiej „operacji specjalnej", której celem jest przekształcenie Gruzji w satelitę Moskwy.

Gia Nodia, gruziński politolog związany z opozycją, zauważył jednak, że skali zwycięstwa formacji Bidziny Iwaniszwilego nie można wytłumaczyć samymi oszustwami. Jak przyznał, w niektórych dzielnicach Tbilisi, gdzie sympatie dla opozycji były bardzo silne, Gruzińskie Marzenie zdobyło aż 40 proc. głosów. Oznacza to, że na prowincji, gdzie zwolenników rządu było więcej, skala fałszerstw nie musiała być duża, choć z pewnością do nich dochodziło.

Oprócz zastraszania i zwykłego kupowania głosów o zwycięstwie obozu władzy zdecydowało bowiem kilka czynników. Obozowi rządowemu udało się narzucić narrację, że integracja z Europą może doprowadzić do wybuchu konfliktu zbrojnego z Rosją. Rządzącym pomogło też, że w ostatnich dwóch latach gospodarka Gruzji rośnie w dwucyfrowym tempie, co umożliwia bardziej szczodrą niż w przeszłości politykę socjalną. Obserwowany wzrost to przede wszystkim skutek handlu z Rosją, precyzyjnie rzecz ujmując, omijania za pośrednictwem gruzińskich firm zachodnich sankcji nałożonych na Moskwę. Według rządu zwycięstwo opozycji mogłoby oznaczać zagrożenie dla tego procederu i ekonomiczną dekoniunkturę.

Gruzja wkracza dziś na drogę, którą Ukraina przechodziła za czasów Wiktora Janukowycza. Porażka opozycji będzie oznaczać zakwestionowanie proeuropejskiej polityki Tbilisi, z kolei obalenie rządów Gruzińskiego Marzenia w wyniku „kryterium ulicznego" może przybliżyć kraj do wojny domowej i zwiększyć ryzyko interwencji zewnętrznej.

Marek Budzisz

Fot. George Khelashvili/Shutterstock.com

Migracyjny outsourcing

Rząd Giorgii Meloni wysyła nielegalnych imigrantów do ośrodków detencyjnych w Albanii. Rzym ma nadzieję, że zniechęci to obcokrajowców szturmujących włoskie wybrzeże do osiedlania się w Italii, choć jest mało prawdopodobne, aby w ramach programu udało się wydalić wszystkich, którzy przybyli tam nielegalnie.

Pierwszy statek z wyspy Lampedusa dotarł już na miejsce. Na pokładzie wojskowego patrolowca znajdowało się 16 osób. To 10 Egipcjan i 6 Bengalczyków, których odstawiono do miasta portowego Shëngjin. W październiku otwarto tam dwa włoskie ośrodki dla nielegalnych imigrantów – jeden recepcyjny, który został ulokowany na wybrzeżu, i drugi detencyjny, znajdujący się w głębi kraju. Znajdują się one w całości pod jurysdykcją włoskich służb, które odpowiadają m.in. za bezpieczeństwo przetrzymywanych tam ludzi.

Włochy

To efekt wynegocjowanego kilka miesięcy temu porozumienia z Tiraną w sprawie umieszczenia w specjalnych ośrodkach nawet do 36 tys. imigrantów rocznie. Pięcioletnia umowa o wartości 670 mln euro ma pozwolić na przetrzymywanie ich poza granicami Włoch i strefy Schengen w czasie, gdy będą rozpatrywane ich wnioski azylowe. Imigranci mogą znajdować się na terenie Albanii maksymalnie do czterech tygodni. Jeśli ich wnioski zostaną przyjęte, wrócą do Włoch, jeśli nie, zostaną odesłani do kraju pochodzenia.

Rząd Meloni był początkowo krytykowany za to, że nie wywiązał się z obietnicy wprowadzenia blokady na Morzu Śródziemnym powstrzymującej przemyt ludzi. Jednak wielotorowe podejście do tego problemu, m.in. poprzez zawieranie umów z państwami afrykańskimi i represje wobec statków organizacji pozarządowych pełniących rolę morskich taksówek, zaczęło przynosić efekty. Według danych włoskiego MSW w porównaniu z ub.r. poziom nielegalnej imigracji zmniejszył się o ponad 61 proc.

Jeśli model albański przyniesie spodziewane skutki, będzie rozważany w Brukseli jako ramowe rozwiązanie dla całej Unii. Co ciekawe, w lipcu podobny plan porzucił rząd Partii Pracy w Wielkiej Brytanii, który zrezygnował z wysyłania imigrantów do Rwandy, mimo że z tytułu podobnej umowy zapłacił temu państwu 270 mln funtów.

Maciej Walaszczyk

Fot. Alessio Tricani/Shutterstock.com

spreadpl 6371f39cd17

Ukraina

Grabież Mariupola

Słynne zakłady metalurgiczne Azowstal położone w okupowanym przez Rosję Mariupolu, o które toczyły się ciężkie walki w 2022 r., są dzisiaj plądrowane przez Czeczenów. Do Rosji wywożony jest sprzęt oraz metalowy złom.

Wracają praktyki z II wojny światowej, gdy Sowieci grabili podbite terytoria, demontując i przewożąc do Związku Radzieckiego całe niemieckie zakłady przemysłowe, w tym te, które znalazły się na polskich ziemiach zachodnich. Dziś takim trofeum wojennym jest dla Rosji kombinat stalowy w Mariupolu. Został on poważnie zniszczony podczas pierwszych miesięcy rosyjskiej agresji na Ukrainę, jednak nawet to, co z niego pozostało, nadal ma dużą wartość.

Jak pisze „The Wall Street Journal", zakłady Azowstal zostały oddane pod kontrolę Ramzana Kadyrowa. Na początku wojny czeczeński watażka przechwalał się, że jego oddziały walczą o Mariupol. Komandosi Kadyrowa nagrywali wtedy rzekome relacje z linii ognia, umieszczane m.in. na TikToku (stąd przylgnęło do nich pogardliwe określenie tiktokowej armii). Nietrudno było jednak zauważyć, że sceny bitew są inscenizowane, a „nieustraszeni wojownicy" Kadyrowa jedynie markują strzelaninę. Ich faktycznym zadaniem była bowiem pacyfikacja zdobytego miasta i jego grabież.

Najbardziej łakomy kąsek stanowiły zrujnowane zakłady Azowstal. O kontrolę nad kombinatem rywalizowała Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) oraz SWR (rosyjski wywiad). Gdy szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę wywiadu, FSB sprzymierzyła się z ludźmi Kadyrowa, co ostatecznie przesądziło sprawę. W zamian za wsparcie czeczeński przywódca otrzymał udział w zyskach z grabieży kombinatu, a jego „bojownicy" przejęli funkcję „ochrony" zakładów.

Od tej pory rozpoczął się regularny szaber Azowstalu. Czeczeni wywozili z zakładu stal, złom i węgiel. Ich największą zdobyczą miała być niemal nienaruszona linia produkcyjna o wartości 220 mln dol. Stal i złom sprzedawano w Rosji, kradzione surowce trafiały przede wszystkim do fabryk samochodów oraz do branży budowlanej. Linia produkcyjna została zaś wykorzystana jako cenne źródło części zamiennych, które są w Rosji bardzo poszukiwane z powodu embarga nałożonego przez Zachód. Pewna część zakładów miała zostać ponownie uruchomiona i pod rosyjskim zarządem produkuje surowce metalowe.

Losy Mariupola i innych terenów okupowanych wskazują, że inwazja na Ukrainę służyła nie tylko zaspokojeniu imperialnych ambicji Kremla. Jej ważnym elementem jest też chęć „obłowienia się" na zdobytych terytoriach. W ten sposób Putin płaci swojemu otoczeniu za poparcie dla jego wojennej polityki.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

Armenia

Odkrywanie chrześcijańskich korzeni

Artaszat to senne, 20-tys. miasteczko położone przy granicy z Turcją, jednak 23 stulecia temu, w II w. przed Chrystusem, było ono stolicą Wielkiej Armenii. Niedawno zespół archeologów z niemieckiego uniwersytetu w Münster i Narodowej Akademii Nauk Armenii odkrył tam pozostałości najstarszego kościoła na świecie i jednego z najstarszych w kraju.

Kamienna budowla została wzniesiona na planie oktogonu o średnicy 30 m z przedłużeniami w kształcie krzyża. Naukowcy odnaleźli także fragmenty przywiezionego z daleka marmuru oraz inne artefakty świadczące o tym, że gmach był bogato zdobiony cenną ornamentyką. Datowanie drewnianych elementów wystroju świątyni metodą węgla radioaktywnego C14 wykazało, że pochodzą one z IV stulecia.

Odkrycie w Artaszacie to kolejne potwierdzenie starożytnych korzeni chrześcijaństwa w Armenii. Na przełomie III i IV w. było to królestwo pozostające satelitą imperium rzymskiego. W 301 r. ormiański król Tiridates III nawrócił się pod wpływem św. Grzegorza Oświeciciela i przyjął chrzest wraz ze swoim dworem. Tym samym Armenia stała się pierwszym krajem na świecie, który oficjalnie uznał chrześcijaństwo za swoją religię państwową. Było to 12 lat przed edyktem mediolańskim cesarza Konstantyna Wielkiego, który zakazał prześladowań wyznawców Chrystusa i zezwolił im na sprawowanie publicznego kultu. Z tamtych czasów datuje się też obecność Ormian w Jerozolimie, gdzie przebywają oni do dziś, mają nawet swoją dzielnicę w obrębie Starego Miasta.

Odkrycie w Artaszacie to również wielkie wydarzenie dla Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, który odłączył się od Kościoła powszechnego po soborze chalcedońskim w 451 r. i od tamtego czasu pozostaje niezależny zarówno od Rzymu, jak i Konstantynopola. Jego specyfiką jest to, że panuje tam zasada krwi, tzn. wiernymi tego wyznania mogą być tylko Ormianie.

Grzegorz Górny

Fot. Alexander Gafarro/Shutterstock.com

eprasa.pl e34f39cd17

Wysłuchania i przesłuchania

W Parlamencie Europejskim właśnie rozpoczęła się bodaj najważniejsza część procesu wyboru nowej Komisji Europejskiej – wysłuchania kandydatów na komisarzy przed europarlamentarnymi komisjami. Kraje członkowskie zgłosiły bowiem swoich kandydatów, przewodnicząca Ursula von der Leyen wyznaczyła im stanowiska, a szczegółowe zadania nakreśliła w imiennych listach misyjnych. Ale to Parlament Europejski, po zadaniu wielu pytań i wysłuchaniu odpowiedzi, zdecyduje ostatecznie, czy zostaną komisarzami. Formalny proces zadawania pytań to najlepszy moment, by z jednej strony ostatecznie potwierdzić, jakie dany komisarz ma plany działania na kadencję, a z drugiej strony go do czegoś zobowiązać. Skoro zadeklarował jakieś działanie podczas wysłuchań, to będzie zobowiązany tego dotrzymać.

Europa jest w gospodarczej zapaści spowodowanej ideologicznym szaleństwem poprzedniej kadencji – po raporcie Maria Draghiego nikt już tego nie neguje. Obywatele większości krajów jasno dali znać w wyborach krajowych i unijnych, że kierunek musi się zmienić, że mają dosyć niekontrolowanej migracji, klimatycznej drożyzny i nowych unijnych podatków. Politycy to zrozumieli i obiecali korekty, które mają przywrócić Europie konkurencyjność, bezpieczeństwo i zdrowy rozsądek. Po politycznych deklaracjach Von der Leyen przyszedł czas na pierwsze konkretne: sprawdzam. I tym właśnie są wysłuchania.

Diabeł bowiem, jak zwykle, tkwi w szczegółach. Jak konkretnie będziemy ratować ten przemysł, czy i jakie klimatyczne podatki i obostrzenia zniesiemy, kto i kiedy zatrzyma nielegalnych migrantów i wreszcie – kto za to wszystko zapłaci. Każdy unijny kraj, chodź rzadko powie to ktoś głośno, będzie te wysłuchania wykorzystywać, by załatwić coś dla siebie. Precyzyjnie skonstruowane pytania będą miały na celu „przymuszenie" przyszłych komisarzy do zadeklarowania działań lub kierunków pożądanych dla danego państwa. Pamiętajmy, że skutki decyzji podjętych w Brukseli będą przecież odczuwalne m.in. w Warszawie, Madrycie czy Rydze.

Zamiast europejskich wysłuchań mamy w Polsce krajowe przesłuchania – polowanie na czarownice trwa w najlepsze

Jeśli chodzi o gospodarkę, kluczowymi komisarzami będą niechętna energii nuklearnej przeciwniczka węgla – kandydatka na wiceprzewodniczącą ds. proklimatycznej transformacji i konkurencyjności (będzie akceptować model finansowy polskiej elektrowni atomowej); francuski kandydat na wiceprzewodniczącego ds. strategii przemysłowej Stéphane Séjourné, który w ciągu 100 dni przygotuje plan ratunkowy dla europejskiego przemysłu (pytanie, czy równie dobry dla wszystkich unijnych krajów); pochodzący z tradycyjnie oszczędnej unijnej północy kandydat na komisarza ds. klimatu Wopke Hoekstra, który ma decydować o losach podatku ETS2 i związanej z nim wszechobecnej drożyzny; a także kandydat na komisarza ds. energii, Duńczyk Dan Jørgensen – sceptyczny wobec atomu, niechętny węglowi zwolennik wspólnego energetycznego rynku i przyspieszenia transformacji (w końcu to Dania jako pierwsza przyjęła obowiązkową obniżkę emisji o 90 proc. w 2040 r.).

Dla rządzącej większości powinien być to zatem temat obecnie najważniejszy. W przestrzeni publicznej powinny pojawiać się jasno deklarowane potrzeby i oczekiwania aktualnie rządzących wobec przyszłej Komisji Europejskiej. Polscy europosłowie wraz z rządowymi ekspertami powinni wypracowywać strategię i tworzyć polityczne sojusze. Zegar tyka, a po przegłosowaniu nowej Komisji już będzie, kolokwialnie mówiąc, po jabłkach.

Tymczasem zamiast europejskich wysłuchań, w Polsce mamy krajowe przesłuchania – polowanie na czarownice trwa w najlepsze. A minister ds. klimatu i środowiska cieszy się, że w październiku nie stać Polaków na kurtkę i buty, bo to dobre dla klimatu.

Daniel Obajtek

eprasa.pl e34f39cd17

Klimatyczna hipokryzja

Marta Kaczyńska-Zielińska

Zdaniem brukselskich urzędników Komisja Europejska planuje sfinalizować umowę handlową UE–Mercosur do grudnia, choć przeszkodą pozostają odniesienia do porozumienia klimatycznego z Paryża i sprzeciw europejskich rolników. Pojawiają się informacje, wedle których organ zarządzający UE rozważa plany utworzenia funduszu kompensującego sektory, które będą szczególnie stratne w związku z realizacją wspominanej umowy. Jeśli pakiet odszkodowań zaproponowany przez KE zostanie potwierdzony, umowa z państwami Ameryki Łacińskiej może zostać zawarta już na szczycie G20 w Rio de Janeiro, który odbędzie się 18–19 listopada.

Zawarcie umowy o wolnym handlu przez UE i Mercosur (Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Urugwaj) pobudziłoby handel szkodliwymi produktami między obydwoma regionami poprzez zniesienie większości ceł na towary. Miałoby to tragiczne konsekwencje dla środowiska i praw człowieka. W ostatnich latach postępuje wylesianie brazylijskiej Amazonii. Umowa UE–Mercosur zwiększy popyt na główne czynniki wywołujące te zniszczenia. Zwiększy np. import wołowiny, soi i etanolu z trzciny cukrowej do Europy. W miarę wzrostu zapotrzebowania na hodowlę bydła i grunty pod uprawę soi płoną lasy, które będą musiały ustępować miejsca polom uprawnym. Zniszczenie Amazonii będzie miało poważne konsekwencje dla różnorodności biologicznej, sekwestracji dwutlenku węgla, opadów i źródeł utrzymania lokalnych społeczności.

Brazylia i Argentyna są ważnymi dostawcami surowców mineralnych i energetycznych (takich jak lit, żelazo, srebro czy miedź). Umowa będzie sprzyjać wydobywaniu tych zasobów naturalnych w regionie Mercosur, co stanowi kolejną przyczynę wylesiania i zanieczyszczenia. Przyspieszenie wylesiania w Amazonii zagraża zdolności lasów deszczowych do magazynowania dwutlenku węgla. Niemożliwe będzie przestrzeganie celów porozumienia paryskiego, jeśli największy pochłaniacz CO_2 na planecie będzie ulegać dewastacji.

Jeśli umowa zostanie ratyfikowana, zwiększy eksport z Europy do Mercosur toksycznych pestycydów. Brazylia jest największym użytkownikiem tych substancji na świecie i w ciągu ostatnich 20 lat sześciokrotnie zwiększyła ich zużycie. W lutym 2023 r. brazylijski resort rolnictwa dopuścił do użytku 42 rodzaje pestycydów, w tym 24 zabronione w UE. Skażone nimi owoce i warzywa są eksportowane do europejskich supermarketów.

Zwolennikami zawarcia umowy z państwami Ameryki Łacińskiej są wielkie chemiczne koncerny międzynarodowe, producenci maszyn, samochodów, które mają być eksportowane do Mercosur. Niemcy są importerem żywności, a eksportują zarówno pojazdy, jak i chemikalia. Kalkulacja jest zatem oczywista.

Francuscy rolnicy planują w listopadzie protesty w związku z obawami dotyczącymi skutków zawarcia omawianej umowy. Farmerzy znad Sekwany obawiają się, że porozumienie z blokiem Mercosur będzie oznaczać napływ taniego mięsa i innych produktów rolnych, które nie będą musiały spełniać rygorystycznych przepisów UE w wymiarze m.in. 99 tys. t wołowiny czy 180 tys. t drobiu.

Europejskie plany poza samobójczym Zielonym i Niebieskim Ładem, niosącymi ze sobą wiele ograniczeń, w szczególności dla rolników, przewidują odejście od systemu dopłat obszarowych. Zamiast nich mają zostać wprowadzone dopłaty socjalne. Rolnictwo ma produkować mniej – ma być ekstensywne, a nie intensywne.

W dobie trwającej wojny na Ukrainie oraz realnego zagrożenia eskalacją rosyjskiej przemocy nawet w połowie dekady podstawą bezpieczeństwa żywnościowego Europy ma być import produktów rolnych przede wszystkim z Ameryki Łacińskiej. To absurd. Polska jest aktualnie samowystarczalna żywnościowo, jesteśmy 10. eksporterem żywności na świecie. Wskutek wdrożenia pomysłów eurokratów to się zmieni. Rolnicy nie będą też w stanie konkurować z tańszymi towarami spoza UE, które nie są objęte różnego rodzaju klimatycznymi obostrzeniami. Rentowość gospodarstw rolnych spadnie, a ich właściciele nie będą w stanie się utrzymać. Szczególnie ucierpią gospodarstwa rodzinne, które są podstawą polskiego rolnictwa.

REKLAMA

27/1024/F

eprasa.pl e34f39cd17

Walizka Józefa Piłsudskiego

działacza niepodległościowego, naczelnika państwa, wodza naczelnego Wojska Polskiego, pierwszego Marszałka Polski, premiera Rzeczypospolitej

Nigdy nie potrafiłem usiedzieć długo w jednym miejscu. Ciągle mnie gnała po świecie partyjna robota. Zmiany adresów, konspiracyjne lokale, hasła i odzewy, sekretne przejścia, tajne redakcje, zakamuflowane drukarnie, rozmowy do świtu w zadymionych mieszkaniach. Zawsze towarzyszyła mi walizka z niezbędnymi rzeczami, którą mogłem złapać i wybiec tylnym wejściem z kamienicy. Zupełnie inaczej pakowałem swój podróżny kufer, gdy udawałem się w dalsze wyprawy, jak np. w 1905 r. do Genewy, gdzie razem z Leninem brałem udział w konferencji socjalistycznych i rewolucyjnych partii Rosji, albo do Tokio, gdzie miałem trudną rozmowę z Romanem Dmowskim. Wtedy mogłem zabrać ze sobą to, co w odległych krajach przypominało mi ojczyznę. Później, gdy walczyłem na froncie, walizkę zastąpił żołnierski kuferek. Wtedy dostałem szablę od moich wiernych towarzyszy. Już w wolnej Polsce zabierałem ze sobą buławę marszałkowską i odznaczenia, zawsze towarzyszyła mi książka i obrazek Ostrobramskiej Pani.

EX LIBRIS

Drewniana matryca do wykonywania mojego ekslibrisu. Zrobił go dla mnie znamienity artysta Kazimierz Wiszniewski w 1927 r. Czytam dużo gazet, zawsze mam pod ręką książki. Zgromadziłem dużą bibliotekę, a książki stoją w dworku Milusin w Sulejówku, w Warszawie w Belwederze i w budynku Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Jeśli gdzieś się wybieram zawsze zabieram ze sobą „Kronikę" Macieja Stryjkowskiego.

KARTY

Unikam brydża, za to uwielbiam stawiać pasjanse, zwłaszcza piramidy... Pijąc słodką herbatę, tak mogę spędzać godziny. Na załączonym zdjęciu karta z talii – 5 trefl z autografem inżyniera Stefana Ossowieckiego, mojego przyjaciela i wielkiego jasnowidza.

W roli Józefa Piłsudskiego opuszczającego twierdzę w Magdeburgu – Jerzy Zelnik

eprasa.pl e34f39cd17

MUNDUR

Specjalnie dla mnie powstał szaroniebieski mundur wzorowany na uniformie oficera Wojska Polskiego z 1919 r. Barwą nawiązywał do mojego dawnego uniformu legionowego. Mundur i spodnie z lampasami uszył dla mnie warszawski krawiec Zygmunt Roguski, który ma zakład przy Krakowskim Przedmieściu nr 43. Dopełnieniem była czapka maciejówka.

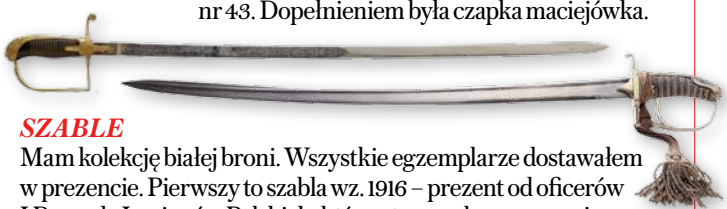

SZABLE

Mam kolekcję białej broni. Wszystkie egzemplarze dostawałem w prezencie. Pierwszy to szabla wz. 1916 – prezent od oficerów I Brygady Legionów Polskich, który otrzymałem w rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej z Krakowa. Szabli paradnej używam w trakcie wystąpień reprezentacyjnych. Została wykonana w Toledo na wzór szabli oficerskiej wz. 1921.

ZŁOTA PAPIEROŚNICA

Z herbem Piłsudskich – Kościeszą. Otrzymałem ją na imieniny w 1935 r. od ósmego kursu juzistek, które zamówiły ją w firmie Krupskiego i Matulewicza w Warszawie. Chociaż stronię od alkoholu, mam słabość do papierosów. Specjalnie dla mnie wyrabiane są „Marszałkowskie" z monogramem JP. Lubię częstować nimi gości, a ci, jak na złość, zamiast je palić zachowują sobie na pamiątkę. Szkoda dobrego tytoniu...

ODZNACZENIA

Jestem kawalerem najwyższych klas najważniejszych polskich orderów i odznaczeń. Krzyż Wielki Orderu Virtuti Militari z Gwiazdą został mi nadany za zwycięską wojnę z bolszewikami, Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski otrzymałem za wybitny wkład w budowę państwa. Noszę je jedynie w czasie wyjątkowo uroczystych ceremonii.

BINOKLE, PIÓRO

Moi adiutanci dbają o to, żebym nie musiał szukać binokli, gdy zasiadam do pracy. Lubię używać pióra z wizerunkiem orła legionowego, prezentu imieninowego od Komitetu im. JP w Ameryce, który dostałem w 1924 r. Szczęśliwie zachował się rękopis książki „Moje pierwsze boje" napisanej w niewoli w Magdeburgu. Odzyskawszy go po kilku latach, poprawiłem tekst i opatrzony moją przedmową wydałem w 1925 r.

BROWNING

Miałem go w akcji pod Bezdanami 26 września 1908 r., kiedy dokonaliśmy ataku na rosyjski pociąg pocztowy przewożący pieniądze z Królestwa Polskiego do Petersburga. Dowodziłem wtedy Organizacją Bojową Polskiej Partii Socjalistycznej. Akcja była zaplanowana precyzyjnie co do sekundy, a pomagał mi w tym krokomierz.

ZŁOTY ZEGAREK

Wyprodukowany w firmie PATEK PHILIPPE & Cie w Genewie z dedykacją: „Kochanemu Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu w dniu imienin – Korpus oficerski nad Nidą 19.III.1915". Dostałem go w dniu imienin w polu pod Grudzynami od moich wiernych legionistów, którzy go sprawili, bo, jak mówili, nie miałem porządnego zegarka. Był ze mną w Magdeburgu.

MUZEUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU

Współprowadzone przez Fundację Rodziny Józefa Piłsudskiego oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego Muzeum z rozmachem przedstawia chronologicznie losy Marszałka w formie pięciu efektownie zaprojektowanych galerii. Obok nowoczesnego budynku, w którym mieści się wielokrotnie nagradzana wystawa stała pamiątek i artefaktów, znajduje się dworek Milusin, w którym Józef Piłsudski mieszkał z rodziną.

Rozmawiał Michał Korsun

Materiał powstał we współpracy z Grzegorzem Górnym oraz Romanem Olkowskim – st. kustoszem Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku

Fot. Andrzej Wiktor, Michał Korsun, Alicja Firynowicz, Piotr Ostrowski oraz Fundacja Rodziny Józefa Piłsudskiego, Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, Muzeum Narodowe w Warszawie, Biblioteka Narodowa

eprasa.pl e34f39cd17

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Piękno jest klocem

Jan Pietrzak

Warszawa pięknieje. Po wybuchu entuzjazmu z powodu kładki pieszo-rowerowo-hulajnogowej przed rokiem możemy ostatnio podziwiać Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Piękne jak przydrożny magazyn nawozów sztucznych (a może i naturalnych? Tego jeszcze nie wiemy). Ponieważ charakter pl. Defilad dawno temu określił imponujący pałac Stalina w stylu „barok/barak moskiewski" z lat 30., w światłych umysłach warszawskich prezydentów, zwanych przez warszawiaków Bufetową i Szambelanem, powstała idea budowli kontrastującej z tamtą epoką. Potężny kloc postawiony w centrum miasta jest świadectwem wyrafinowanej estetyki magistrackich władców stołecznego grodu. Piękno jest prostokątne, głosi główny konstruktor. A ponieważ pomnikowy Stalin jest pełen balasków, ozdóbek i figurek, tworzy się szczególny kontrast wpływający na szary tłum bywalców tego miejsca. Estetyka kontrastu jest dobrze znana pokoleniom eksperymentatorów miejskich pejzaży. Tu rudera z czasów potopu szwedzkiego, tam deweloperka z czasów Gierka, arcytektura kontra makulatura pustaków itp.

Pokrzepione muzealnym sukcesem władze ratusza z mozołem patronują budowie linii tramwajowej do Wilanowa. W tym przypadku chodzi o muzealnictwo transportowe, niezbyt nowoczesne. W wielu kampaniach wyborczych Bufetowa i Szambelan obiecywali kolejne linie metra... dokończenie drugiej, do końca kadencji trzeciej, prace projektowe linii czwartej. Propaganda obiecanek bez pokrycia jest mocną stroną towarzystwa rządzącego stolicą. Ich przywódca niemal codziennie poucza, jak odwracać kota ogonem, robić z igły widły, pleść banialuki, wygadywać androny. I za to kocha go elektorat.

Powiedzmy sobie szczerze – budowa archaicznej komunikacji jest znacznie trudniejsza niż obecnych szybkich tras. Należy uwzględnić możliwość napędu konnego w trybie awaryjnym. Takie były pierwsze warszawskie tramwaje. Ogier z kobyłą ciągnęły najszybciej, bo z jakichś powodów spieszyło im się na popas.

Osobiście pierwszy raz jechałem tramwajem do Wilanowa w 1957 r., kiedy po odbyciu służby wojskowej wróciłem na stałe „do domu", który był zburzony. Czasami odwiedzałem ciocię Marysię na ul. Podchorążych. Z jej synem Edkiem lubiliśmy z przystanku na Czerniakowskiej przejechać się do Wilanowa. To była dosyć egzotyczna podróż, z gruzów, przez pola, do pałacu państwa Sobieskich, zwłaszcza że na ogół odbywało się ją, wisząc na stopniach, w charakterze „winogrona" lub „na cycku", jak się wtedy mówiło. Ech, wspomnienia...

Obecnym tramwajom zdecydowanie brakuje cycków, ale jak wreszcie ruszą, z nostalgią przejadę się z Wilanowa do kloca. Ahoj, przygodo!

Cicha ofiara populizmu

Samuel Pereira

Werze polityki cyrkowej, czyli takiej, która nie niesie za sobą powagi zmian, poprawy losu ludzi, a jest jedynie ciągłym przedstawieniem, raz śmiesznym, raz strasznym – ofiarami nie zawsze są ci, których imiona przebijają się na nagłówki gazet czy do topowych tweedów polityków. Często najmocniej dostaje się tym, których imion nigdy nie poznamy — szarym urzędnikom, działaczom czy zwyczajnym obywatelom, zmuszonym do milczenia lub składania kariery na ołtarzu populistycznych strategii. W rzeczywistości to oni, cisi świadkowie machinacji politycznych, stają się anonimowymi ofiarami działań, których pełne skutki znają tylko sami decydenci.

Nie chodzi tylko o polityczne czystki, których ofiarami są tysiące zwykłych ludzi – ich „winą" jest to, że pracowali za rządów obozu politycznego nienawidzonego przez obecnego premiera, którego partia i ugrupowania jego współkoalicjantów są wygłodniałe stołków i apanaży. Mam na myśli konkretny przykład, o którym dziś się nie mówi, a sprawa była przecież głośna miesiąc temu. Premier Donald Tusk, zorientowawszy się w skali zniszczeń spowodowanych powodzią, zamiast przyznać się do nieprzygotowania państwa na nadchodzący kataklizm, postanowił zwrócić uwagę opinii publicznej na kozła ofiarnego, którym stał się dr Piotr Jabłoński, były dyrektor Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom.

Zamiast wyjaśnić i poprawić niepowodzenie w przygotowaniach infrastruktury do przyjęcia kataklizmu, przykryto je „wojną" z mało znaczącym (przynajmniej z perspektywy całego państwa w tym momencie) problemem i przypuszczono najpierw atak na firmę produkującą napój alkoholowy, rzekomo rujnujący moralność Polaków. Było dużo dymu, a w rzeczywistości chodziło o rzucenie mediom kości, żeby miały się czym zająć, byle nie rządem.

Wielu dało się złapać, ale władza przegrzała i po zwolnieniu dr. Jabłońskiego, który okazał się najmniej winny w tej sprawie, całą operację wyciszono. Dziś mało kto o nim pamięta oprócz jego samego, rodziny i bliskich. Czy on lub część z nich głosowała na „uśmiechniętą koalicję"? Pewnie tak. Czy jest im dzisiaj do śmiechu? Nie sądzę.

eprasa.pl e34f39cd17

„Kreatywna” kapitulacja

Szef polskiej dyplomacji od kilku tygodni wykonuje polityczne akrobacje, których celem jest zdobycie uznania jako najlepszy kandydat na platformerskiego kandydata na prezydenta Polski. W każdej możliwej przestrzeni medialnej chce się prezentować niczym mąż stanu, udzielając wywiadów, których celem jest zbudowanie idealnego wizerunku. Sikorski już kiedyś marzył o prezydenturze. Przypomnę, że w 2010 r. również próbował, ale przegrał w ustawionych prawyborach z Komorowskim. Teraz ponownie stara się przeskoczyć przez poprzeczkę i zdaje się, że znalazł swój sposób, jak ograć Trzaskowskiego. W każdym wywiadzie z dużą starannością stara się przypodobać Tuskowi, bo wie, że to od niego zależy jego ewentualna nominacja.

Jako kandydat na kandydata jest pytany przez dziennikarzy o wiele spraw ważnych dla Polaków. Ostatnio w jednym z wywiadów na pytanie o reparacje od Niemiec odpowiedział w sposób, który zaskoczył wielu. Stwierdził, że Niemcy powinny „uznać, że jest nam przykro i kreatywnie wymyślić sposób”, by zadośćuczynić nam krzywdy z II wojny światowej, abyśmy poczuli się lepiej. Rozumieją państwo? Zamiast stanowczo bronić interesów kraju, szef polskiej dyplomacji proponuje, by kraj agresor obmyślił sposób na poprawę naszego samopoczucia. To jakby ofiara przemocy prosiła sprawcę o wybaczenie – to przecież skandaliczne.

Ta wypowiedź jest swego rodzaju papierkiem lakmusowym pokazującym, w którym kierunku zmierza podejście Sikorskiego do polityki. W tej grze, w której powinno się walczyć o narodowe interesy, on stawia się w szeregu tych, którzy kapitulują, przyjmując rolę „junior partnera” w relacjach z Niemcami. Takie podejście jest nie tylko niebezpieczne, lecz także obraźliwe dla historii Polski. W polityce wobec Niemiec nie ma miejsca na „kreatywność”, która prowadzi do kapitulacji.

W swojej determinacji do poprawy wizerunku Sikorski potknął się i udowodnił, że nie nadaje się do godności głowy państwa. Tym jednym zdaniem ujawnia, że nie dojrzał do ubiegania się o prezydenturę. Głowa państwa musi być liderem, który odważnie staje w obronie narodowych wartości, a nie ukazuje się jako akrobata niepotrafiący zdefiniować własnej politycznej tożsamości. Polska zasługuje na prezydenta, który z odwagą i determinacją stanie na pierwszej linii walki o nasze interesy.

W ubiegłym tygodniu w Atenach przebywał prezydent Niemiec Frank W. Steinmeier i przyjmująca go prezydent Grecji Katerina Sakellaropoulou już w pierwszych minutach rozmowy poruszyła odważnie temat reparacji wojennych.

Niestety musimy więc stawić czoło oczywistej prawdzie: w szeregach formacji Tuska nie znajdziemy nikogo, kto miałby na to odwagę.

Arkadiusz Mularczyk

Na dobre i na złe od 25 lat

Z aktorką Emilią Komarnicką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

7 listopada minie równo ćwierć wieku od emisji pierwszego odcinka „Na dobre i na złe”. Pamięta pani swoje pierwsze spotkanie z serialem?

Emilia Komarnicka: To był stały punkt rodzinnej niedzieli. Obiad, a potem wspólne oglądanie historii opowiadającej o utopijnym miejscu. Szpitalu marzeń każdego Polaka.

Nie sposób nie spytać o ulubionych wtedy aktorów. I dlaczego była to „ta trójka”?

Otóż to. Serialowi Jakub Burski, dr Zosia i Bruno Walicki, czyli Artur Żmijewski, Małgorzata Foremniak i Krzysztof Pieczyński. Przy okazji nagrywania jubileuszowego programu [emisja 7 listopada w TVP2 – przyp. red.], kiedy pojawiły się m.in. filmowe przebitki sprzed lat – niezwykle wzruszające – przypomniałam sobie, dlaczego Polacy tak bardzo pokochali właśnie tych bohaterów. Patrzyli na nich i myśleli: tacy piękni ludzie i jeszcze tak pięknie potrafią się kochać, i tak ze sobą przyjaźnić...

Podobny trójkowy układ powtórzył się także z pani udziałem?

Rzeczywiście, trafiliśmy do Leśnej Góry [w 2008 r. – przyp. red.] razem z Kasią Dąbrowską i Marcinem Rogacewiczem, ale to od tej pierwszej trójki zaczął się serial. Nie było już później tak mocnego, jednorodnego trzonu. Wątki się podzieliły, coraz więcej było wiodących postaci.

Takich, jak dr Woźnicka. Co dziś dzieje się u pani bohaterki?

Na pewno bardzo się rozwinęła zawodowo (od rezydentki interny po dyrektorkę szpitala). Prywatnych wątków ma teraz trochę mniej, ale w tak rozbudowanym serialu nasze postacie są jak muzycy orkiestry. Każdy odgrywa jakąś rolę, swoją ważną dla całości nutę.

Fot. TVP

eprasa.pl e34f39cd17

Byłem multikulti

Moje studia przypadły na lata 70. ub.w. Instytut Okrętowy Politechniki Gdańskiej przeżywał wtedy nadzwyczajny rozkwit. A że ludowa władza wspierała komunistyczne reżimy na całym świecie, znajdowało to odbicie w stanie osobowym wydziału. Na moim roku studiowało ok. 30 Wietnamczyków, 15 Kubańczyków, 3 Algierczyków, student z Konga, Cejlonu (obecnie Sri Lanka), że nie wspomnę o krajach tzw. demoludów. Ponieważ w tamtych czasach możliwości wyjazdów zagranicznych ograniczały się do „pociągów przyjaźni" (ZSRR), zakupowych wypadów (Czechosłowacja, NRD) i wczasów w Złotych Piaskach (Bułgaria) czy rumuńskich Karpatach, skwapliwie korzystaliśmy z podanej nam na tacy możliwości zgłębiania odległych kultur.

Studentów przybyłych wprost z Wietkongu (komunistyczna partyzantka) zapamiętałem jako wyjątkowo pilnych i pracowitych. Większość z nich ukończyła studia i wróciła do kraju. Najzdolniejszy z nich, z żyłką do biznesu, zarobił na maszynę do szycia i taśmowo produkował w akademiku modne wtedy dzwony i szwedy. Drugi zaszczepił mi zamiłowanie do wschodnich sztuk walki. Pod koniec studiów obaj prysnęli na Zachód. Kubańczycy (biali, śniadzi, czarni) byli niezwykle rozrywkowi. Wystarczyła gitara oraz łyżki (wykorzystywane jako instrumenty perkusyjne) i balanga trwała do rana. To od nich nauczyłem się śpiewać „Guantanamerę" w oryginale. Gorzej było z nauką, w połowie drugiego roku odesłano wszystkich na Kubę. Z Algierczykami (pochodzącymi z zamożnych rodzin) graliśmy w studenckich klubach rock'n'rolla i zgłębialiśmy tajemnice masażu arabskiego. Itp., itd.

Mógłbym napisać książkę o wzajemnej tolerancji i kulturowym ubogacaniu się. Oni wszyscy zachłannie chłonęli polskość, kilku z nich nawet się ożeniło i tu zostało. Dziś mają już zapewne dorosłe polskie wnuki. Dlaczego więc jestem tak sceptyczny wobec obecnej masowej migracji? Ponieważ to goście powinni dopasować się do kraju gospodarzy, a nie odwrotnie!

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00) PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR x3, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, AFP/EAST NEWS, ANDRZEJ MAŃCZUK/REPORTER, MAREK BOROWSKI/KPRP, POLONA.PL, SHUTTERSTOCK/MAXIM ELRAMISISY, JUERGEN NOWAK, LEE ZURIGIEN, GUSTAVO MS_PHOTOGRAPHY

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e34f39cd17

Jak prezydent Trump może zmienić świat i Polskę

Przy prezydencie Donaldzie Trumpie świat zmieni się tak, że żaden kanclerz Niemiec nie ośmieli się proponować, iż wyśle napadniętemu przez Rosję krajowi 5 tys. hełmów

DARIUSZ MATUSZAK

Fot. MANDEL NGAN/AFP/East News

W noc wyborczą 8 listopada 2016 r. „Newsweek" drukował i już rozprowadzał wydanie tygodnika ze zdjęciem Hillary Clinton na okładce i tytułem „Madame President". Nad ranem cały nakład wycofano i przemielono. Do dwóch razy sztuka, więc nakreślimy obraz przyszłości i opiszemy, co się zmieni, gdy prezydentem zostanie znienawidzony przez lewicowych władców i właścicieli świata Donald Trump.

Analizę zaczniemy z małej grubej rury. Otóż może się opóźnić albo zostać powstrzymane przejęcie przez Mauritius leżącego 2,2 tys. km od niego archipelagu Czagos. Po latach negocjacji z jakiegoś powodu rząd Wielkiej Brytanii w ramach usuwania resztek po imperium postanowił podarować

eprasa.pl e34f39cd17

Mauritiusowi należące do Brytyjskich Terytoriów Oceanu Indyjskiego wyspy razem z ok. 1 tys. Czagosów. Transakcja ma być zakończona lada chwila, ale już pojawiają się głosy, że Trump ją zablokuje, bo oznajmi Londynowi, że nie życzy sobie, by pozwalał na to, aby Chińczycy mogli sobie kupić kawałek państwa Mauritius i zainstalować się w tym regionie świata. A już zwłaszcza w pobliżu wchodzącej w skład archipelagu wyspy Diego Garcia, którą Ameryka dzierżawi i gdzie ma swoją bazę wojskową.

POKÓJ ZAMIAST IDEOLOGII

Cała sprawa maleńkich jak ziarna piasku wysepek jest elementem globalnej rywalizacji pomiędzy największymi mocarstwami świata – Stanami Zjednoczonymi i Chinami. Jeśli dojdzie do zbrojnego konfliktu pomiędzy potęgami, a ze względu na ogromne napięcia wokół Tajwanu i na Morzu Południowochińskim nie jest to wykluczone, to i my oczywiście dostaniemy swój kawałek globalnej wojny – na Ukrainie, w krajach nadbałtyckich, a może i w Polsce, bo w jednej szajce z Chinami jest Rosja.

Prawdopodobny kandydat na szefa Pentagonu gen. Keith Kellogg i Dan Negrea opublikowali w „The National Interest" artykuł, który uchodzi za manifest polityki zagranicznej Trumpa. Piszą w nim m.in., że współpraca w osi ekspansjonistów – Chin, Rosji, Korei Północnej i Iranu – osiągnęła poziom krytyczny. W tym znaczeniu, że stanowi zagrożenie dla światowego pokoju. Tego nie dostrzegali obecny prezydent i wiceprezydent USA, którzy zamiast zajmować się bezpieczeństwem, za główny cel postawili narzucanie postępu i czego tam jeszcze. „Od samego początku administracja Bidena–Harris wyznaczyła sobie globalistyczny cel polityki zagranicznej: promowanie demokracji na całym świecie. Nazwała odnowienie globalnej demokracji »wyzwaniem definiującym nasze czasy« i zorganizowała trzy szczyty demokracji z udziałem ponad 100 krajów. Administracja wykluczyła z tych wydarzeń strategicznie ważnych sojuszników, których uważa za niewystarczająco demokratycznych, takich jak Tajlandia, Turcja i Węgry" – piszą Kellogg i Negrea.

„Administracja Biden–Harris" to w istocie eufemizm, bo chodzi o trzecią kadencję Baracka Obamy, a owa demokracja to lewicowy progresywizm z całym wokizmem, cenzurą, szaleństwem klimatycznym, genderami oraz ideologią LGBT+.

O tym, jak wygląda owo promowanie demokracji przez amerykańskich demokratów, przekonaliśmy się w 2011 r. przy okazji wspieranej przez Zachód Arabskiej Wiosny Ludów. Odniesiono tak wielki sukces, że pożoga ogarnęła północną Afrykę i większość Bliskiego Wschodu. W Syrii i Iraku wyrosło Państwo Islamskie (ISIS), a po zbrojnej interwencji USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Włoch i Francji, by obalić Kadafiego, rozpadła się Libia. Pogrążona od 14 lat w wojnie domowej stała się największym na świecie targowiskiem niewolników i szlakiem dla milionów Afrykańczyków wybierających się do Europy.

> Świat stanie się bezpieczniejszy, bo Trump był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych w ciągu niemal 100 lat, który nie rozpoczął wojny, nie wywołał żadnego konfliktu

Jak więc zmieni się w tym aspekcie świat, jeśli wygra Trump? Stanie się bezpieczniejszy, bo był to pierwszy w ciągu niemal 100 lat prezydent Stanów Zjednoczonych, który nie rozpoczął wojny, nie wywołał żadnego konfliktu. Jeśli już, to zamykał sprawy, jak na Bliskim Wschodzie, eliminując ISIS czy kończąc wojnę z talibami. Za katastrofalne, zmienione w bezładną ucieczkę wycofanie wojsk amerykańskich z Afganistanu odpowiada administracja Bidena i Harris. Trump pokazał, jak się załatwia sprawy. Negocjacje z talibami rozpoczął od zrzucenia na nich MOAB (Mother Off All Bombs, Matki Wszystkich Bomb), najpotężniejszej bomby konwencjonalnej na świecie. Po tym geście dobrej woli siadł z nimi do stołu i wedle relacji uczestników rozmów, oświadczył, że jeśli w czasie wycofywania się włos spadnie z głowy jakiemuś Amerykaninowi, to zostaną strasznie ukarani. Po czym pokazał przywódcom talibów zdjęcia ich domów z rodzinami i wyszedł.

Za kadencji Trumpa nie rozpoczął się też na świecie żaden znaczący konflikt. Według badań Amerykańskiego Centrum Studiów Politycznych Uniwersytetu Harvarda 62 proc. Amerykanów uważa, że gdyby był on prezydentem, to Putin nie odważyłby się po raz kolejny najechać Ukrainy. Napaść na Donbas i zajęcie Krymu dokonały się w 2014 r. za kadencji Obamy i Bidena. Ci przekazali walczącej Ukrainie koce i apteczki. Trump po wprowadzeniu się do Białego Domu posłał tysiące przeciwpancernych javelinów. Przy prezydencie Trumpie świat zmieni się tak, że żaden kanclerz Niemiec nie ośmieli się proponować, iż wyśle napadniętemu przez Rosję krajowi 5 tys. hełmów.

Czy Trump zakończy wojnę na Ukrainie? Być może, choć on z właściwą sobie bufonadą deklaruje, że zrobi to w ciągu 24 godzin. Czy zrobi to, dogadując jakoś słabych już teraz Putina i Zełenskiego, czy też da Ukrainie całkowicie wolną rękę w atakowaniu celów w Rosji i dostarczy jej tyle broni i amunicji, że będzie w stanie to zrobić? Trump nie boi się zadzierać z kremlowskim reżimem, czemu dał dowód choćby w czasie wojny w Syrii. Oprócz Woodrowa Wilsona jest jedynym prezydentem, który dał zgodę na to, by zaatakować Rosjan. W lutym 2018 r. w bitwie pod Dajr az-Zaur w Syrii Amerykanie zmietli kolumny wojsk Assada i Grupy Wagnera, które ruszyły na chronione przez Kurdów pole naftowe. Zginęło kilkaset putinowskich psów wojny i nawet Kreml nie mógł

eprasa.pl e34f39cd17

ukryć upokarzającej klęski, ale nie zdecydował się na żaden odwet.

Wróćmy do wspomnianego artykułu. Tytuł „Argumenty za zagraniczną polityką Donalda Trumpa. Pokój dzięki sile"oczywiście nawiązuje do rzymskiej zasady *si vis pacem, para bellum* – chcesz pokoju, szykuj się do wojny. Dlatego USA będą się zbroić na potęgę, a kraje europejskie pluć krwią i płacić na sojusz NATO. Koniec z jazdą na gapę, darmowym wożeniem się na plecach Ameryki. Do Białego Domu wraca człowiek, który na wiecu w Montanie mówił tak: „Jeden z prezydentów dużego kraju zapytał mnie: »No cóż, proszę pana, jeśli nie zapłacimy i zostaniemy zaatakowani przez Rosję, czy będzie pan nas chronił?«. Odpowiedziałem: »Nie, nie będę was chronił. Właściwie zachęcałbym ich [Rosjan], żeby zrobili z wami, co chcą. Musicie płacić«".

Podniósł się wtedy okropny wrzask. Mówił o tym prezydent Biden w orędziu o stanie państwa, a „New York Times" pisał: „Jeśli Trump wygra, może porzucić zaangażowanie USA w NATO – sojusz, który istnieje, aby powstrzymać Rosję, i którego Putin nienawidzi". Posypały się komentarze, że Trump zdradzi Zachód i dogada się z Kremlem. Waszyngtońskie bagno wybiło, ruszyło z ofensywą.

A niby co Trump miał mówić rodakom? Nie szkodzi, że nasze granice są dziurawe i 10 tys. nielegalnych imigrantów codziennie wbija się do Ameryki. Nie szkodzi, że miasta zmieniają się w zombielandy półmartwych ludzi zniszczonych narkotykami. Nie szkodzi, że mosty się sypią, a zadłużenie sięga 35 bln dol. Drodzy wieśniacy z Montany, zapłacicie jeszcze więcej podatków na obronę Niemiec i Francji, a w razie czego, poślemy waszych chłopaków od krów do położonej 13 tys. km stąd Europy, by tam ginęli, walcząc z Ruskimi.

UNIA JAK HIMILSBACH

Powinniśmy dziękować Trumpowi za groźby pod adresem sojuszników oszustów i ciągle wypominać, że Europa nie pomagała Ukrainie, bo kraje jak Niemcy były i są rozbrojone, więc nie miały czego przekazać. Przy Trumpie będą krwawić i płacić, a jego prezydentura być może zakończy w Europie skrajnie niewydolny model państwa opiekuńczego, w którym obywatele są traktowani jak ludzie specjalnej troski. Jeśli się Europa nie pozbiera, to prezydentura Trumpa doprowadzi ją do katastrofy gospodarczej i zupełnej nieistotności politycznej. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że przepaść gospodarcza i technologiczna pomiędzy Unią Europejską a Ameryką się pogłębi, pytanie tylko, o ile.

> Trump przeprowadzi zieloną kontrrewolucję, co oznacza, że Unia Europejska zostanie ze swymi ekowariactwami jak Himilsbach z angielskim

W artykule Kellogg i Negrea wielokrotnie wspominają o Polsce, w tym o inicjatywie prezydenta Andrzeja Dudy, by kraje NATO podniosły wydatki na obronność do 3 proc. PKB. Trump to popiera. Dla większości państwa oznacza to wzrost kosztów o 50 proc., a dla Niemiec podwojenie. Wielka Brytania i Francja już podnoszą podatki, by zasypać gigantyczne dziury budżetowe, a Niemcy, które miały niedawno 200 mld euro nadwyżek, nie wiedzą, skąd wziąć marne 13,5 mld przy jednoczesnym skurczeniu się z powodu recesji dochodów budżetowych o 58 mld euro. Skończyło się kupowanie spokoju społecznego, przekupywanie wyborców kosztem bezpieczeństwa Europy.

Jeśli Trump zrealizuje zapowiedzi likwidacji podatku dochodowego, a jest na tyle rozsądnie szalony, że może to zrobić, nastąpi wielka ucieczka przedsiębiorczości z Europy. Wyobrażają sobie państwo taki raj podatkowy? Nie małą wysepkę na Karaibach, ale raj ogromny jak kontynent, niemal dwa razy gospodarczo większy niż Unia. Każdy, kto będzie miał siły, przeniesie się z biznesem do Ameryki, a przynajmniej tam na dworcu w skrytce bagażowej miał będzie siedzibę podatkową.

Niech Europa boi się jeszcze bardziej, bo zmiany w jej modelu funkcjonowania pójdą głębiej, niż uświadamiają sobie jej władcy. Trump nałoży symetryczne cła. Czyli jeśli UE cli amerykańskie samochody, to Stany Zjednoczone oclą niemieckie. I tak z każdym towarem. Jeśli cła pozostaną, to Europie jeszcze trudniej będzie sprzedawać swoje towary w Ameryce. Ale jeśli znikną, zniknie też gigantyczna część dochodów Komisji Europejskiej.

Oficjalnie program Trumpa jest spisany w dokumencie „Agenda 47" (liczba od kolejnej prezydentury), a nieoficjalnie w 2025 Presidential Transition Project Fundacji Heritage, w którym na 900 stronach przedstawiono plan przebudowy USA. Zapowiedziany jest w nim powrót do zniesionego w 1971 r. dolara opartego na parytecie złota i mającego w nim pokrycie. Co się wtedy stanie z euro? Jeśli się Unia nie dostosuje, to Frankfurt, jej największe centrum finansowe, będzie można zamknąć, zaorać i zasadzić tam ekologiczne kartofle.

Ale w zwycięskim Trumpie jest i gospodarcza nadzieja dla Europy. Zapowiada on porzucenie szaleństw klimatyzmu i Zielonego Ładu, który to termin nie został wymyślony w Unii, ale przejęła go administracja Bidena od lewackiej kongresmenki Alexandrii Ocasio-Cortez. Trump zrealizuje zawołanie republikanów: „Drill baby, drill" („Wierć kochanie, wierć"), co oznacza powrót do paliw kopalnych na ogromną skalę. Jak za jego pierwszej kadencji, USA staną się eksporterem netto energii i surowców paliw. Wypowiedziane zostaną porozumienia klimatyczne i skasowane od pierwszego dnia szaleńcze projekty, jak z Electric Vehicles Act, w ramach którego za 7,5 mld dol. zbudowano osiem stacji ładowania samochodów elektrycznych. Obłąkańcze eko-organizacje stracą finansowanie od

eprasa.pl e34f39cd17

amerykańskiego rządu. Dla wielu zabraknie pieniędzy, bo same Niemcy nawet z pomocą Chin ich wszystkich nie sfinansują.

Trump przeprowadzi zieloną kontrrewolucję, co oznacza, że Unia Europejska zostanie ze swymi ekowariactwami jak Himilsbach z angielskim. W takich warunkach władcy UE nie będą mogli bez końca oszukiwać poddanych i zmuszać do płacenia ETS – podatków od powietrza, nieustającej wymiany instalacji grzewczych. Nie zdołają zakazać latania, jedzenia mięsa itp.

PŁONIE TĘCZA I PŁACZĄ GEJE

Energię, czyli pieniądze i wsparcie, stracą też organizacje LGBTVN i żaden amerykański ambasador nie będzie jeździł po kraju jak po swej kolonii ani pouczał, jak prowadzić tęczową indoktrynację. Trump nie da zniszczyć kobiecego sportu, a więc pozwalać facetom udającym kobiety rywalizować z nimi. Wielokrotnie to zapowiadał. Za Ameryką pójdzie sportowy świat. Cały świat dowie się też, jak koszmarne konsekwencje, zwłaszcza u dzieci, ma praktyka „zmiany płci", bo specjalna komisja przy Agencji Żywności i Leków (Food and Drug Administration) zbada m.in., jak podawanie chemii i hormonów zwiększa ryzyko depresji, agresji i przemocy.

Trump zapowiada cofnięcie rewolucji obyczajowej i wielki powrót państwa do fundamentów zachodniej cywilizacji. Nawet budynki za pieniądze federalne będą musiały odwoływać się swą architekturą do amerykańskiej i klasycznej tradycji. Żaden koszmarny jak psychiatryk kontener nie stanie i nie będzie udawał muzeum jakiejś tam niby-sztuki. A co w Ameryce, to i w znacznej części świata. Ustalmy: mamy w Polsce postępującą rozwiązłość, ideologię LGBT+ nie dlatego, że sobie tak wymyśliliśmy, ale dlatego, że kopiujemy nawet najgłupsze wzorce i nasi jasno oświeceni zaimportują z Zachodu każdą najlichszą tandetę kulturową i intelektualną. Spadnie światowa podaż badziewia, to i do nas mniej go trafi.

Ameryka pozostanie strefą wolności słowa, z której i my będziemy korzystać.

Dla Polski najważniejsze jest pytanie, co zrobi Trump, by udało się wreszcie zakończyć wojnę na Ukrainie

> Trump zapowiada cofnięcie rewolucji obyczajowej i wielki powrót państwa do fundamentów zachodniej cywilizacji

Nie będzie cenzury w mediach społecznościowych, jak wzorem Europy chciała zaprowadzać Kamala Harris. Elon Musk dał tak ogromne wsparcie Trumpowi, że Komisja Europejska może zapomnieć o grożeniu zamknięciem platformy X, jeśli nie zaprowadzi cenzury.

Zapał i entuzjazm udzielą się prawicowym i konserwatywnym ugrupowaniom w Europie. Urosną w siłę, bo zza Atlantyku będą płynąć dowody na to, że można prowadzić politykę, która jest troską o ludzi i wspólnotę, a nie narzędziem do zaprowadzania nowego ładu. Zmiany nastąpią w mediach. Dziś 90 proc. tych głównych jest skrajnie nieprzychylna Trumpowi, a niektóre w swej nikczemności porównują go do Hitlera. Nie da się wiecznie kłamać. Niezrównana w swych wyskokach jest małżonka ministra Sikorskiego Anne Applebaum, która publicznie w książce i w artykułach w „The Atlantic" nazywała Trumpa „debilem" i „obłąkanym starcem" oraz porównywała go do Hitlera i Stalina. Państwo Sikorski-Applebaum może się w Waszyngtonie nie pokazywać, a rząd Tuska nie będzie żadnym partnerem. Za to wzrosną szanse kandydata prawicy w wyborach prezydenckich i na budowę CPK, bo Amerykanie wspierają ją ze względów militarnych, i elektrowni atomowych, bo to oznacza przypilnowanie kontraktów dla GE i Westinghouse.

Na znaczeniu stracą wielkie pasożytnicze organizacje międzynarodowe od globalizmu. Trump jak za pierwszej kadencji wypisze Amerykę z WHO. Po co komu zadawać się z prowadzoną przez etiopskiego komunistę Tedrosa Ghebreyesusa ekspozyturą chińskich służb, z UNICEF, a po ONZ przejedzie się jak izraelskie czołgi po ONZ-owskich posterunkach w Libanie. Nie będzie płacił, by portugalski lewak, sekretarz generalny António Guterres latał sobie na zloty BRICS i obściskiwał się ze zbrodniarzem Putinem.

Mój Ty kochany Donaldzie, Jeźdźcu Bez Trzymanki i Jeźdźcu Bez Głowy, pomarańczowy populisto, wariacie, megalomanie i trybunie ludowy. To będą cztery piękne lata.

eprasa.pl e34f39cd17

Donald Trump nie ocalałby do dnia wyborów, gdyby nie jego siła osobowości i unikalna zdolność oddziaływania na ludzkie masy. Bez względu na wynik i dalsze konsekwencje wtorkowych wyborów nie ma wątpliwości, że to dziś jedyny tak charyzmatyczny przywódca w demokratycznym świecie

Ocalony

JAN ROKITA

Na finał amerykańskiej kampanii wyborczej obóz Kamali Harris przygotował trzy spektakularne akcje, mające ostatecznie „dobić" kandydaturę Donalda Trumpa. Najpierw pojawiła się więc jeszcze jedna modelka/kurtyzana, która obiegła globalne media z rewelacją, iż przed laty, w 1993 r., po prezentacji przez bodaj najsłynniejszego sutenera naszej epoki Jeffreya Epsteina, Trump niezwłocznie przystąpił do „obmacywania jej ciała". Zaraz potem z cyklem wywiadów (z „The New York Times" na czele) wystąpił gen. John Kelly, zasłużony dowódca piechoty morskiej podczas wojny irackiej, a potem, za Trumpa, szef personelu Białego Domu, który jednak w 2018 r. skłócił się z ówczesnym prezydentem i został zmuszony do odejścia. Od tamtego czasu Kelly żywi szczere i nieskrywane pragnienie odwetu na swoim pryncypale, a teraz, pozyskany przez kampanię Harris, przeprowadził ideologiczną analizę sylwetki Trumpa, dochodząc do wniosku, iż ów „bez wątpienia podpada pod ogólną definicję faszysty". A przy okazji nie omieszkał przypomnieć sobie, że jakiś czas temu Trump „znieważył rannych i poległych żołnierzy" podczas odwiedzin słynnego cmentarza Arlington.

Jako puenta tych akcji zostały zaplanowane występy dwóch sławnych żon prezydenckich – Michelle Obamy oraz Hillary Clinton, których kampanijne role zostały wyraźnie podzielone. Clinton przydzielono rolę ideologiczną. Jej zadaniem było wzmocnić przesłanie Kelly'ego o faszystowskich nawykach i upodobaniach Trumpa. Kiedy zatem sztab republikanów zapowiedział na zeszłą niedzielę wielki wiec Trumpa w położonej na Manhattanie historycznej hali Madison Square Garden, Clinton wystąpiła z pełnym zaangażowania potępieniem tego wiecu jako kontynuacji zjazdu amerykańskich wielbicieli Hitlera mającego tam miejsce w 1939 r. Z kolei Obama otrzymała rolę kobiecego autorytetu, który ma nie pozwolić zapomnieć amerykańskim obywatelkom, iż Trump to prawdziwy wróg kobiet, „drapieżca seksualny", w istocie gwałciciel. Oglądałem fragmenty wiecu Harris i Obamy

Fot. Phil Mistry/Shutterstock.com

eprasa.pl e34f39cd17

w stanie Michigan, w trakcie którego ta ostatnia z żarliwością i emocjonalnym uniesieniem przestrzegała kobiety przed Trumpową mizoginią, zaś Harris radośnie głosiła pochwałę przerywania ciąży.

PRAWORZĄDNE SĄDY

Jak widać, sposoby mobilizacji wyborców przeciw Trumpowi trudno uznać za szczególnie wymyślne, co nie znaczy, że nie mogą się one okazywać. Zresztą cała obecna amerykańska kampania jest wyjątkowo niskich lotów. Niemniej jeśli akcje podejmowane teraz przeciw Trumpowi zestawić z tym, co planowano jeszcze jakiś rok temu, to uderzająca staje się nieskuteczność amerykańskiej lewicy w zwalczaniu prawicowego kandydata.

Trump miał zostać skazany pod pretekstem wielu najrozmaitszych zbrodni – od oszustw podatkowych, gwałtów dokonanych na kobietach aż po zorganizowanie zamachu na ustrój i konstytucję, a to wszystko miało doprowadzić do wykluczenia jego kandydatury z wyścigu prezydenckiego. Jako uwięziony zbrodniarz i nazista stanowiący zagrożenie dla Ameryki i świata, miał zostać odrzucony ze wstrętem przez normalnych Amerykanów niezależnie od tego, jakie by mieli sympatie partyjne i poglądy.

To wszystko wzięło jednak w łeb, a powody tego są co najmniej dwojakiego rodzaju. Jedne tkwią bez wątpienia w sile amerykańskich instytucji, które, choć osłabione zaciekłością konfliktu politycznego, jakiego Ameryka nie znała od czasu wielkiego kryzysu z lat 30. XX w., nadal okazują się odporniejsze niźli np. rozchwiane i dyspozycyjne instytucje państwa polskiego. Lidera opozycji nie udało się w Ameryce ani skazać na więzienie, ani skutecznie aresztować. I to nie ze strachu rządzących (czyli tak jak w Polsce), bo elita demokratów dążyła do tego wszelkimi sposobami. W USA nie wystarczył jednak ani nacisk ze strony lewicowego establishmentu i wielkich mediów (zarówno tradycyjnych, jak i cyfrowych), ani upartyjnienie prokuratury, zwłaszcza tej federalnej i nowojorskiej, które oskarżały Trumpa, ani wreszcie oczekiwanie świata, zwłaszcza większości przywódców europejskich. Na przeszkodzie stanęło bowiem elementarne poczucie praworządności amerykańskich sądów.

AUTENTYCZNY GAWĘDZIARZ

Ale Trump nie ocalałby aż do dnia wyborów, gdyby nie jego siła osobowości i unikalna zdolność oddziaływania na ludzkie masy. Bez względu na wynik i dalsze konsekwencje wtorkowych wyborów nie ma wątpliwości, że to dziś jedyny tak charyzmatyczny przywódca w demokratycznym świecie. Trump ani nie mówi niczego nadzwyczajnego, ani tego, co mówi, nie wyraża w jakiejś porywającej formie.

W zeszłą niedzielę słuchałem na żywo jego długiej, rozwlekłej mowy w nowojorskiej Madison Square Garden. Najpierw odczytał z promptera główne elementy swego programu skoncentrowanego wokół inflacji, podatków, spraw społecznych oraz imigracji, a także przekazał uczestnikom wiecu szczegółowe, oczywiście bardzo optymistyczne informacje o przewadze, którą już zdobył w poszczególnych, kluczowych dla wyniku wyborczego „swing states".

Jednak w pewnym momencie sam zakpił ze swojego czytania z promptera, przy okazji zgryźliwie uderzając w powszechnie znany brak umiejętności przemawiania Kamali Harris. I zaczął niekończący się spontaniczny cykl dygresji, historii i anegdot, opowiadanych czasem trudnym do zrozumienia dla Polaka potocznym językiem amerykańskiego ludu. O ludziach jego zdaniem mądrych albo „idiotach", o niezwykłych technologiach, które pokazywał mu Elon Musk, o kłopotach w tym albo innym amerykańskim mieście, o złych i nieceniących Ameryki imigrantach, o własnych dzieciach... I tak bardzo, bardzo długo, ku widocznemu zachwytowi reagującej niemal na każde jego zdanie publiczności. I dopiero w finale długiej mowy znów wrócił do promptera, gdzie miał przygotowane dobrze brzmiące hasła i frazesy, którymi należało zakończyć mowę ku zbudowaniu wiary i optymizmu słuchaczy.

Podobna, nawet trochę bardziej barwna historia z prompterem zdarzyła się też wcześniej podczas mowy, którą Trump głosił na zlocie organizacji katolickich. Nie szło mu najlepiej czytanie z tego urządzenia, więc rzucił jakiś sprośny dowcip na temat Harris, przerwał i bąknął w sposób słyszalny dla publiczności: „To paskudne, paskudne... Mówiłem tym idiotom, którzy mi to dali, że to jest za trudne". I przeszedł do swej klasycznej ludowej pogadanki. To, że Trump jest „autentyczny", i to w sposób, którego nie potrafiłby imitować nikt, nawet utalentowany i przeszkolony przez spin doktorów polityczny aktor, zauważają wszyscy, którzy zastanawiają się nad fenomenem jego powrotu. „Twoja fala idzie coraz szerzej" – powiedział doń ironicznie Joe Rogan, twórca podcastu skierowanego do mężczyzn, słuchanego ponoć przez kilkadziesiąt milionów amerykańskich chłopców i mężczyzn, gdy Trump w toku trwającej na żywo trzygodzinnej pogawędki przeszedł od opowiadania o charakterze prezydenta Lincolna do kwestii zabijanych wielorybów.

Jakiż europejski polityk zdecydowałby się tak sobie spontanicznie gawędzić o wszystkim przez trzy godziny, świadom, że słuchają go miliony wyborców?! „Ludzie mają już dość tych wszystkich mówiących gów...ym, przygotowanym z góry żargonem politycznym. I nawet jak się z tobą nie zgadzają, to mają pewność, że ten facet to ty. Prawdziwy ty" – mówił Rogan do swojego gościa. A pewien amerykański internauta dość celnie ujął to tak: „Nie ma nic nieautentycznego w Trumpie. To, co widzisz i słyszysz, jest dokładnie tym, co dostajesz... On napędza narrację, a nie podąża za nią. Harris zawsze jest naśladowcą, niezdolnym do niczego innego".

Nawiasem mówiąc, ta długa gawęda z Roganem była jednym z najlepszych przedsięwzięć kampanii republikanów. W kulturze, w której panuje psychiczny terror feministek i nieustannej walki o tzw. prawa kobiet, Trump występuje jako rzecznik męskiej części amerykańskiego społeczeństwa. A badania opinii wskazują, że jeśli wygra, to właśnie dzięki młodym mężczyznom, i to bynajmniej nie tylko białym, ale także latynoskim, czarnym i arabskim, co obala powszechną na lewicy diagnozę o rasistowskim nastawieniu jego wyborców. Tymczasem demokraci wraz z napędzaniem się tzw. wojny kulturowej stają się coraz w większym stopniu partią kobiet, a proces ten przyspieszył, odkąd hasło swobody aborcyjnej zdominowało kampanię Harris, uważającej, iż jest to absolutnie najdonioślejsza polityczna kwestia współczesnej Ameryki.

eprasa.pl e34f39cd17

WYŁOM W CENZURZE

Szczęściem Trumpa okazała się być zmiana właściciela Twittera, który swego czasu „zbanował" byłego prezydenta, a teraz został kupiony przez Elona Muska. Jak wiadomo, stał się on najważniejszą gwiazdą na wiecach wyborczych republikanów. Ale ważniejszym politycznym skutkiem tamtej transakcji było dokonanie wyłomu w cenzurze, jaką przeciw Trumpowi zgodnie stosowały wcześniej wszystkie koncerny Big Tech.

W kampanii 2020 r. wielkie platformy i media tradycyjne zablokowały dostęp oraz informacje na temat sensacyjnych treści wykrytych w komputerze Huntera Bidena, wskazujących na szantaż i korupcję, którymi syn kandydata demokratów posługiwał się w stosunkach biznesowych na Ukrainie. Działo się to trzy tygodnie przed ówczesnymi wyborami, ale Amerykanie (poza wąską elitą) nie otrzymali dostępu do tych informacji. Wolność słowa, jaką Musk zagwarantował na dawnym Twitterze, tym razem uniemożliwia tego rodzaju zmowę. A pod wpływem Muska drugi potentat medialny – Jeff Bezos – zabronił czołowej antytrumpowej gazecie „The Washington Post" udzielić poparcia Kamali Harris. Skądinąd wywołało to panikę i faktyczną destrukcję dotychczasowej redakcji.

ABSURDY PROPGANDY

Do oglądania na żywo wiecu Trumpa w nowojorskiej The Garden siadłem w zeszłą niedzielę ok. 18.00, a od ekranu wstałem po 2.00 w nocy, gdy Trump zakończył swoją długą mowę. Rzadko kiedy zdarzało mi się widzieć równie fascynujące zjawisko z dziedziny polityki. Wbrew temu, co powtarzały potem wszystkie media (z portalem wPolityce.pl włącznie), nie dopatrzyłem się w ciągu tych ośmiu godzin przejawów rasizmu. Trudno bowiem uznać za rasizm opowiedzenie przez niezbyt politycznie rozgarniętego komika jednego z setek popularnych w Ameryce „Puerto Rican jokes", co zgodnie z wymogami antytrumpowej propagandy zostało potem wybite na czołówki największych gazet i portali. Równie dobrze można by niemiłe dla nas „Polish jokes" przedstawiać jako dowód pogardy i polonofobii Amerykanów. Niestety współczesna propaganda nie zna chyba granic absurdu.

Podczas tego wiecu zwolennicy Trumpa wysłuchali nie tylko mowy swojego kandydata, lecz także wcześniej kilkudziesięciu wystąpień w charakterze supportu. Od komików i aktorów oraz szkolnych kolegów kandydata poprzez jego sztabowców, konserwatywnych kongresmenów, aż po synów Trumpa, jego żonę i Elona Muska. W wielotysięcznej publiczności The Garden przeważali – zgodnie ze społeczną logiką obecnej kampanii Trumpa – młodzi mężczyźni. Ich największy entuzjazm budziły nawoływania mówców do obrony rodziny i wolności słowa przed agresją lewicowej ideologii oraz zapowiedzi powrotu do polityki ochraniającej pracę i zarobki zwykłych Amerykanów przed inflacją i naporem migrantów z Ameryki Łacińskiej. Sam Trump celowo skoncentrował się właśnie na tej ostatniej kwestii.

Nie ma wątpliwości, że atmosfera wokół migracji mocno się zmieniła od czasu poprzednich wyborów prezydenckich z 2020 r., nie tylko w Europie, lecz także w USA. Może najlepszym tego dowodem jest fakt, iż po twardo antyimigracyjnym wiecu nowojorskim republikanów kilku lewicowych senatorów ubiegających się o odnowę swego mandatu (m.in. Brown z Ohio, Baldwin z Wisconsin i Casey z Pensylwanii) nerwowo wycinało swoje reklamy wspierające politykę imigracyjną ekipy Bidena i Harris, najwyraźniej z obawy o reakcję swoich wyborców. Zdaje się, że ci pragmatyczni parlamentarzyści szybciej pojęli przemiany społeczeństwa amerykańskiego niźli sama Harris i jej kampanijni doradcy. Dobrze obrazuje to bodaj najmocniejszy spot propagandowy wyemitowany przez kampanię Trumpa. Jego bohaterką jest właśnie Kamala Harris, która z emocjonalną pasją przyrzeka, iż jej rząd sfinansuje z podatków operacje zmiany płci wszystkim więźniom, którzy sobie tego zażyczą. A potem spokojny męski głos mówi: „Kamala jest dla nich. Prezydent Trump dla ciebie".

25/1024/F

REKLAMA

eprasa.pl e34f39cd17

Granica kłamstwa

Co najmniej 10 mln migrantów przedostało się nielegalnie do USA w ciągu ostatnich czterech lat. W obliczu wyborów prezydenckich demokraci robią co mogą, by ukryć ten fakt. Ale w kwestii migracji Amerykanie ufają Trumpowi, a nie Harris

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Logansport w Indianie, położone na skrzyżowaniu rzek Eel i Wabash, niegdyś słynęło z produkcji karuzeli, dziś otaczają je rozległe farmy wiatrowe. Założone w 1826 r., za prezydentury George'a Busha trafiło na listę gmin historycznych i liczy niecałe 18 tys. mieszkańców. To znaczy liczyło, bo teraz jest ich o ponad 2 tys. więcej. Tyle nielegalnych migrantów napłynęło w ostatnich miesiącach do miasteczka, które błaga o pomoc władz federalnych. Większość przybyła z Haiti, przez Nikaraguę i Meksyk. Często są to nieletni, w zasadzie dzieci, a w Logansport nie ma dla nich ani mieszkań, ani miejsc w szkołach. Dlaczego postanowili osiedlić się akurat tu, w miejscu odległym o 90 min jazdy samochodem od stolicy stanu, Indianapolis? W Logansport działa duża fabryka przetwórstwa mięsa i mieli nadzieję znaleźć tam prace.

W ostatnich latach wiele małych miasteczek w USA przeżyło podobny napływ migrantów, choćby Springfield w stanie Ohio czy Charleroi w Pensylwanii. Republikanie obwiniają za ten stan rzeczy administrację Joe Bidena i Kamali Harris. Ta ostatnia miała zwalczać „podstawowe przyczyny migracji", a nawet została złośliwie okrzyknięta „carycą granicy", ale poza wizytą w Gwatemali, gdzie przekonywała mieszkańców, by nie przyjeżdżali do USA, niewiele zdziałała.

FRYZOWANIE DANYCH

Według Pew Reserach Centre w 2023 r. liczba osób żyjących w USA, a urodzonych za granicą osiągnęła rekordowe 47,8 mln, co oznacza wzrost o 1,6 mln w porównaniu z rokiem poprzednim. Imigranci stanowią obecnie 14,3 proc. populacji Stanów Zjednoczonych. W 1970 r. było to 4,7 proc. A kryzys na granicy z Meksykiem trwa nieprzerwanie.

Krytycy zarzucają demokratom, że manipulują danymi dotyczącymi nielegalnej migracji. Oficjalnie od chwili pierwszego pełnego miesiąca urzędowania Bidena i Harris w Białym Domu granice na południu, północy oraz drogą morską nielegalnie przekroczyło 7,15 mln osób. Jak twierdzi brytyjski dziennik „The Daily Telegraph", w rzeczywistości było ich jednak o ponad 2 mln więcej. Gazeta wysłała pytanie do Urzędu Celnego i Ochrony Granic w ramach prawa dostępu do informacji i agencja przyznała, że nie wliczyła do statystyk tych migrantów, którzy prześlizgnęli się przez granicę i nie zostali zarejestrowani, tzw. gotaways. A od lutego 2021 r. do września 2024 r. było ich ok. 1,8 mln.

Konserwatywne media za oceanem mówią nawet o 10 mln nielegalnych mi-

Fot. David Peinado Romero/Shutterstock.com

eprasa.pl e34f39cd17

grantów, którzy w ciągu ostatnich czterech lat przedostali się do USA. Według Sama Hankinsona, eksperta Heritage Foundation, „demokraci celowo usiłują ukryć prawdziwe oblicze nielegalnej migracji". I nic w tym dziwnego. Za prezydentury Donalda Trumpa osób, którym udało się sforsować granice, było o 6 mln mniej.

Podobnie alarmujące są doniesienia o rosnącej liczbie nielegalnych migrantów skazanych lub podejrzewanych o popełnienie poważnych przestępstw, którzy nie przebywają w ośrodkach detencyjnych, czyli są na wolności, a powinni zostać deportowani. Departament Bezpieczeństwa Krajowego przekazał kongresmenowi republikanów z Teksasu Tony'emu Gonzalesowi najnowsze statystyki, z których wynika, że liczba takich osób wynosi 7,4 mln (ponad 13 tys. z nich ma na koncie wyrok za morderstwo). Gdy Donald Trump opuszczał Biały Dom w 2020 r., było ich o ponad połowę mniej.

INSTRUKCJE Z TIKTOKA

Zdaniem Gonzalesa te dane są „niezwykle niepokojące" i „powinny być sygnałem alarmowym" dla administracji w Waszyngtonie oraz polityków demokratów, którzy zarządzają tzw. miastami sanktuariami odmawiającymi współpracy z władzami federalnymi w kwestii migracji.

Od wielu tygodni Amerykanie śledzą w mediach poczynania brutalnego gangu z Wenezueli Tren de Aragua, który przejął kilka bloków mieszkalnych w mieście Aurora w Kolorado, terroryzując jego mieszkańców i wymuszając na nich m.in. płacenie haraczy. Według Fox News, która powołuje się na lokalne władze, gang obrał sobie Aurorę za miejsce pobytu, bowiem Denver, stolica stanu, leżąca zaledwie 16 km dalej, jest takim miastem sanktuarium.

W Lockland w Ohio, do niedawna spokojnym przedmieściu Cincinnati, mieszkańcy mierzą się z nagłym napływem ponad 3 tys. migrantów z Afryki. Z tego powodu liczba mieszkańców Lockland, wynosząca dotąd 3,5 tys. osób, niemal się podwoiła. Migranci pochodzą głównie z Mauretanii, a do miasteczka trafili za pomocą instrukcji z TikToka i WhatsAppa. Burmistrz Mark Mason jest w rozpaczy. „Jeśli chcą dalej prowadzić politykę otwartych granic, to niech wysyłają tych ludzi do miejsc, gdzie są w stanie sobie z nimi poradzić. Lockland to miejscowość o powierzchni 3 km²" – podkreślił w rozmowie z „New York Post".

OPERACJA „AURORA"

Do Springfield w Ohio przez ostatnie cztery lata urzędowania Bidena i Harris dotarło ponad 20 tys. nielegalnych migrantów z Haiti. Miasto, niegdyś kwitnące centrum przemysłowe, obecnie boryka się z wysokim bezrobociem i rosnącą biedą. Populacja spadła z ponad 80 do 50 tys., z czego dziś prawie połowa to Haitańczycy. Napięcia między rdzenną społecznością a tą napływową są duże. We wrześniu po mediach społecznościowych krążyły nagrania rzekomo pokazujące Haitańczyków jedzących zwierzęta domowe oraz kradnących gęsi i kaczki z lokalnych stawów. Nie udało się potwierdzić ich autentyczności, ale i tak stały się jednym z tematów kampanii prezydenckiej.

„Nie chcemy tu Haiti!" – krzyczeli zwolennicy Donalda Trumpa na jednym z wieców. W kampanii politykowi towarzyszyła zresztą matka 12-latki, zgwałconej i zamordowanej przez nielegalnych przybyszy z Wenezueli. Trump obiecał, że w przypadku wyborczego zwycięstwa deportuje wszystkich nielegalnych migrantów za pomocą ustawy o obcych i buntach (Alien Enemies Act) z 1798 r. oraz rozprawi się z przestępczymi gangami za pomocą federalnej operacji „Aurora", która miałaby ruszyć zaraz po jego inauguracji. Jak twierdzi, „będzie to też koniec miast sanktuariów". Harris, jeśli wygra, także zobowiązała się do zaostrzenia bezpieczeństwa granic.

ZDĄŻYĆ PRZED WYBORAMI

Sondaże pokazują, że imigracja jest jednym z priorytetów wyborców. Według badań Ipsos stanowi ona kluczowe zagadnienie dla 90 proc. wyborców republikanów i 50 proc. demokratów. Tyle że mają oni większe zaufanie do zdolności Trumpa niż do Harris w tej dziedzinie (46 proc. – 26 proc.).

Skoro tak, to Harris postanowiła najwyraźniej ukryć część chaosu wywołanego liberalną polityką migracyjną swojej administracji. Jak twierdzą amerykańskie media, migranci są przewożeni z San Diego w Kalifornii, gdzie gromadzili się w ostatnich miesiącach, do Teksasu i Arizony. „Co tydzień autobusy są wysyłane do Yumy w Arizonie, a trzy do czterech samolotów do McAllen w Teksasie" – twierdzi nadzorca straży granicznej hrabstwa San Diego Jim Desmond, cytowany przez „New York Post". Autobusy i loty kursują od miesięcy, ale ich częstotliwość tuż przed wyborami znacznie wzrosła. Wzrosła także liczba migrantów zwalnianych z centrów deportacyjnych, by według gazety „sprawić wrażenie, że jest ich mniej".

Administracja Bidena zawarła zresztą w grudniu ub.r. porozumienie z Meksykiem, aby wstrzymał on przeprawę setek tysięcy kolejnych migrantów do USA. Niedoszli „ubiegający się o azyl" zostali zatrzymani w pobliżu granicy i wysłani do takich miast jak Tapachula, jednego z najbardziej wysuniętych na południe ośrodków Meksyku, położonego przy granicy z Gwatemalą, gdzie są przetrzymywani, by, jak twierdzi gazeta, nie wpłynąć na notowania Kamali Harris. Niektórym udało się jednak wydostać z ośrodków recepcyjnych. Dwa tygodnie temu ponad 2 tys. nielegalnych migrantów wyruszyło w drogę z Tapachuli do granicy z USA.

NISKIE MORALE

Dlaczego? Bo obawiają się, że ktokolwiek zostanie wybrany do Białego Domu 5 listopada, może całkowicie zakończyć program azylowy i pomoc dla migrantów. W rezultacie uważają, że najbliższe miesiące do zaprzysiężenia nowego prezydenta 20 stycznia będą ostatnią szansą na przekroczenie granicy. Wcześniej inne grupy migrantów wyruszyły z Ameryki Środkowej w kierunku USA – jedna liczyła 600, druga 800 osób.

Pracownicy straży granicznej nie kryją, kogo wolą w roli prezydenta. Dzień po tym, jak grupa licząca 2 tys. migrantów wyruszyła z Tapachuli, Krajowa Rada Straży Granicznej oficjalnie poparła Donalda Trumpa. Nie jest to zaskakujące, bowiem wiadomo, że morale wśród strażników spada. Zmusiło to Służbę Celną i Ochrony Granic do zatrudnienia pierwszego suicydologa, który miał pomóc w walce z rosnącym wskaźnikiem samobójstw wśród funkcjonariuszy. W 2022 r. agencja odnotowała rekordową liczbę 15 takich zdarzeń.

eprasa.pl e34f39cd17

Chwała i niesława

O czym myślą Jarosław Kaczyński i Donald Tusk?

STANISŁAW JANECKI

Zaglądanie politykom do głów jest ryzykowne, ale nawet nie trzeba tego robić, żeby zrekonstruować to, o czym myślą, a co ma wpływ na losy milionów ludzi. Analiza najważniejszych problemów politycznych liderów nie jest tym, czego medycy dowiadują się z pomocą rezonansu magnetycznego czy tomografii, ale nie jest też żadną czarną magią. I absolutnie nie powinna być zlewozmywakową psychoanalizą, którą ku uciesze zainteresowanych przeprowadzają różni komentatorzy czy przedstawiciele nauk społecznych. Tym bardziej jeśli śledzi się ich działania od kilku dekad. O czym pod koniec 2024 r. mogą myśleć liderzy największych polskich partii, czyli Jarosław Kaczyński i Donald Tusk? Szczególnie interesujące jest to, czy dla czołowych polskich polityków sprawowanie władzy jest większym problemem niż bycie w opozycji i z czym się trzeba wówczas konfrontować. Parafrazując Jarosława Iwaszkiewicza, można powiedzieć, że w myśleniu politycznych liderów chwała walczy z niesławą, a w dodatku ta pierwsza jedzie na bardzo pstrym koniu.

TUSK W STRACHU, KACZYŃSKI PO STRACHU

Premier Donald Tusk myśli przede wszystkim o tym, żeby nie oddać władzy w wyborach prezydenckich w 2025 r. oraz w parlamentarnych w 2027 r. Boi się, że tracąc władzę, on i jego ekipa mogą ponieść karne konsekwencje związane z przestępstwami z art. 127 i 128 Kodeksu karnego (przestępstwa przeciwko Rzeczypospolitej). Formalnie może on stanąć tylko przed

Fot. Andrzej Wiktor 2x, Shutterstock

eprasa.pl e34f39cd17

Trybunałem Stanu, a to sprawa ani prosta, ani szybka, ale przestępstwa przeciwko własnemu państwu mogą być jednak prawnie precedensowe. Prezydent wywodzący się z obozu obecnie rządzącego byłby po 2027 r. polisą bezpieczeństwa np. poprzez możliwość ułaskawienia (skazani przez Trybunał Stanu nie mogą być ułaskawieni).

Tusk jeszcze nie wie, jak, ale musi zabetonować system w prokuraturze i sądownictwie oraz w CBA (chyba że zostanie ono zlikwidowane) i ABW, żeby miały utrudnione prowadzenie śledztw po ewentualnej przegranej w wyborach parlamentarnych w 2027 r. Musi też zalegalizować przejęcie mediów publicznych poprzez zmiany w ustawach, żeby używać ich także do własnej obrony. Tusk cały czas myśli o uciszeniu mediów prywatnych, które łamią monopol informacyjny (manipulacyjny) rządzących, do czego przesłanki są w umowie koalicyjnej. W jej części drugiej znalazł się taki zapis: „Doprowadzimy do rozliczenia przez niezależną prokuraturę i niezawisłe sądy wszystkich osób winnych: [...] d) zorganizowanego systemu siania nienawiści w mediach rządowych i innych środkach masowej komunikacji skierowanego przeciwko obywatelom, działaczom opozycji i organizacji pozarządowych".

Od utraty władzy w 2023 r. Jarosław Kaczyński myśli przede wszystkim o tym, żeby Prawo i Sprawiedliwość nie przestało być największą partią, także pod względem wyników wyborczych. Sprzyja temu fakt, że koalicja 13 grudnia zdobyła w ostatnich wyborach parlamentarnych większość, ale żadna z tworzących ja partii nie wygrała wyborów – najlepszy wynik miało PiS. A nie sprzyja to, że Prawu i Sprawiedliwości nie udało się wygrać wyborów europejskich 9 czerwca 2024 r., gdy Koalicja Obywatelska zdobyła jeden mandat więcej i uzyskała o 106 274 głosy więcej (1,89 pp.). Odpowiednia wielkość PiS nawet przy cięciach dotacji i subwencji pozwala partii przetrwać najcięższe czasy.

Uznając, że PiS nie dało się zepchnąć do defensywy i wyłącznie działań obronnych, Kaczyński myśli teraz o przejęciu inicjatywy, poczynając od narzucenia swojej narracji o współczesnej Polsce oraz rządach Donalda Tuska. Najgorsze jest już za nim. Mamy więc strach premiera przeciwko uwolnieniu się od strachu przez Kaczyńskiego. Prezes PiS myśli o tym, żeby jego formacja się nie kurczyła ani nie podlegała procesom rozsadzania od środka, co zdarzyło się w 2010 r. Zjednoczenie z Suwerenną Polską było sygnałem, że w trudnym czasie (oddanie władzy po wyborach 15 października 2023 r., represje ze strony prokuratury i służb, polowanie na czarownice) partia się nie zmniejsza, lecz powiększa. I nie słabnie.

ZDRADA KONTRA SUKCESJA

Tusk myśli o tym, w którym momencie koalicja 13 grudnia może się rozsypać i doprowadzić do rozbicia rządzącej większości. Wie, że do rozłamów dochodzi prędzej czy później, a nawet jeśli nie, to za jedność trzeba płacić coraz wyższą cenę, czyli kupować lojalność koalicjantów. Ale istnieje cena graniczna, po przekroczeniu której utrzymanie jedności przestaje mieć sens. Tusk cały czas myśli też o tym, kiedy skończy się lojalność wobec niego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Z Polską 2050 ma pod tym względem mniejszy problem, bowiem to partia świeża, a Szymonem Hołownią można znacznie łatwiej manipulować niż Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Na każdym etapie rządów Tuska w przeszłości pojawiali się wewnętrzni wrogowie, których musiał zwalczać, z wyrzuceniem partii włącznie. Na obecnym etapie jeszcze się nie pojawili tacy otwarci wewnętrzni wrogowie, ale przewodniczący PO już myśli, jak można ich szybko usunąć, żeby gangrena objęła jak najmniejszą część partii. Tusk jest wprawdzie oficjalnie niekwestionowanym wodzem i trzyma partię za gardło, ale w takich systemach prędzej czy później pojawi się jakiś Brutus, który widzi dla siebie szansę w politycznym „ojcobójstwie" i premier poważnie o tym myśli, mimo że oficjalnie nie widać kogoś takiego.

Dla 75-letniego Jarosława Kaczyńskiego problemem jest sukcesja, a ona jest bezpieczna wyłącznie wtedy, gdy następca gwarantuje przynajmniej utrzymanie *status quo*. Prezes PiS uważa zapewne, że należy ją wstrzymać, gdyby groziło to wewnętrznymi konfliktami i walkami frakcyjnymi, ale nie można tego robić bez końca. Granie sukcesją i poszczególnymi aspirującymi do niej politykami może utrzymywać partię w odpowiedniej mobilizacji i temperaturze politycznych debat, ale taka gra też nie może się toczyć w nieskończoność. Kaczyński już od kilku lat myśli o odpowiednim momencie, ale ten wciąż nie nastąpił. Problemem prezesa PiS jest też to, czy następca powinien starać się być taki jak on, czy całkiem inny, a jeśli tak – jak to wpłynie na jedność i skuteczność partii.

Kaczyński myśli o tym, jakie powinny być proporcje w kierownictwie partii między „starymi" i „młodymi". „Starzy", nawet jeśli nie są tak sprawni, wygadani i obrotni jak „młodzi", zdali już wiele testów lojalności i egzaminów skuteczności, więc osłabianie ich wpływów może wcale nie być korzystne. Z kolei „młodzi" najczęściej myślą o partii jak o korporacji, co czyni ich mniej ideowymi i stwarza większe ryzyko nielojalności w momencie kryzysu. Ale partia taka jak PiS nie może być wizerunkowo „stara", bo to odstręcza od niej młodszych wyborców. Kaczyński właściwie zawsze myślał też o tym, co zrobić z „karierowiczami", którzy przyklejają się do partii. W przeszłości uznawał, że później część z nich przestaje być karierowiczami i staje się użyteczna, ale część (zapewne większa) nie zmienia swego koniunkturalnego podejścia i zwykle bywa problemem w trudnych chwilach. Ale karierowicze wpływają też korzystnie, przynajmniej przez jakiś czas, na postrzeganie siły partii oraz jej ideowej różnorodności.

PREZYDENT KONTROLOWANY VS KONTROLUJĄCY

W kontekście wyborów prezydenckich w 2025 r. Donald Tusk myśli przede wszystkim o tym, że gdyby zwyciężył jego kandydat, nie może się on usamodzielnić. Z tego punktu widzenia najlepszy byłby Rafał Trzaskowski, który w przełomowych momentach ulegał Tuskowi albo się wycofywał. A po ewentualnej wygranej premier myśli o tym, jak urządzić „swemu" prezydentowi kancelarię własnymi ludźmi i w tym kontekście na szefa kancelarii najlepiej nadawałby się Marcin Kierwiński. Już jako przewodniczący PO w Warszawie dyrygował on Trzaskowskim, który się

eprasa.pl e34f39cd17

temu podporządkował. Pod tym względem znacznie trudniej by było z Radosławem Sikorskim, któremu kancelarię urządziłaby mająca wielkie ambicje żona – Anne Applebaum. Ale Tusk poważnie rozważa, kto, jeśli nie on sam, byłby lepszym prezydentem z punktu widzenia jego interesów i potrzeb. Nie Polski, tylko Donalda Tuska. Podobnie było przecież już wtedy, gdy kandydował Bronisław Komorowski. Bo choć przewodniczący PO liczył na to, że safanduła jako głowa państwa łatwo da się zdominować, wcale nie było to takie oczywiste. Prezydent ma dość władzy, żeby się usamodzielnić, choć na początku zwykle niewiele na to wskazuje.

Tusk cały czas myśli, jakie sztuczki stosować, skoro wyczerpały się już te z „wściekaniem się" na złych bojarów przez dobrego cara. To jest już traktowane ironicznie nawet przez wyznawców obecnego premiera. Wyczerpała się też metoda na „dobrego gospodarza" objeżdżającego kraj i interweniującego w konkretnych przypadkach zawalenia czegoś przez władzę, bo ten sposób funkcjonowania zbyt przypomina to, co w Rosji robi Władimir Putin.

Jarosław Kaczyński myśli o utrzymaniu prezydentury po stronie obozu patriotycznego, żeby nie doszło do „domknięcia systemu", jak to ujął były przewodniczący PO Grzegorz Schetyna. Wtedy bowiem przejdą wszelkie ustawy pozwalające zabetonować u władzy układ wokół Tuska łącznie ze zmianami w Trybunale Konstytucyjnym, Sądzie Najwyższym i Naczelnym Sądzie Administracyjnym, które zabezpieczą tę władzę od strony sądowej. Taki był już plan przewodniczącego PO oraz wspierających go sędziów wiosną 2015 r., w końcówce prezydentury Bronisława Komorowskiego, ale nie wystarczyło czasu na jego zrealizowanie, gdyż Komorowski niespodziewanie dla ówcześnie rządzących przegrał wybory.

Kaczyński zastanawia się, kto ma być kandydatem PiS na prezydenta Polski, żeby wygrać, gdyż sprawność medialna i retoryczna nie chodzi w parze z pozyskiwaniem nowych zwolenników i nieodstręczaniem tych, którzy mogliby się nimi stać. Prezes Prawa i Sprawiedliwości myśli o tym, że kandydat, który sprawdza się w Lubelskiem, na Podkarpaciu czy w Małopolsce to za mało, żeby pozyskać wyborcę na zachodzie i północy Polski czy w Warszawie. Jednocześnie pretendent odbierany jako umiarkowany i przewidywalny wcale nie zdobywa uznania tam, gdzie „nie przechodzi" ktoś wyrazisty. Kaczyński ma taki dylemat, że wiele środowisk wskazuje różne osoby i grupy w kontekście zmian w partii czy w wyłanianiu kandydata na prezydenta, a jednocześnie oczekuje, że to prezes partii podejmie najlepszą decyzję. Konsultacje są więc w gruncie rzeczy pozorne, skoro i tak cała odpowiedzialność spada na prezesa PiS. A ogólnie chodzi o to, żeby prezydent obozu patriotycznego kontrolował sytuację, a nie był kontrolowany, jak w przypadku kandydata KO (poza samym Tuskiem).

> W kontekście wyborów prezydenckich w 2025 r. Tusk myśli przede wszystkim o tym, że gdyby zwyciężył jego kandydat, nie może się on usamodzielnić. Z kolei Kaczyński myśli o utrzymaniu prezydentury po stronie obozu patriotycznego, żeby nie doszło do „domknięcia systemu", jak to ujął były przewodniczący PO Grzegorz Schetyna

STRACH PRZED TRUMPEM KONTRA NADZIEJA PRZEŁOMU

Po niemiłej niespodziance, jaką zrobiła Tuskowi komisja wenecka, uznając właściwie jego „przywracanie praworządności" za jej przewracanie, premier myśli o tym, kiedy zostanie zwinięty trzymany nad nim parasol ochronny tworzony przede wszystkim przez Komisję Europejską, Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka. Tworzony także przez poszczególne rządy, szczególnie ten w Berlinie. Ale to już chyba przeszłość, skoro kanclerz Olaf Scholz nie uważa, żeby miał wobec Tuska jakiekolwiek zobowiązania, a w niemieckich mediach coraz częściej pojawia się krytyka polskiego premiera jako tego, który działa metodami sprzecznymi z prawem i standardami oraz wartościami zapisanymi w art. 2 traktatu o Unii Europejskiej: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości". Tusk ma wiele sygnałów, że parasol ochronny nad nim zaczyna być zwijany. A prawdziwym koszmarem może być dla niego wygrana Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA.

Jarosław Kaczyński nigdy nie miał żadnego parasola ochronnego, ale wygrana Trumpa może mieć znaczenie zarówno dla wyników wyborów prezydenckich w Polsce, jak i odzyskania władzy przez PiS. Prezes tej partii myśli o tym, żeby dobrze rozumieć procesy zewnętrzne, czyli to, co dzieje się poza Polską. I tu strategie są dwie: po pierwsze – uważne obserwowanie rzeczywistości i stanięcie na czele procesów erozji oraz niezadowolenia w odpowiednim momencie, a po drugie – zainicjowanie przełomu, co jest trudniejsze, gdyż nie wiadomo, co i kiedy przekroczy odporność społeczeństwa. Czasem sprawdza się zwykłe czekanie na przesilenie i jakiś punkt zwrotny (jak wybór Trumpa), ale to bywa zawodne, gdyż takiej sytuacji można się nie doczekać latami, szczególnie wtedy, gdy dzięki monopolowi medialnemu władza może manipulować nastrojami społecznymi. Ale prezes Kaczyński myśli o 2025 r. jako tym, w którym może dojść do przełomu, a przynajmniej do jego zainicjowania, także poza Polską. I zapewne o tym, że wreszcie Tuska można będzie zepchnąć do defensywy, a nawet rozpaczliwej obrony.

eprasa.pl e34f39cd17

Kto kandydatem PiS na prezydenta?

Nawrocki czy Czarnek? Który z nich będzie lepszym kandydatem prawicy na prezydenta? Szefostwo PiS stoi przed trudnym wyborem. Obaj pretendenci mają mocne atuty, a także obciążenia. To są właśnie te remisy, o których mówił Jarosław Kaczyński

PIOTR GURSZTYN

Gdyby teraz w PiS odbyły się prawybory, wygrałby je Przemysław Czarnek. To jego członkowie partii wskazaliby jako kandydata prawicy w wyborach prezydenckich. Ale gdyby te prawybory odbyły się wśród tzw. PiS-owskiego ludu, bardzo wiele wskazuje na to, iż w cuglach wygrałby Karol Nawrocki. Ograniczmy się do tych dwóch kandydatów, bo to dwaj ludzie najbliżsi nominacji. W kategorii „kandydat Andrzej Duda bis" występuje tylko Nawrocki, więc nie ma raczej możliwości znalezienia kogoś nowego o tych parametrach. Jeśli w kategorii kandydata wyłonionego spośród czołówki polityków PiS pojawiłby się ktoś nowy, to i tak miałby cechy Przemysława Czarnka, pozytywne i negatywne. Wystarczy zatem, że w porównaniu ograniczymy się do jego postaci.

Prawo i Sprawiedliwość stoi przed trudnym wyborem. Osiołkowi w żłoby dano i każda decyzja będzie brzemienna w skutki. Na pocieszenie można stwierdzić, że jest jeszcze czas. Kilka, może nawet kilkanaście tygodni, zależnie od tego, co zrobi druga strona. Bo i ona zaczęła mieć poważny kłopot z ustaleniem tego, kto będzie najlepszym pretendentem do objęcia pałacu prezydenckiego i domknięcia systemu, jak szczerze to nazwał Grzegorz Schetyna.

Fot. Paweł Wodzyński/East News

eprasa.pl e34f39cd17

Donald Tusk nie ma już przy sobie (lub w sobie samym) prezydenckiego pewniaka. Jakiś czas temu zdawało się przecież, że nawet krowa w barwach Platformy wygra z dowolnym reprezentantem prawicy. PiS miało być bowiem pognębione rozliczeniami, wyczekiwanymi przez liberałów kompromitacjami czy wręcz rozsypką całego obozu prawicowego. Zwłaszcza Rafał Trzaskowski był przedstawiany jako ten, który prezydenturę ma już niemal w kieszeni. A tu się okazało, że nawet takie nadzwyczajne okoliczności jak pozbawienie PiS środków finansowych oraz przygniatająca przewaga Platformy w mediach i instytucjach nie sprawiły, że liberałowie łatwo zdobędą pałac prezydencki. Teraz Tusk ma podobny problem – każdy z jego kandydatów, w tym on sam, ma atuty, ale posiada też poważne obciążenia. To jednak osobny temat.

POTRZEBA WIELKIEJ OBIETNICY

Wróćmy do dylematu prawicy. Dodajmy jeszcze tylko, że czynnik czasu stał się mniej kłopotliwy, bowiem w swoistą polityczną modę weszła podmiana kandydata na ostatnią chwilę. Polski przykład zamiany Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Trzaskowskiego nie jest zniechęcający, bo następca „prawdziwej prezydent" (takie hasło wyborcze miała Kidawa-Błońska) był całkiem bliski sukcesu. Teraz pod względem dynamiki sondaży podobnie wygląda zamiana Joe Bidena na Kamalę Harris.

Karol Nawrocki niewątpliwie ma mniej obciążeń w oczach wyborców niż Przemysław Czarnek. Prezes Instytutu Pamięci Narodowej zajmuje się czynnościami, które budzą szacunek, sympatię, a co najważniejsze – ma bardzo mało okazji do wejścia w sytuacje konfliktowe. Inaczej niż były minister, teraz poseł, czyli człowiek funkcjonujący w sferze, w której konflikt jest wpisany w istotę działania. Z tego powodu na pierwszy rzut oka mocniejsze zalety ma Nawrocki. Ale wiąże się z nim też wiele niewiadomych, co sprawia, że Czarnek jako kandydat – lub inny pretendent z grona partii – zaczyna wyglądać lepiej na tle człowieka z zewnątrz.

Na pewno jest tak, że lud PiS-owski nie chce się grzebać w teraźniejszości, którą uważa za obrzydliwą. Owszem, chce pognębienia Tuska i Platformy. Pragnie ich surowego rozliczenia w jakiejś przyszłości. Ale wie też, że do tego jest potrzebne zwycięstwo. Najpierw w wyborach prezydenckich. Lecz co ważniejsze, to grzebanie w obrzydliwej teraźniejszości lud PiS-owski uważa za bardzo nieprzyjemny obowiązek, coś w rodzaju sprzątania po wybitym szambie. Dla wyborców prawicy nie jest to tak fundamentalnie ważne jak rozliczanie PiS dla zwolenników Platformy. Tam to główna treść emocji żelaznego elektoratu koalicji 13 grudnia. Trudno u nich znaleźć jakiś program pozytywny poza silną chęcią zemsty i zniszczenia.

Lud PiS-owski pragnie czegoś innego – obietnicy, która na dodatek zostanie spełniona. Najpierw obietnicy zwycięstwa. Ale ta jest dla niego tylko etapem, warunkiem niezbędnym do spełnienia tej głównej obietnicy. A tą jest pragnienie budowy silnego, bezpiecznego i sprawiedliwego państwa. Solidarnego czy wręcz solidarystycznego. Stąd poparcie dla ambitnych planów inwestycyjnych, stąd akceptacja hojnej polityki społecznej, stąd wreszcie wszystkie przejawy przywiązania do Wojska Polskiego i innych służb mundurowych.

Duża część czołowych polityków PiS weszła w tryby grzebania się w codzienności. To w sumie naturalne, bo wynika z roli bycia w opozycji, czyli obowiązku ciągłego recenzowania władzy. Ponadto dorobek z czasów rządów prawicy jest atakowany albo wręcz niszczony. Trudno, aby milczeli. Jednak w opinii wielu swoich wyborców tracą proporcję. Za dużo mówią o obecnej władzy, a za mało o sobie. Za dużo o tym, że dzisiejszy rząd jest do kitu (wyborcy prawicy też to wiedzą i nie trzeba im powtarzać), a za mało o swych zamierzeniach, celach i projektach. Czyli wracamy do pragnienia wielkiej obietnicy, że wróci polityka skuteczna, sprawcza i empatyczna wobec problemów społeczeństwa. W oczach prawicowego elektoratu, choć nie działaczy partii, to zjawisko premiuje bardziej Nawrockiego niż Czarnka. Ci przecież jadą z byłym ministrem na jednym wózku i odczuwają te same emocje, jeśli chodzi o bezpośrednie relacje z dzisiejszą władzą.

CIĘŻKI BAGAŻ

Czarnek to wspomnienie rządów PiS i związany z tym bagaż. Był eksponowanym politykiem, dobrze znanym ministrem, na dodatek mocno atakowanym. Budził i budzi silne emocje negatywne. Chętnie zabierał głos w sprawach ideologicznych i był ostry w swoich wypowiedziach. Łatwo sobie wyobrazić, w jakie ramy będzie go wtłaczał liberalny przeciwnik i współpracujące z nim potężne prorządowe media. Zakres pytań, które mu będą zadawane, jest oczywisty: LGBT+, aborcja, in vitro. Nie dostanie szansy na wypowiadanie się w tematach, w których jest mocny.

Doświadczenia z wyborów 2020 r. (oraz wykazującej wiele podobieństw do kampanii prezydenckiej w USA) pokazują, że w drugiej turze obaj kandydaci będą szli łeb w łeb. Gra będzie nie tyle o przekonywanie nieprzekonanych, ile mobilizowanie ograniczonych zasobów wyborców niezdecydowanych. I takie oddziaływanie na opinię publiczną, aby zdemobilizowani byli ci, na których głos i tak nie ma co liczyć. To okoliczność szkodząca Czarnkowi. Na antenie telewizji wPolsce24 poseł PiS Paweł Jabłoński powiedział ostatnio, że kandydatem nie może być „ktoś, kto nie będzie działał jak płachta na byka na obóz przeciwny". To jasne wskazanie, że zdaniem Jabłońskiego tym kandydatem nie może być Czarnek.

Druga tura to czas, w którym znaczącą rolę odgrywa motywacja wyboru „przeciw", wyboru „mniejszego zła", a nie wyboru za kimś, kto się podoba. To też argument przeciw Czarnkowi. W tym świetle Nawrocki jawi się jako kandydat niemal idealny. Ale to tylko dlatego, że o Czarnku wiemy dużo więcej, a o Nawrockim mało.

Kłopot z nim jest taki, że jego życiorys nie został tak dokładnie prześwietlony jak Czarnka.

MEDIALNA WIWISEKCJA

Pierwsza próba była w „Gazecie Wyborczej". Zarzucono mu straszne rzeczy, łącznie z tym, że miał kontakty z przestępcami. Miało to mieć związek z jego sportowym hobby, czyli

eprasa.pl e34f39cd17

uprawianiem boksu. A także tym, że w młodości dorabiał jako ochroniarz. Z tych zarzutów nic nie wyszło i nic nie zostało potwierdzone. Nawrockiemu pomogło w tej sprawie także to, że „Wyborcza" rzuciła do ataku autora powszechnie uznawanego za niewiarygodnego konfabulanta. Drugą próbą był wywiad w Wirtualnej Polsce z byłym współpracownikiem z czasów pracy w Muzeum II Wojny Światowej. Jednak jego zarzuty brzmiały dziwacznie i niezrozumiale, a sam Nawrocki zareagował na to w sprytny sposób. Tej samej redakcji i tym samym dziennikarzom dał wywiad na ten sam temat i wszystko zgrabnie rozbroił.

W drugiej turze już nie będzie tak lekko. Zostaną wywleczone wszystkie brudy, te prawdziwe i wymyślone. Kierownictwo PiS ma prawo do obaw, czy Nawrocki czegoś nie ukrył. A może tylko zlekceważył? Albo o czymś zapomniał? Np. o fotografii ze sparingu bokserskiego, na którym znalazł się obok jakiegoś przestępcy.

Będą wywlekane sprawy jego rodziny i przyjaciół. Nie wiadomo, jaka jest odporność psychiczna Nawrockiego (także jego bliskich, w tym dzieci) na wiele tygodni brutalnej obróbki. Nie tylko zarzutów mających jakieś związki z rzeczywistością, lecz także kampanii kłamstw i brutalnego hejtu. Wcześniej Nawrocki nie był poddany takiej presji. Krytyka jego działań w roli prezesa IPN była właściwie pieszczotą w porównaniu z tym, co może go czekać podczas kampanii prezydenckiej. W tej kwestii to Czarnek ma przewagę, bo został już przetestowany. Wiadomo, że ma wyjątkowo grubą skórę i daje sobie z tym radę. A nawet więcej – jest to coś, co mobilizuje go do działania.

KLUCZOWE SŁOWO: REMIS

W jednym punkcie są sobie równi – to ocena energiczności. Obu można nazwać wulkanami energii i aktywności. A także ambicji, z której wynika ich wola działania.

Porównywalny jest prestiż wynikający z wykształcenia. Tu Czarnek jest wyżej jako profesor. Na dodatek to prawnik, co predestynuje go do roli politycznej. Nawrocki ma doktorat z historii. To też dużo, zwłaszcza że kieruje cenioną centralną instytucją naukową.

Obaj spełniają warunek, który przed kandydatem idealnym postawił Jarosław Kaczyński – sprawnie posługują się językiem angielskim. O Nawrockim wiadomo, że ma wiele międzynarodowych kontaktów wynikających z jego pracy w Muzeum II Wojny Światowej oraz IPN. Był krytykowany za częste i odległe podróże, ale dzisiaj widać, że stanowiły one jego świadomy plan. Nie chodziło o wojażowanie na koszt podatnika, ale zdobywanie doświadczeń dla przyszłej kariery. Nawiązywanie kontaktów, otrzaskanie się z zewnętrznym światem, zdobywanie wiedzy. W jednym z wywiadów Nawrocki mówił też, że do pewnego stopnia posługuje się językiem hiszpańskim.

Czarnek był testowany pod względem językowym przez wrogi mu TVN. Na początku br. wypytywano go obcesowo: „Śmieją się z pana angielskiego" – zaczepiła go dziennikarka stacji. Odpowiedział w swoim stylu: „Bardzo dziękuję, pani ma pewnie lepszy angielski. Gdyby tak pani mówiła po angielsku, jak ja myślę po polsku, to byłoby znakomicie".

A potem zamieścił nagranie, w którym sprawnie wypowiedział się w językach angielskim, niemieckim i włoskim.

> W jednym punkcie są sobie równi. Obu można nazwać wulkanami energii i aktywności. A także ambicji, z której wynika ich wola działania. Obaj spełniają też warunek, który przed kandydatem idealnym postawił Jarosław Kaczyński – sprawnie posługują się językiem angielskim

Ważnym czynnikiem są też cechy osobiste, takie jak relacje z innymi ludźmi i umiejętność zdobywania ich sympatii. Tutaj ich styl postępowania się nieco różni, ale można dać im wynik remisowy. Czarnek to „zwierzę" wiecowe i jednocześnie typ brata łaty. Bardzo lubiany w partii, i to ponad frakcyjnymi podziałami. Znakomicie łapiący kontakt ze swoimi wyborcami.

Nawrocki jest trochę inny. To dobry i sugestywny mówca, ale egzamin z przemawiania na wiecach ciągle przed nim. Raczej nie tak rubaszny jak Czarnek, ale powszechnie uważa się go za sympatycznego człowieka. Jest taktowny i uprzejmy, widać, że dba o relacje z ludźmi.

Atutem Nawrockiego jest wiek. To rocznik 1983, do tego dodajmy jego czynne zamiłowanie do sportu, co jeszcze bardziej dodaje mu werwy. W oczach opinii publicznej, zwłaszcza wyborców labilnych, przerzucających swe głosy co wybory, młodość równa się świeżość. W sensie pozytywnego odróżnienia od świata polityki, który bardzo wielu Polaków uważa za brudny i zły. Czarnek jest o kilka lat starszy, urodził się w 1977 r. To nie jest różnica, która ma jakieś istotne znaczenie. Z jednym wyjątkiem. Jeśli Platforma wystawi Rafała Trzaskowskiego – rocznik 1972 – Czarnek jest prawie jego rówieśnikiem i tylko Nawrocki może się przedstawiać jako przedstawiciel młodszego pokolenia. Ale jeśli wystartuje Radosław Sikorski, urodzony w 1963 r., to obaj reprezentanci prawicy mogą łatwo zrobić z niego „dziadersa". Tym bardziej gdy wystartuje Donald Tusk (rocznik 1957), który jest o generację starszy od nich obu.

* * *

Dzisiaj wydaje się, że więcej wskazań może być na Nawrockiego. Ale tak czy owak każda decyzja wiąże się z wielkim ryzykiem. Przy czym uprawianie polityki w ogóle jest ryzykiem, więc można tu przywołać powiedzonko, że kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. A już najgorszą rzeczą w polityce, jeszcze bardziej niebezpieczną niż podejmowanie ryzykownych decyzji, jest ich brak. Czyli zaniechanie i strach.

eprasa.pl e34f39cd17

Lewicowa troska o katolicki elektorat

Wigilia wolna od pracy to ułatwienie w świątecznych przygotowaniach, a także zacieranie granicy pomiędzy sferą codzienności i odświętności

W czasach, gdy rząd forsuje wyparcie lekcji religii ze szkół, chce przywrócić aborcję na życzenie, dewastuje edukację, wykorzeniając z niej elementy katolickiej tożsamości narodowej, zmienia oblicze kultury będącej barierą dla postępowej tyranii, lewica zjawia się propozycją uczynienia Wigilii świąt Bożego Narodzenia dniem wolnym od pracy. „Ludzie powinni mieć szansę być z bliskimi lub przynajmniej swobodnie podróżować, by zdążyć na święta" – przekonują politycy Lewicy, która dość nieoczekiwanie złożyła w Sejmie projekt nowelizacji ustawy w tej sprawie. Co więcej, bezpośrednio odpowiedzialna jest za nią minister rodziny Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

MACIEJ WALASZCZYK

Oczywiście składając tę propozycję, nie odwołują się do motywów religijnych. To przecież aktywne uczestniczki organizowanych dokładnie cztery lata temu gwałtownych protestów proaborcyjnych wspieranych zachętą do profanowania kościołów, zakłócania mszy, a teraz naciskające na zmianę ustawy aborcyjnej czy wprowadzenia tzw. związków partnerskich dla osób tej samej płci. O co więc chodzi?

Pomysł wpisuje się przede wszystkim w strategię wywierania jakiejkolwiek presji na dominującego nad nimi koalicjanta z KO. Wolnej od pracy Wigilii postanowiono użyć jako młotka, którym chcą uderzyć Tuska w palec u nogi. Lewicowy junior partner nie ma siły, szans i możliwości na więcej, a i do przeforsowania tego projektu potrzebuje głosów PiS oraz PSL, które już kiedyś proponowały takie rozwiązanie.

ZWIĄZKOWCY I BISKUPI MÓWIĄ „TAK"

Oczywiście NSZZ „Solidarność", OPZZ i Forum Związków Zawodowych oraz Konferencja Episkopatu Polski pozytywnie odniosły się do tej propozycji. I nie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e34f39cd17

ma w tym nic dziwnego. Niemal wszystkie kobiety przygotowujące święta pracują. Dla tych, które rzeczywiście patroszą śledzia czy karpia, lepią pierogi, pieką ciasta, to dobra wiadomość.

„Jeśli mówimy o tym, że pracownikom należy się wolny dzień, trudno przy tym wykluczać jakąkolwiek grupę, choćby pracowników handlu, tylko dlatego, że inni upatrują w tym dniu szansę na zrobienie ostatnich zakupów przed świętami Bożego Narodzenia" – zwrócił uwagę Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", komentując pomysł Lewicy.

Autorzy projektu zaznaczyli, że jeśli posłowie zdecydowaliby się na wprowadzenie dodatkowego dnia wolnego od pracy, będzie on obowiązywał wszystkich, również pracowników placówek handlowych, którzy zwykle tego dnia pracują krócej.

Na razie nie wiadomo, czy tak się stanie, bo od dawna związana z obecnym obozem władzy grupa polityków, media, reklamodawcy i środowiska pilnujące interesów wielopowierzchniowego handlu lansują powrót do handlowych niedziel. Już wcześniej gorące spory o dodatkowe dni handlowe w grudniu odczytywano jako ukłon w stronę międzynarodowych korporacji nastawionych wyłącznie na zarabianie pieniędzy, a nie na interesy pracowników mających przecież życie rodzinne i osobiste. W okresie przedświątecznym ludzie zatrudnieni w tej branży są przeciążeni, pracują do późnych godzin nocnych, a jednocześnie notuje ona kluczowe zwyżki w obrotach i zyskach. W końcu jednak nadchodzi dzień Wigilii Bożego Narodzenia, kiedy efektywność pracy i tak jest dużo niższa. Dlatego tego dnia życie zamiera szybciej, wielu szefów ułatwia swoim podwładnym zajęcie się domem, bezpieczny powrót do swoich bliskich. Pracodawcy już od dawna decydują się na skrócenie czasu pracy do godz. 12.00 lub 14.00, mając świadomość, że pracownicy myślami są w zupełnie innym miejscu i przy zupełnie innych zajęciach.

„Z naszej perspektywy jest to inicjatywa słuszna, ponieważ służy człowiekowi" – powiedział bp Waldemar Musioł, sekretarz Komisji Duszpasterstwa KEP. Biskupi zapowiedzieli, że jeśli tak by się stało, zobligują duszpasterzy do organizowania tego dnia dodatkowej możliwości spowiedzi. Zdaniem bp. Musioła za słusznością tej propozycji przemawia nie tylko argument teologiczny, lecz także przenikające się wzajemnie racje rodzinne, społeczne i kulturowe. Jednak być może właśnie tutaj, gdzie kończą się spory polityczne i ekonomiczne kalkulacje, zaczyna się prawdziwa dyskusja na ten temat.

KOMERCJALIZACJA ŚWIĄT

Zgodnie z praktykami zachodnich marketingowców święta Bożego Narodzenia także i u nas zaczynają się coraz wcześniej, i to niezależnie od pogody. Bywa, że świąteczne dekoracje pojawiają się w galeriach handlowych zaraz po Wszystkich Świętych i niestety właśnie w takie ich rozumienie, poza kalkulacjami politycznymi, wpisuje się inicjatywa Lewicy. *Timeo Danaos et dona ferentes*, czyli „obawiam się Greków nawet, gdy przynoszą dary" – ostrzegał Wergiliusz. Przecież jak pamiętamy, wszelkie inicjatywy przywracające Święto Trzech Króli, zamykające klamrą okres Bożego Narodzenia i Nowego Roku, były przyjmowane przez środowiska lewicowo-liberalne z niezrozumieniem i wrogością.

Tymczasem poprzedzające Wigilię i święta cztery tygodnie oczekiwania to adwent, czas coraz częściej zaciemniany przez rozświetlone witryny sklepów, napastliwą reklamę, uliczne ozdoby, gorączkę zakupów i przygotowań, w których ginie to, co jest najważniejsze. Nie jest to jedyna wigilia, jaką mamy w kalendarzu liturgicznym. Oprócz niej są też ta paschalna, Zesłania Ducha Świętego, Narodzenia św. Jana Chrzciciela, a także wigilia Świętych Apostołów Piotra i Pawła i Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Tę poprzedzającą Boże Narodzenie obchodzono już od starożytności, czuwano, aby o północy godnie powitać nadejście dnia świątecznego i dlatego także polską wieczerzę wigilijną charakteryzują nie tylko postne potrawy, lecz także to, że są one spożywane dopiero po zapadnięciu zmroku i pojawieniu się pierwszej gwiazdki.

Wigilia jest aktem czuwania, nocnego, religijnego świętowania dzień przed większą uroczystością. A więc fakt, czy jest to dzień wolny od pracy, czy nie, dla wierzących i celebrujących ją chrześcijan jest sytuacją zupełnie ambiwalentną. I nie zmienia to też trendu, gdy bożonarodzeniowe obyczaje, obecnie jeden z ostatnich, choć kurczących się bastionów polskich tradycji narodowych, są wypłukiwane przez nowe zwyczaje strywializowane konsumpcją. Komercjalizacja zmieniła sposób przygotowania i celebrowania świąt w czas gonitwy za prezentami i zacierania się granicy pomiędzy sferą *profanum* i *sacrum*, codzienności i odświętności. Jak dotąd, obchodziliśmy każde święta w każdych możliwych warunkach – okupacji, niewoli, stanu wojennego, kryzysów gospodarczych, a od 35 lat w realiach dobrobytu, pewnej stabilizacji i zaspokajania coraz większego konsumpcyjnego apetytu. W czasach PRL część Polaków doświadczyła kultury niedoboru, a więc braku, gdy rzeczywiście trzeba się było mocno natrudzić, by cokolwiek zdobyć. A do tego naród zaganiano do pracy niemal przez cały tydzień, wolne soboty były zaś czymś wyjątkowym. Dzisiaj nastąpiła inflacja ówczesnych wartości i ich znaczenia. W warunkach powszechnej komercjalizacji świąt, Santa Clausa udającego św. Mikołaja, świata pozbawionego kolęd, modlitw i pełnego sprowadzonych wyłącznie do nadwyżki prezentów, wolna Wigilia stanie się raczej dodatkowym dniem bez pracy, fundowanym głównie dla tych, którzy traktują ten czas jako tzw. zimowe wakacje – „winter holidays".

Odświętność zanika, wszystko zlewa się w jedno, zaciera się odczuwalna granica pomiędzy świętem i codziennością, a więc dwoma różnymi porządkami, których już nikt nie odróżnia. Jednak w Wigilię pracodawcy, skracając dzień pracy, a także pracownicy, biorąc urlopy, w naturalny sposób znaleźli metodę na spokojne wkroczenie w czas świąteczny. A co będzie, jeśli się okaże, iż zupełnie niepostrzeżenie narodzi się nam „nowa świecka tradycja" Wigilii Bożego Narodzenia jako dnia wolnego, którą ludzie niepostrzeżenie traktować będą jako pierwszy, nieoficjalny dzień świąt? Do tego pierwszego dnia też będzie trzeba się przygotować, kupić coś na ostatnią chwilę, w pospiechu spakować, by zdążyć wyjechać na wydłużone święta. Zwróćmy uwagę, że postny piątek zupełnie niepostrzeżenie zmienił się w imprezowe „piątunio", sobota w pełnowymiarowe święto, a świąteczna przecież niedziela od dawna już stała się „szewskim poniedziałkiem".

eprasa.pl e34f39cd17

Nowa Lewica wystawi kandydata na prezydenta i Razem wystawi kandydata. Może być też tak, że kandydatką partii będzie Paulina Matysiak, która bardzo transparentnie buduje swój wizerunek. Dla Nowej Lewicy to będzie kandydatura trudna do pokonania

Lewica w pułapce

Z Piotrem Kusznierukiem, konstytucjonalistą, członkiem Zarządu Krajowego Nowej Lewicy, rozmawia Dorota Łosiewicz

Partia Razem (przynajmniej część polityków, którzy w niej zostali) opuściła klub Lewicy. Czarę goryczy miał przelać budżet. „Chcieli nam narzucić, jak mamy głosować. Na to nie mogło być zgody" – tłumaczył Adrian Zandberg. To prawdziwy powód?

Piotr Kusznieruk: To jest prawda. Partia Razem wielokrotnie zgłaszała postulaty, by przeznaczyć więcej środków na ochronę zdrowia. Jednocześnie w umowie koalicyjnej zapisano, że partie głosują wspólnie za budżetem, jeśli zostanie on uzgodniony, stąd presja na Razem, choć ta partia nie podpisała umowy koalicyjnej. W przypadku poprzedniego budżetu

Fot. Andrzej Wiktor

była ona w o tyle lepszej sytuacji, że to nie był budżet w pełni stworzony przez nową koalicję, a opierał się na planie finansowym, który przygotowało PiS. Partii Razem było łatwiej o kompromis, bo nie my tworzyliśmy ten budżet. Budżet, który mamy teraz, jest całkowicie autonomiczny. I partia coraz głośniej mówiła o zwiększeniu wydatków na ochronę zdrowia. Jednocześnie przewodniczący Włodzimierz Czarzasty nie ma zbyt wielu argumentów perswazji wobec współkoalicjantów i raczej nie używa argumentu braku poparcia dla budżetu. W sytuacji, w której Razem uznała, że nie może zaakceptować tego budżetu, politycy tej partii opuścili klub Lewicy.

To nie wszystkie powody. Razem bardzo źle ocenia działania minister zdrowia Izabeli Leszczyny czy ministra nauki z Nowej Lewicy Dariusza Wieczorka.

Proszę zauważyć, że wypłynęło pismo ministra nauki Dariusza Wieczorka do ministra finansów Andrzeja Domańskiego, w którym wnioskował on o zwiększenie budżetu na naukę. Minister Domański odmówił, a teraz winą za niedofinansowanie nauki obarcza się ministra Wieczorka. W ub.r. pieniędzy było trochę więcej. W 2024 r. była inflacja, a budżet na naukę nie został zwiększony. Jak nie ma pieniędzy, to trudno dobrze zarządzać.

Z tego, co pan mówi, wynika, że Lewica niewiele może w tym rządzie. Spójrzmy jeszcze na najdalej idącą krytykę ze strony Zandberga. Jego zdaniem ten gabinet po prostu zawiódł nadzieje Polaków i partia Razem nie chce go legitymizować. A jak ocenia pan rząd w rok od wyborów?

Rząd jest dobry wtedy, gdy dobrze ocenia go społeczeństwo, a nie wtedy, kiedy on mówi o sobie, że jest dobry. A oceny gabinetu są słabe. Z badań wynika, że 57 proc. Polaków ocenia go źle, a niecałe 40 proc. dobrze. To znaczy, że potrzebna jest modernizacja i przyspieszenie, by społeczeństwo odczuło pozytywne zmiany, bo teraz ich nie odczuwa. Podwyżki cen prądu i VAT na żywność wpływają na negatywne oceny. Oceny uchwalonych ustaw są słabe. Premier Donald Tusk obiecywał załatwienie 100 konkretów w 100 dni. Tego nie dało się zrobić. Lewica stara się realizować swoje projekty, choć nie jest łatwo, bo nie ma pieniędzy.

Może więc politycy Razem sensownie postąpili, opuszczając klub Lewicy i de facto przechodząc do opozycji? Ta partia będzie się teraz budować na krytyce rządu i na promowaniu siebie jako jedynej prawdziwej lewicy w kontrze do Nowej Lewicy, która zasiada w antyspołecznym rządzie.

Z politycznego punktu widzenia ta strategia ma sens. Jeśli chcą się wyróżnić, to takie działanie przyniesie im racjonalny efekt. Pamiętajmy jednak, że Razem jest małą formacją, która uzyskuje wyniki na granicy błędu statystycznego i przekroczenie 5-proc. progu wyborczego może być dla nich wyzwaniem. Tym bardziej że ostatnio nawet zjednoczona jeszcze Lewica nieznacznie przekraczała te progi. Jednocześnie część postulatów, za którymi opowiadała się partia Razem, prędzej czy później zostanie załatwiona przez ten rząd. Przeszła, choć mocno okrojona renta wdowia, przejdą w końcu związki partnerskie, zostało załatwione in vitro. Tak więc część postulatów lewicowego elektoratu zostanie załatwiona. Więc partia Razem straci część argumentów.

Mam wrażenie, że odejście Razem jednak komplikuje sytuację Nowej Lewicy, która będzie musiała sobie przypomnieć, o co w ogóle lewicy w Polsce chodzi i do kogo mówi. Razem będzie nieubłaganie atakować z lewej flanki.

Scena polityczna na lewicy z pewnością się skomplikowała. Nie da się tego ukryć. Mamy dwie partie lewicowe. Jedną skrajnie lewicową – Razem i bardziej konserwatywno-liberalną – Nową Lewicę. To jest problem dla lewicy. Ale może trochę oczyścił się przekaz, który przez ostatni rok był mocno skomplikowany. Wyborcy widzieli polityków spierających się w ramach jednego klubu parlamentarnego, jakim był klub Lewicy, z których część weszła do rządu, a część nie i to było nieczytelne. Anna Maria Żukowska mówiła jedno, Adrian Zandberg drugie. To dawało poczucie chaosu, a narracja była zagmatwana. Teraz sprawa przekazu się wyczyści. Natomiast tego, która formacja zwycięży, teraz nie wiemy.

Może być tak, że obie wylądują poza Sejmem, jak w 2015 r.

Jest takie ryzyko. Liderzy, którzy podejmują decyzje, powinni brać to pod uwagę i uczyć się na błędach. Mamy tu bardzo przykre doświadczenia. Polityka jest drogą kompromisu. Może należało się jednak jakoś dogadać. Tymczasem widać, że nie znaleziono płaszczyzny porozumienia. Mamy rozejście się. Ale może przed wyborami parlamentarnymi widmo progu wszystkich zajrzy w oczy, wróci rozsądek i znajdzie się platforma porozumienia.

Zaskoczyło pana to, że zanim partia Razem ogłosiła, że wychodzi z klubu Lewicy, pojawiła się grupa rozłamowców, która ogłosiła, że wychodzi z Razem i zostaje w klubie?

W Razem była część osób, która chciała mieć wpływ na obecną politykę rządu i dlatego część polityków przyjęła strategię, by zostać, a swoim wcześniejszym ogłoszeniem pozostania w klubie pewnie nieco wszystkich zaskoczyli. Ale przecież po to się wygrywa wybory, żeby mieć wpływ na podejmowanie decyzji. Wiem, że i te decyzje, i ten wpływ mają nieco ułomny charakter, np. choć renta wdowia została tragicznie okrojona, to jednak projekt został uchwalony i będzie kontynuowany przez kolejne rządy. In vitro też zostało jakoś załatwione. Polityka to jednak sztuka porozumienia i czasem lepszy jest zgniły kompromis niż brak wpływu na decyzje i niemożność załatwiania spraw.

Sytuacja na lewicy skomplikowała się także jeśli chodzi o wybory prezydenckie. Wszystko wskazuje na to, że będzie dwóch lewicowych kandydatów: Razem i Nowej Lewicy.

eprasa.pl e34f39cd17

Tak będzie. Nowa Lewica wystawi kandydata i Razem wystawi kandydata. Może być też tak, że kandydatką partii Razem będzie Paulina Matysiak, która bardzo transparentnie buduje swój wizerunek. Dla Nowej Lewicy to będzie trudna kandydatura do pokonania. Paulina Matysiak cieszy się dużą popularnością i może uzyskać spory wynik, a lewicowy elektorat podzieli się między nią a innego kandydata.

Czyli kogo? Do tej pory mówiło się o Agnieszce Dziemianowicz-Bąk, minister rodziny, pracy i polityki społecznej. Teraz na giełdzie pojawiła się wicemarszałek Biejat.

Jest jeszcze Łukasz Litewka. Dwie dobre, rywalizujące ze sobą lewicowe kandydatki to duży kłopot dla lewicy. Jeśli Razem postawi na Paulinę Matysiak, wówczas Nowa Lewica musi znaleźć pomysł na wyróżnienie się. Dwie merytoryczne kandydatki, bez względu na to, czy będzie to Magdalena Biejat, czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, w zderzeniu z Pauliną Matysiak to bezsensowna bratobójcza wojna. Wówczas trzeba będzie wystawić innego wyróżniającego się kandydata. Tu dobry byłby Łukasz Litewka lub Krzysztof Gawkowski. To już decyzja struktur.

Poseł Litewka jest gigantem social mediów, znanym ze wspaniałej działalności charytatywnej. Sama kibicuję jego niesamowitym przedsięwzięciom.

On jest świetnie zbudowany medialnie, młody, dopiero startuje w polityce. Prezydentem będzie mógł być dopiero z początkiem roku, więc byłby jednym z młodszych kandydatów. To wszystko może mu zjednywać elektorat.

Równie ciekawym scenariuszem byłby start Magdaleny Biejat przeciwko Adrianowi Zandbergowi. Przeciwko sobie stanęłaby dwójka dotychczasowych współprzewodniczących partii Razem.

Może być i tak. To jest jeszcze gorsze rozwiązanie dla całej lewicy. Wówczas dwoje polityków kojarzonych z jedną formacją będzie walczyło o wspólny elektorat. Wówczas nie uda się zdobyć nowego elektoratu, a głosy się podzielą. Trzeba przyznać, że z punktu widzenia wyborów prezydenckich ten moment rozejścia się jest bardzo niekorzystny.

Żeby prowadzić kampanię prezydencką, potrzebne są pieniądze. Jak będzie wyglądała kwestia finansowania partii Razem, która znajdowała się na wspólnej lewicowej liście, ale nie była to koalicja?

W mojej ocenie partia Razem będzie miała teraz problemy z finansowaniem, ponieważ większość subwencji jest po stronie Nowej Lewicy.

> Rząd jest dobry wtedy, gdy dobrze ocenia go społeczeństwo, a nie wtedy, kiedy on mówi o sobie, że jest dobry. A oceny gabinetu są słabe

Adrian Zandberg coś wyrwie?

To już trzeba rozmawiać z sekretarzem generalnym Nowej Lewicy Marcinem Kulaskiem.

Czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk rzeczywiście chce kandydować w wyborach prezydenckich? Musiałaby zostawić resort, a wydaje się, że ma przekonanie, iż jeszcze sporo może zrobić.

To dla niej będzie bardzo trudna decyzja. Musi też brać pod uwagę mechanizm efektu. Konkurencja może spowodować, że wynik nie będzie sukcesem, a będzie gorszy niż ten, który osiągnie kandydat partii Razem. W kalkulacjach trzeba zakładać i taki scenariusz.

Propozycja dnia wolnego od pracy w Wigilię zgłoszona przez Nową Lewicę to już kampania prezydencka?

Nie, to realizacja zamierzchłego postulatu sprzed kilkunastu lat. SLD wystawiał taki postulat 11 czy 12 lat temu.

A kto będzie kandydatem Koalicji Obywatelskiej?

Ta sprawa chyba się jeszcze decyduje. Tak jak u nas. Tam na stole leżą dwa główne nazwiska: Radosław Sikorski i Rafał Trzaskowski. To są bardzo różni kandydaci. Sikorski będzie zabierał elektorat prawicy, Trzaskowski lewicy.

I dlatego tego ostatniego w drugiej turze może nie poprzeć PSL.

Zgadza się. Tu też jest łamigłówka do rozwiązania.

Podobnie jak na prawicy. Kogo pana zdaniem wystawi PiS?

Wydaje się, że finałowa gra toczy się między Przemysławem Czarnkiem a Karolem Nawrockim. Mateusz Morawiecki raczej nie wystartuje. Ale decyzję podejmie, a może już podjął, oczywiście prezes Jarosław Kaczyński. PiS też ma swoje równanie do rozwiązania, jak każda partia.

Kto jest prokuratorem krajowym?

W tym momencie jednak Dariusz Korneluk. Z tego powodu, że mandat prokuratora Dariusza Barskiego wygasł, ale czekamy na orzeczenie sądu. Ta sprawa nie jest jednoznaczna.

Orzeczenie Izby Karnej Sądu Najwyższego nie wystarczy?

To za mało. To na razie uchwała. SN wysłał trzy zapytania do mniejszych zespołów, m.in. czy mandat prokuratora Barskiego wygasł, czy mógł być ponownie powołany. 27 listopada zapadnie w tej sprawie wyrok i to on zdecyduje o tym, kto jest prokuratorem krajowym.

Podoba się panu teoria demokracji walczącej ukuta przez premiera?

Nie ma takiej demokracji. Demokracja to sztuka kompromisu, a nie walki. Nie rozumiem tego określenia. W demokracji chodzi o załatwianie spraw społecznych i obywatelskich zgodnie z obowiązującym prawem. Pójcie na skróty to droga donikąd.

Autopromocja

eprasa.pl e34f39cd17

„Patriotyzm to miłość do swego kraju, ale i świadomość odpowiedzialności za niego.”

Jan Paweł II

Wesprzyj patriotyczne media

wPolsce24

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
w tytule: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl e34f39cd17

Maskirowka 2024

Rządząca obecnie ekipa nie ma moralnego prawa kogokolwiek rozliczać w sprawie Smoleńska. Sama ma bowiem na sumieniu grzechy nieporównywalne. Na czele z chronicznym dążeniem do tego, by pełne wyjaśnienie tej katastrofy nigdy nie było możliwe

MAREK PYZA

Donald Tusk wtulający się w ramiona Władimira Putina w smoleńskim błocie. Bezradny polski prokurator wojskowy Jarosław Rzepa gapiący się na Rosjan odsłuchujących zapisy czarnej skrzynki, a później jego szef Krzysztof Parulski wymieniający ze swoim rosyjskim odpowiednikiem ryngrafy w trakcie kolejnej z niewiele znaczących wizyt. Szef polskiej komisji Jerzy Miller po powrocie z Moskwy dzielący się z dziennikarzami radością, iż Rosjanie nagrali mu nową kopię tych zapisów, bo poprzednia miała „urwaną końcóweczkę". Uśmiechnięta Ewa Kopacz pozująca z pracownikami moskiewskiego prosektorium nad workami ze szczątkami ofiar. Rozbawiony Bronisław Komorowski na Okęciu w oczekiwaniu na przylot trumien. Radosław Sikorski fraternizujący się na balkonie Łazienek Królewskich z Siergiejem Ławrowem. Bogdan Klich płaszczący się w gabinecie Siergieja Iwanowa. Panteon hańby.

To tylko kilka z licznych elementów momentu dziejowego, w jakim znaleźliśmy się w 2010 r. To ciąg sprzecznych z naszym interesem, upadlających sytuacji, które na zawsze pozostaną w naszej historii. Dokumentują postawę najważniejszych osób w państwie wobec największego dramatu, z jakim przyszło nam się mierzyć po 1989 r.

To praprzyczyna wszystkiego, co na długie lata zatruło nas wszystkich i uniemożliwiło odpowiedź na pytanie: co dokładnie wydarzyło się 10 kwietnia 2010 r.?

DORWAĆ MACIEREWICZA

Raport MON o pracach podkomisji smoleńskiej ma służyć dwóm celom. Jednym jest uderzenie w jej szefa, jedną z najbardziej znienawidzonych postaci przez lewicowo-liberalną stronę establishmentu. Ale ważniejszym – anulowanie odpowiedzialności za katastrofę

Fot. MON

eprasa.pl e34f39cd17

i za oddanie wszystkich sznurków tej sprawy Rosjanom. Ta zaś leży po stronie Donalda Tuska i jego licznych współpracowników, sprawujących władzę zarówno w 2010 r., jak i dziś.

Hucpą są wezwania do odebrania Macierewiczowi Orderu Orła Białego. A rechotem nieboszczki komuny fakt, że artykułuje je m.in. ktoś taki, jak Włodzimierz Czarzasty. Były minister otrzymał to odznaczenie nie za sprawę smoleńską, lecz za swoją bohaterską działalność w opozycji antykomunistycznej. I nikt mu tego nie zabierze.

Jeśli dziś wiceminister Cezary Tomczyk wzywa Macierewicza do złożenia mandatu poselskiego, to kusi dodać, że jego partyjny i rządowy pryncypał powinien był to zrobić już dawno i bezpowrotnie wyemigrować na Wyspę św. Heleny.

Nie wolno milcząco akceptować tego, że ekipa, która głęboko zakopała prawdę o Smoleńsku, dziś udaje tu bezstronnego arbitra.

Jej pech polega na tym, że cztery lata po Smoleńsku wydarzyła się inna tragedia. Rosyjscy żołnierze zestrzelili nad Ukrainą pasażerskiego boeinga. Rząd w Hadze postawił sprawę twardo – zażądał natychmiastowego wydania wraku, zabrał go z kraju ogarniętego działaniami zbrojnymi, powołał międzynarodową komisję ekspercką i szybko dowiódł, kto ma krew na rękach.

Cztery lata wcześniej polskie władze nawet nie zamierzały wykazywać jakkolwiek podobnej determinacji. Zapewne bojąc się ujawnienia swej roli w doprowadzeniu do rozdzielenia wizyt katyńskich i spiskowaniu administracji Tuska i Putina przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu, pozwoliły Rosjanom na wszystko.

Napisałem na ten temat setki artykułów oraz książkę. Dlatego z dużym optymizmem witałem nowe otwarcie tej sprawy – zarówno w Prokuraturze Krajowej, jak i w MON. Zbyt dużym.

W kolejnych latach na łamach „Sieci" i portalu wPolityce.pl opisywaliśmy, najczęściej wespół z Marcinem Wikłą, aktualny stan prokuratorskiego śledztwa nadrabiającego zaległości poprzedników i sięgającego po najlepsze światowe autorytety w tej dziedzinie. A także punktowaliśmy mankamenty tych postępowań, błędy, motywowane politycznie obawy *de facto* zamrażające decyzje.

Opisywaliśmy konflikty na linii prokuratura–podkomisja, a także nieprawidłowości w tej ostatniej. To my pierwsi alarmowaliśmy o stanie drugiego tupolewa w Mińsku Mazowieckim, stojącego pod gołym niebem (100 m od hangaru), ujawnialiśmy szokujące zdjęcia zdemontowanego, a miejscami zdemolowanego, samolotu i prywatne wysyłanie przez członków podkomisji jego elementów za ocean zwykłą pocztą kurierską. Pisaliśmy o łamaniu praw członków podkomisji ośmielających się nie zgadzać z przewodniczącym, o wybiórczym traktowaniu badań i materiału dowodowego, a przede wszystkim o zbyt dalekich wnioskach stawianych na zbyt słabych dowodach.

> Raport MON o podkomisji smoleńskiej ma służyć dwóm celom. Jednym jest uderzenie w jej szefa, ale ważniejszym – anulowanie odpowiedzialności za katastrofę i za oddanie wszystkich sznurków tej sprawy Rosjanom. Ta zaś leży po stronie Donalda Tuska i jego licznych współpracowników

Większość obiekcji wobec działań podkomisji już była zatem znana – właśnie z naszych łamów. Teraz dostaliśmy raptem parę kolejnych szczegółów, które mają utkwić w głowach odbiorców i odwrócić je od „dokonań" ekipy PO przed 2015 r.

BRZEMIONA TUSKA

Owszem, ta podkomisja nie wypełniła pokładanych w niej nadziei. Może były one zbyt wielkie? Również wobec jej twórcy, któremu bezapelacyjnie trzeba oddać, że w latach 2010–2015 miał olbrzymi wkład w utrzymanie na powierzchni tego narodowego problemu. Ale może już wtedy należało pogodzić się z faktem, że w tej sprawie mamy związane ręce? Związali je premierzy Polski i Rosji, podejmując wiele decyzji w ciągu tragicznych kilkunastu godzin tamtej soboty.

Donald Tusk, komentując raport MON na temat podkomisji, użył wobec Antoniego Macierewicza epitetów: „Architekt smoleńskiego piekła, prowokator i notoryczny kłamca". Skoro sięga premier po infernalne metafory, to dobrą puentą dla nich będzie Sienkiewiczowskie: „Diabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni".

Bo to w postaci obecnego szefa rządu zbiegają się wszystkie wątki tego dramatu. To w nim należy szukać odpowiedzialnego za otchłań kłamstw, podziałów i zasypywania narodowej sprawy, w którą zaczęliśmy się staczać wiosną 2010 r.

Tusk nie wykonał tego dnia (i w kolejnych) ani jednego ruchu, który byłby sprzeczny z wolą Putina. Nie domagał się niczego, co pozwoliłoby Polsce mieć jakkolwiek większy wpływ na prowadzone postępowania.

Nie odwołał się do sojuszników z Zachodu, nie poprosił ich o wsparcie.

Nie skorzystał z zapisów korzystniejszej i adekwatnej w tym przypadku wojskowej umowy dwustronnej, a przystał na kremlowski prikaz sięgnięcia po niemające tu zastosowania prawo cywilne (tzw. konwencję chicagowską i jej 13. załącznik), zdecydowanie mniej pożyteczne dla Polski. Kierujący przez chwilę polską komisją Edmund Klich na spotkaniu z szefem rządu wyłożył mu kawa na ławę: „Załącznik 13. oznaczał, że my nie odpowiadamy za badanie. Za badanie odpowiada strona rosyjska". Jaśniej już się nie dało. Nawet gdy premier mógł cokolwiek wyciągnąć z tego dokumentu, nie zrobił tego. Mowa o styczniu 2011 r., gdy rosyjski MAK zakończył badanie (to według konwencji moment obligatoryjnego zwrotu szczątków maszyny właścicielowi), a Tusk nie zwrócił się o samolot. Pytacie, gdzie jest wrak. Zapytajcie raczej: DLACZEGO tam jest i już zostanie?

eprasa.pl e34f39cd17

Tusk nie skorzystał z momentu, gdy cały świat patrzył na Warszawę, Moskwę i Smoleńsk i nie zażądał niedotykania najważniejszych dowodów przed przyjazdem polskich ekspertów. Pozwolił, by nasi prokuratorzy, biegli, urzędnicy byli bezbronnymi petentami, którym służby Putina śmiały się w twarz.

Rodziny ofiar doskonale pamiętają, jak premier niejednokrotnie zapewniał, że bierze na siebie pełną odpowiedzialność za wszystko, co robi państwo, by wyjaśnić katastrofę. Nie wziął jej nigdy, a tych, którzy mnożyli pytania pod adresem władz, domagali się przejęcia śledztwa przez stronę polską, apelowali o międzynarodową pomoc i wskazywali na coraz wyraźniejsze kłamstwa Rosji po prostu wyśmiewano i wyzywano od rusofobów, którzy chcą wywołania wojny z Putinem.

Być może Tuskowi się wydaje, że uderzeniem w podkomisję dopisał epilog do tego nędznego spektaklu wybielania samego siebie. Nic z tego.

SZOKOWANIE MILIONAMI

Tomczyk ze swoim przełożonym, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, martwią się, ile pieniędzy kosztowały prace zespołu Macierewicza. Kwota 81 mln zł ma zrobić wrażenie na publiczności. Ale jej większość to wyliczony w MON koszt drugiego tupolewa stacjonującego w Mińsku Mazowieckim. Wmawia się nam, że podkomisja przejęła w pełni sprawny samolot i go zniszczyła. Faktem jest, że wykonano na nim prace budzące wiele wątpliwości co do ich zasadności i prawidłowości. To my informowaliśmy pięć lat temu, że prokuratura przejmuje „sto dwójkę" i jest zszokowana jej stanem. Ale ta maszyna już w 2015 r. nie miała prawa ponownie wzbić się w powietrze.

Jej ostatni lot miał miejsce w 2011 r., gdy przebazowano ją z Okęcia do Mińska. Wyremontowany w Rosji (za grube miliony – kiedy Kosiniak-Kamysz rozliczy za to ministra Bogdana Klicha?) samolot od tamtej pory niszczał w 23. Bazie Lotnictwa Taktycznego. Rządowi nie udało się go sprzedać ani do Rosji, ani na Kubę – bo tylko w takich regionach tego typu dwupłatowce były jeszcze używane.

MON chce, byśmy myśleli, że TU-154M nr 102 był sprawny technicznie po przebazowaniu do Mińska, aż tu nagle przyszedł pan Antoni, porozkręcał go i zmarnotrawił 47 mln zł. Gdzieś im w takim razie umknęły ponad cztery lata rdzewienia maszyny w Mińsku za ich rządów. Kto więc zmarnotrawił 47 mln? W 2016 r. „druga tutka" miała już faktyczną wartość złomu, choć pozostawała ważnym dowodem, który miał pomóc w śledztwie, bo wszystkie systemy pokładowe były bliźniacze do tych znajdujących się w samolocie rozbitym w Smoleńsku.

> Nie wolno milcząco akceptować tego, że ekipa, która głęboko zakopała prawdę o Smoleńsku, dziś udaje bezstronnego arbitra

ZNÓW DIABŁY W ORNATACH…

Pozostałe 34 mln zł to pieniądze wydane na eksperymenty, analizy i pensje członków podkomisji. Niezależnie od oceny ich pracy trzeba jednak przyznać, że 12 mln zł wynagrodzeń grupy ok. 20 osób zajmujących się w ciągu ponad siedmiu lat wyjaśnieniem śmierci państwowej elity to nie są pieniądze, które przyprawiają o zawrót głowy. Miesięczna średnia wychodzi czterocyfrowa.

Lecz znów podkreślmy: wszystkie środki, które pochłonęła podkomisja, zostały spowodowane zaniedbaniami rządu w latach 2010–2011 i późniejszych. Podobnie wszystkie koszty postępowań prowadzonych od 2016 r. w Prokuraturze Krajowej są zawinione przez wojskowych śledczych w latach 2010–2016, na czele z bezprawnym pozwoleniem na przeprowadzenie pogrzebów bez wykonania sekcji zwłok ofiar. Rządowi wówczas potwornie się spieszyło, by błyskawicznie przeprowadzić pogrzeby i na tej wątłej podstawie móc bredzić o państwie, które zdało egzamin. Czyżby wiedziano, ile „pomyłek" wypłynie po złamaniu rosyjskiego zakazu i otwarciu trumien w Polsce?

Pamiętajmy też o powołaniu przez śledczych kilku zespołów biegłych, w tym światowych ekspertów od badania katastrof lotniczych – tu dopiero będą koszty, których jeszcze nie znamy! I powiedzmy więcej: koszty, które polskie państwo musiało ponieść, by choć spróbować dojść do prawdy o śmierci swojego prezydenta.

KTO OSĄDZI KLICHA?

Obecnym władzom trzeba postawić jeszcze jedno pytanie: chcecie skarżyć Mariusza Błaszczaka za rzekome pozwalanie na nieprawidłowości Macierewicza, a co sami zrobiliście w sprawie Bogdana Klicha i jego nadzoru nad jednostkami MON, nad armią, w czasie dwóch największych wojskowych katastrof lotniczych w ciągu dekad? Co z jego zgodą na wsadzenie wszystkich dowódców wojsk do jednego samolotu i potwierdzanie niemal do ostatniej chwili, że sam też się tam wybiera? Chcecie zrobić ambasadorem w Waszyngtonie człowieka, który dwa tygodnie po katastrofie płaszczył się w Moskwie przed swoim rosyjskim odpowiednikiem.

A BYŁO TO TAK

21 kwietnia ambasador Jerzy Bahr raportuje, że rosyjski wicepremier i minister obrony Siergiej Iwanow „mimo, iż nie jest zdrów, jest gotów przyjąć min. B. Klicha 24 bm. (sobota)". Następnego dnia ambasador wysyła kolejny szyfrogram: „S. Iwanow zgadzając się na przyjęcie w sobotę Pana Ministra (»niezależnie od swej choroby«), uczynił zdecydowany gest. Dawniej o podobne natychmiastowe spotkanie musieliśmy długo zabiegać. Jako powód sami podaliśmy chęć podziękowania; nie podziękujemy – powstanie u gospodarzy podejrzenie, że mamy ku temu powody".

To cytaty z nieznanych wcześniej klauzulowanych dokumentów rządowych, które ujawniliśmy w 2016 r. w „Sieci". Skłaniały do pytania, czy nie takie właśnie postawy miał na myśli Ra-

eprasa.pl e34f39cd17

Fot. Fratria

dosław Sikorski, mówiąc przed dekadą o „murzyńskości" w dyplomacji?

Za co należało się podziękowanie naszego szefa MON w Moskwie? Wyjaśnia to kolejny dokument. Podsumowujący spotkanie ministrów obrony szyfrogram Bahra do wiceministra spraw zagranicznych Jacka Najdera jest jeszcze bardziej kuriozalny. Klich „podziękował władzom Rosji przede wszystkim za dużą operatywność na miejscu zdarzenia, tuż po katastrofie i za szybką, sprawną identyfikację ofiar" (sic!). Wystąpił też o kopie trzech rejestratorów. Do czego były mu potrzebne? „Ujawnienie zapisów obaliłoby te spekulacje, które nie sprzyjają dobrej atmosferze relacji polsko-rosyjskich". Znów przyjaźń z Moskwą była najważniejsza.

Jak odpowiedział Iwanow? Odsyłam na portal wPolityce.pl, gdzie przypominam ciąg dalszy tej historii i inne kompromitujące zachowania ówczesnej (i dzisiejszej) władzy.

Co zaś do Klicha, to nie będą go szanować w Waszyngtonie, a polskiego rządu, który go przysłał – traktować poważnie.

PUTIN KIBICUJE

Wreszcie najważniejsza rzecz – MON może powołać nawet dziesięć zespołów, które miesiącami będą punktować nieprawidłowości w podkomisji. Bodnarowcy z PK mogą stawiać dowolną liczbę zarzutów ludziom, którzy w kwietniu 2010 r. byli w opozycji. Ale w niczym nie umniejszy to hipotezy o zamachu na głowę polskiego państwa jako najbardziej prawdopodobnej przyczyny tragedii. I nie zamaże faktu, że w latach 2010–2015 polskie władze robiły wszystko, by jej nie potwierdzić. Być może już zawsze będziemy zmuszeni posiłkować się tu poszlakami, lecz ich liczba i waga nie mogą pozostawiać nas obojętnymi.

O tym, jak bardzo rząd boi się wątku materiałów wybuchowych, świadczy prezentacja przygotowana przez MON dla dziennikarzy i opinii publicznej. Wiadomo, że mało kto przeczyta kilkusetstronicowy raport wraz z załącznikami. Stworzono więc kilkadziesiąt slajdów, które mają wskazać odbiorcom, co myśleć o zespole Macierewicza. Znajduje się wśród nich tabela, w której wymieniono kolejne instytucje (również zagraniczne) zajmujące się poszukiwaniem śladów materiałów wybuchowych. I niektóre je znalazły. Ale specjaliści MON od propagandy postanowili je nieco przykryć olbrzymim paskiem informującym, jaką część grama stanowi nanogram.

Owszem, w laboratoriach Wielkiej Brytanii, USA i we Włoszech stwierdzono śladowe ilości podejrzanych substancji, ale dziś nikt już nie jest w stanie zweryfikować, czy gdyby takie analizy przeprowadzono w 2010 r., wyniki nie byłyby inne. Zwłaszcza że badania sprzed lat – na miejscu katastrofy (przenośnymi urządzeniami używanymi przez polskie służby) dały jednoznaczne wskazania, a kamuflujące je prace Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji zostały w całości podważone i skompromitowane przez biegłych profesorów chemii (o tym też pisaliśmy jako pierwsi). Zresztą już wówczas, jesienią 2012 r., władza uciekła się do rządowej interwencji u wydawcy gazety (ostatecznie ją spacyfikowano), która powiadomiła o sensacyjnych ustaleniach polskich ekspertów i trotylu na wraku tupolewa.

Zamiast pójść tym tropem, postanowiono go wyśmiać i zmarginalizować.

Nic dziwnego, że podjął go Antoni Macierewicz. Niestety poszedł na skróty, i to chwilami dość brutalnie. Tak, zawiódł, a jego działalność jak każdego urzędnika na ważnym stanowisku musi podlegać krytycznej ocenie, zwłaszcza w tak fundamentalnej sprawie. Ale jego uchybienia nijak się mają do ciężaru win, który niosą na plecach m.in. wymienieni na wstępie.

Gdyby nie rozdzielenie wizyt i próba wyrugowania z Katynia prezydenta, do żadnej katastrofy by nie doszło. Może nie doszłoby do niej również wtedy, gdyby szef KPRM Tomasz Arabski (jako koordynator lotu) nie zdecydował się złamać instrukcji HEAD i nie wysłał samolotów z VIP-ami na nieczynne lotnisko. Może mógł jej zapobiec szef BOR Marian Janicki, który zlekceważył sprawdzenie smoleńskiego lotniska (nie zgodzili się na to Rosjanie) i dopuścił do obniżenia stopnia zabezpieczenia wizyty prezydenta w Rosji.

Winy niektórych przedawniły się, zanim Zjednoczona Prawica doszła do władzy. Tam, gdzie można było kogoś ścigać jeszcze po 2015 r., dopuszczono się jednak grzechu zaniechania, bo za bardzo martwiono się, jak wiadomość o stawianiu zarzutów za 10 kwietnia wpłynie na scenę polityczną...

Upojona swoją bezkarnością ekipa PO-PSL chce więc tę sprawę domknąć i pozostawić wrażenie, że za całe zło w niej odpowiadają Macierewicz, Kaczyński i Błaszczak. Jeśli by im się to udało, zadowolony byłby nie tylko Tusk, lecz także Putin, z którym znów mogliby przybić żółwiki.

eprasa.pl e34f39cd17

Uwolnieni

Uwolnienie ks. Michała Olszewskiego i dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości z aresztu wywołało falę pozytywnych emocji, ale i nowe ataki

GORAN ANDRIJANIĆ

„Chciałem wam wszystkim podziękować. Mówili, że to był areszt wydobywczy. Ale on był wydobywczy w tym znaczeniu, że to wasze modlitwy mnie wydobyły". To słynne już słowa, które ks. Michał Olszewski wypowiedział 25 października, w dniu, w którym opuszczał budynek aresztu śledczego w Warszawie-Służewcu.

SIŁA WSPÓLNOTY

Byłem tam tego dnia i dobrze poczułem panującą atmosferę. Wśród zgromadzonych widoczna była radość i ulga z powodu uwolnienia sercanina, którego stan zdrowia po siedmiu miesiącach zamknięcia w izolatce, według wszelkich doniesień, był coraz gorszy. Solidarność, radość, łzy, wzruszenie i pewnie wiele innych emocji można było wyczuć wśród ściskających kapłana ze wszystkich stron ludzi.

Tego samego dnia podobna atmosfera panowała przed budynkiem aresztu śledczego Warszawa-Grochów, skąd zostały uwolnione byłe urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości Urszula Dubejko i Karolina Kucharska. Dwie kruche kobiety razem z ks. Olszewskim zostały oskarżone o przynależność do „zorganizowanej grupy przestępczej" i tak jak sercanin stanęły tego dnia przed kamerami, aby podziękować za wolność, a także podzielić się faktami, które długo będą miały wpływ na sumienie narodu.

„Chciałam podziękować wszystkim, którzy się za mnie modlili, wszystkim, którzy odprawiali msze święte, również mojej rodzinie, panom mecenasom i panu redaktorowi, który wpłacił kaucję" – powiedziała Urszula Dubejko, dziękując Michałowi Rachoniowi, który zapłacił 700 tys. zł kaucji za obie urzędniczki (kaucję dla ks. Michała wyasygnowało jego stowarzyszenie sercanów).

„Te modlitwy trzymały mnie w nadziei. Chciałam też podziękować tym panom, którzy podjęli głodówkę w naszej intencji. Tyle wzruszeń. Czułam to. Dziękuję, że przychodziliście tu i modliliście się" – mówiła Dubejko.

„Panowie", którzy podjęli głodówkę, to Jan Karandziej i Stanisław Oroń, dwóch byłych opozycjonistów z czasów Solidarności, którzy protestowali przeciwko przetrzymywaniu w areszcie ks. Michała i dwóch urzędniczek.

„Chciałam podziękować z głębi mojego serca za wsparcie, modlitwy, posty, głodówki. Za to dobro, które czułam za murami. Chciałam podziękować wszystkim osobom z Polski i nie tylko Polski, za modlitwę, za wsparcie" – powiedziała Karolina Kucharska po wyjściu na wolność.

Uwolnienie trzech osób, których bezsensownie długi pobyt w areszcie był klasycznym pogwałceniem praw człowieka, stworzyło w Polsce bardzo specyficzną i pozytywną atmosferę. Chodzi o rodzaj wspólnoty i solidarności, których dawno nie doświadczyliśmy w podzielonej Polsce, nawet na podzielonej prawicy.

Dobrze wyraził te uczucia ks. Włodzimierz Płatek SCJ, rzecznik Prowincji Polskiej księży sercanów, w rozmowie z dziennikarką portalu wPolityce.pl Joanną Jaszczuk: „Myślę, że to prawdziwy obraz Kościoła jako wspólnoty ludzi żywych, wierzących, połączonych miłością do Boga, ale również wspólnymi wartościami. Choć w ostatnich latach

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl e34f39cd17

przez media w Polsce przewija się obraz Kościoła »umierającego«. Tymczasem obok niego mamy okazję obserwować, a nawet być częścią tego realnego Kościoła i myślę, że właśnie postawa wobec ks. Michała, ale także pań urzędniczek, szturm modlitewny, demonstracje, spotkania, wszelkiego rodzaju inne akcje, takie jak pielgrzymki pokutne, posty czy akcja głodowa, pokazują, że Kościół to wspólnota ludzi żywych, złączonych ze sobą".

Jak zauważają niektóre portale monitorujące nastroje społeczne, m.in. strona Polityka w Sieci, te wydarzenia po raz pierwszy ugruntowały wizerunek księdza i dwóch pracownic resortu sprawiedliwości jako ofiar prześladowań politycznych. W kraju, w którym dominuje lewicowo-liberalny establishment popierający rząd Donalda Tuska, było to rzeczywiście coś ważnego.

OSKARŻENIA „WYBORCZEJ"

Nic więc dziwnego, że kilka dni po zwolnieniu oskarżonych w sprawie Funduszu Sprawiedliwości „Gazeta Wyborcza" opublikowała artykuł, który zapowiada kolejną falę prześladowań. „GW" pozyskała od prokuratury dokumenty zawierające szczegóły aktu oskarżenia (przypominamy, że niektóre z tych tez nie są jeszcze znane nawet obrońcom oskarżonych) i opublikowała tekst, w którym potępia księdza i kobiety jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Obrońcy ks. Olszewskiego już zdążyli zdementować zarzuty, według których sercanin wykorzystywał pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości na własne cele.

Jednocześnie jest całkowicie jasne, jakie jest tło tego artykułu. Chodzi o osłabienie siły relacji na temat tego, jak oskarżeni byli traktowani w areszcie. Ks. Olszewski postanowił na razie wycofać się z życia publicznego, ale panie Urszula i Karolina mówią wprost, co musiały znosić.

RELACJE ZZA KRAT

Obie kobiety były traktowane jak „niebezpieczni przestępcy", co zgodnie z procedurami powinno dotyczyć najgorszych zbrodniarzy.

„Miałam status izolacji, który w praktyce sprowadzał się do tego, że byłam sama w celi – opowiadała pani Urszula w rozmowie z telewizją wPolsce24. – Byłam monitorowana 24 godziny na dobę, gdzie funkcjonariusze obserwowali każdy mój ruch, łącznie z pobytem w toalecie. Aby wyjść z celi, w areszcie zarządzano pełne oczyszczenie terenu, aby żaden inny osadzony nie mógł przebywać na tym terenie. Jak szłam na spacerniak, to szłam sama, potem na spacerniaku też byłam sama. Jak szłam do kaplicy, to był tylko ksiądz".

Jej aresztowanie również odbyło się w taki sposób, jakby była jakimś gangsterem. „ABW w liczbie kilkunastu funkcjonariuszy zjawiło się o godzinie szóstej rano w moim domu. Zaczęli tłuc do drzwi, budząc całe osiedle, strasząc, że wyważą je, jeśli nie otworzę natychmiast. O szóstej rano wszyscy byliśmy wyrwani ze snu, ja zeszłam, syn zszedł za mną. Krzyczałam do niego, żeby nie schodził, ale zszedł za mną i był świadkiem, jak otworzyłam drzwi ABW. Skuli mnie na jego oczach. Dopiero potem, jak poprosiłam, żeby przyjechał mecenas Wąsowski, to zostałam rozkuta na czas jego obecności. On był przez chwilę, ale też zadeklarował, że będzie potem na przesłuchaniu. Samo to przeszukanie, ta atmosfera była taka agresywna. Ja też od razu mówiłam, że nie będę sprawiać żadnych trudności, nie zamierzam stawiać oporu".

> Byłam monitorowana 24 godziny na dobę, gdzie funkcjonariusze obserwowali każdy mój ruch, łącznie z pobytem w toalecie – opowiadała Urszula Dubejko po opuszczeniu aresztu

Co było najgorsze? „Okres w izbie zatrzymań, gdzie czekałam na sąd aresztowy. Była tam taka sytuacja, że nie było kobiet funkcjonariuszy, tylko sami mężczyźni [...] i każde skorzystanie z toalety, każde umycie się w łazience wiązało się z tym, że obserwowali mnie mężczyźni przez takie okienko. Niektórzy byli delikatni i patrzyli trochę bardziej w bok, ale byli też tacy, którzy patrzyli wprost, jak się załatwiam. To było dla mnie bardzo upokarzające. To było dla mnie nie do uwierzenia, nie życzyłabym tego najgorszemu wrogowi" – relacjonowała Dubejko, dodając, że przez pierwsze trzy miesiące w areszcie codziennie płakała.

„Do tej pory nie rozumiem i nie jestem w stanie pojąć, dlaczego zostałam potraktowana jako najgroźniejszy przestępca, bo tak też się czułam, gdy np. wszyscy musieli być schowani i pozamykani jak tylko przechodziłam przez korytarz, podczas drogi do kaplicy czy do sali widzeń" – powiedziała Karolina Kucharska w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie".

„W mojej niewielkiej celi zamontowane były dwie kamery – jedna w kąciku z toaletą, a druga praktycznie nad łóżkiem, dlatego niezrozumiała była dla mnie sytuacja, która trwała nie tylko na początku, lecz także przez cały okres mojego osadzenia, polegająca na wielokrotnym zapalaniu w nocy światła. Doprowadzało to do wielokrotnego wybudzania się w nocy, co spowodowało u mnie chroniczny stan zmęczenia. Obawiam się, czy tego rodzaju działania, trwające bez przerwy przez siedem miesięcy, nie odbiły się jednak poważniej na moim zdrowiu. Mam dosyć istotnie pogorszone wyniki ogólne morfologii krwi. Z pewnością będę musiała wykonać w najbliższym czasie pogłębione badania diagnostyczne i odbyć konsultacje ze specjalistami" – wyjaśniła Kucharska.

Pewne jest, że w nadchodzących miesiącach będziemy poznawać nowe fakty dotyczące oskarżeń wobec księdza i obu kobiet. Jak twierdzą ich obrońcy, może to być tylko dobra wiadomość dla ich klientów, bo prawda o całej sprawie wyjdzie na jaw.

eprasa.pl e34f39cd17

Kto należał do sieci Rubcowa?

Choć Paweł Rubcow, agent GRU werbujący agentów w Polsce, do Putina wrócił z początkiem sierpnia, wiele aspektów jego pobytu w Polsce pozostało niewyjaśnionych

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Raz w miesiącu powraca sprawa Rubcowa. W sierpniu zobaczyliśmy go na moskiewskim lotnisku, jak obściskuje się z Władimirem Putinem po tym, jak Donald Tusk oddał go Rosjanom. We wrześniu „Rzeczpospolita" ujawniła, że Rubcow miał dostęp do akt sprawy sądowej, która była mu wytoczona. Z końcem października wątek rosyjskiego agenta został wzbogacony o akcenty erotyczne. „Kilka osób odetchnęło, gdy nasz kraj opuścił niejaki Pablo González vel Pawka Rubcow. A konkretnie chodzi o osoby płci pięknej. Jak się okazuje, na wizerunek korespondenta wojennego nabrała się nie tylko Magdalena Ch." – napisali Cezary Gmyz i Piotr Gociek, rozwijając następnie tę historię o kilka szczegółów. „Podboje miłosne iberyjsko-ruskiego lowelasa miały naprawdę imponujące zasięgi. No i jest problem. Część pań podejrzewa, że Pawka dokumentował ich spotkania. No cóż, możemy to potwierdzić. Jest tylko jeden problem. Oryginały kompromatów zostały co prawda zabezpieczone, ale niestety kopie dawno wysłano do Moskwy".

Temat może by się nie przebił do publicznej debaty, gdyby na platformie X anonimowe, ale walczące z ekipą Tuska konto Mr John Bingjam nie skomentowało informacji Gmyza i Goćka, zyskując wielotysięczne zasięgi: „To jest naprawdę gruba historia. Drogie koleżanki-dziennikarki, gwiazdy nowoczesnej, uśmiechniętej żurnalistyki. Wasze kompromitujące filmy dla dorosłych z udziałem Pawła Rubcowa z GRU są już w Moskwie. Miłego dnia!".

Wpis wywołał burzę, bo prawicowi komentatorzy wymyślili hasztag, który rozlał się po internecie. Hasło #poGRUchane łączyło aluzję do seksu i do GRU, insynuując najróżniejsze powiązania z polskimi dziennikarkami. Dziennikarze mainstreamu oburzali się, że ktoś śmie podejrzewać ich o relacje seksualne z agentem GRU. Póki co umyka nam skala znaczenia Magdaleny Chodownik, partnerki szpiega.

SIEĆ MAGDALENY CHODOWNIK

Marek Pyza w tygodniku „Sieci" (11 sierpnia 2024 r.) obnażył już sieć powiązań pomiędzy agentem GRU Pawłem Rubcowem a polskimi dziennikarzami. Sprawa jednak na tym się nie kończy, bowiem Rubcow jako nielegał, supertajny agent o zmienionej tożsamości, miał zadania zupełnie specjalne. Niedoszły Hiszpan miał zatem zwerbować w Warszawie ludzi, którzy pomogą mu realizować zadania Moskwy.

Jak pisał Thomas B. Allen (1929–2018), amerykański badacz tajnych służb, nielegał „w żargonie KGB i GRU oznacza oficera wywiadu pracującego poza granicami kraju i ukrywającego swą prawdziwą przynależność państwową. Jego głównym zadaniem jest werbunek agentów. Przerzut tzw. nielegała określany jest mianem tournée artystycznego". Werbunek agentów jest o tyle skuteczny, że nielegał nie podlega lokalnej ambasadzie i zwykłym oficerom służb, a więc jest głębiej zakonspirowany. Do współpracy pozyskuje „ideowców", a także ofiary kompromatów, czyli ludzi uwikłanych w seks, problemy finansowe lub z alkoholem, narkotykami czy hazardem.

Sama Chodownik jest podejrzewana przez służby o współpracę, ale tak naprawdę jedyną kwestią do wyjaśnienia pozostaje, czy Rubcow posługiwał się nią jako nieświadomym narzędziem, czy jednak dziennikarka współpracowała z nim z premedytacją. A jeśli tak, to co

Fot. X

eprasa.pl e34f39cd17

Magdalena Chodownik

oznaczają jej więzi z innymi postaciami polskiego życia publicznego?

Patryk Michalski jest znanym antypisowskim dziennikarzem portalu wp.pl. Chodownik w mediach społecznościowych nazwała go swoim „ulubionym dziennikarzem" po tym, jak udzielił jej komentarza do materiałów telewizyjnych. Dziennikarz nigdy nie wyjaśnił, dlaczego miał być ulubionym żurnalistą partnerki Rubcowa.

KTO JESZCZE NA ORBICIE?

Chodownik pisała czasem na łamach „Tygodnika Powszechnego". Redakcja wydała oświadczenie w tej sprawie, zaznaczając, że dziennikarka była u nich „okazjonalną autorką" i „freelancerką, piszącą dla wielu tytułów polskich i zagranicznych". Tygodnik opublikował dziewięć tekstów Chodownik, ale przynajmniej próbuje transparentnie wyjaśnić swoje relacje z autorką. A opiniotwórczy komentatorzy faktycznie powinni się publicznie wyspowiadać ze swoich relacji z otoczeniem Rubcowa.

W specyficzny sposób robi to Tomasz Piątek, samozwańczy ekspert ds. rosyjskich, który przypisuje PiS wpływy ze strony Kremla, lansowany przez media liberalne. W wydanej w zeszłym miesiącu książce Piątek w jednym rozdziale opowiada o swoich spotkaniach z Magdaleną Chodownik. Często konfabuluje, z jego stylu przypisywania wszystkim rosyjskiej agentury śmieje się nawet Tomasz Lis, a jednak fragmentom o Chodownik warto się przyjrzeć.

„W ciągu ostatniego roku odbyłem z nią liczne, wielogodzinne rozmowy" – przyznaje Piątek. Twierdzi, że od początku rozpoznał, że dziennikarka jest umoczona w relacje z rosyjskim agentem, ale to stary numer – po demaskacji i kompromitacji każdy by chciał uchodzić za tego, „który wiedział". Jednocześnie Piątek broni ojca Magdaleny Chodownik, który został zdemaskowany jako przedsiębiorca współpracujący z Rosjanami, bowiem mężczyzna ma firmę importującą towary z imperium Putina. Mitomański autor nazywa go niewinnym „starszym panem", zaś samą Chodownik miał przejrzeć, analizując... z której strony łóżka spała dziennikarka, a z której jej rosyjski kochanek. Ten wątek jest ważniejszy niż by mogło się wydawać. Dla redakcji „Newsweeka" albo części dziennikarzy nowej TVP Piątek jest autorytetem, tymczasem po zdemaskowaniu Rubcowa jako oficera GRU okazuje się, że także ten autor był w orbicie dezinformacyjnej putinowskiego agenta.

> Dla redakcji „Newsweeka" albo części dziennikarzy nowej TVP Tomasz Piątek jest autorytetem, tymczasem po zdemaskowaniu Rubcowa jako oficera GRU okazuje się, że także ten autor był w orbicie dezinformacyjnej putinowskiego agenta

Z DODATKOWYCH DONIESIEŃ

Magdalena Chodownik bez większych problemów poruszała się w warszawskich kręgach towarzyskich i służbowych. Jak ustaliła „Rzeczpospolita", jeszcze w lutym dziennikarka wzięła udział w posiedzeniu... sejmowej komisji obrony narodowej. Nawet jeśli przyjaciółka Rubcowa jest niewinna, to na pewno ma świadomość, że gdy ciążą na niej takie podejrzenia, to jej pojawienie się na posiedzeniu dotykającym tajemnic państwowych jest skandaliczne. Mimo to się wydarzyło.

Jednak tym, co budzi kolejne pytania, jest wywiad, jakiego Paweł Rubcow udzielił rosyjskim „Wiadomościom kanału pierwszego". To, co Rosjanin opowiada dziennikarzowi z Kremla, stanowi powtórzeniem linii narracyjnej, którą Chodownik opowiadała Piątkowi. Że Rubcow był zwykłym dziennikarzem, że nie ma wobec niego żadnych poważnych zarzutów i nie miał nawet możliwości prowadzenia szpiegowskiej działalności. Co prawda nie podawał takich szczegółów jak jego partnerka (że spał na łóżku od strony ściany, więc nie mógł wykradać się po nocach), ale niewinność ma być tu przedstawiona jednoznacznie.

Przy tego rodzaju agenturze, jaką realizował Rubcow, trzeba podkreślić jedną rzecz – taka praca jest trwała, bo tworzy długoterminowe więzi wśród informatorów. Nielegałowie werbują współpracowników, którzy potrafią wspierać macierzysty wywiad przez długie lata. Czasem pozyskuje się kompromitujące materiały, którymi aktywuje się agenta nawet po 10 czy 15 latach. Homoseksualne zabawy studentów Cambridge przyniosły przecież materiał do szantażu najlepszych szpiegów w historii Związku Sowieckiego – od Kima Philby'ego poczynając. Zaczyna się przecież od drobnej kompromitacji, by wciągnąć w psychologiczną grę gróźb i nadziei, aż zwerbuje się do pracy dla obcego wywiadu.

Jeśli już się miało takiego pecha, że bliżej poznało się takiego groźnego typa jak rosyjski nielegał, istnieją dwie metody oczyszczenia: spowiedź ojczystym służbom lub transparentne obwieszczenie kulis swoich relacji z kremlowskim agentem.

Polscy dziennikarze z mainstreamu czują się jednak bezkarni, a do służb wrócili ludzie znani z polsko-rosyjskiego resetu przed 2014 r. Warszawa staje się więc miastem szpiegów nie gorszym niż Wiedeń z lat 50. XX w. Tym razem jednak porównanie do zachodniej stolicy nie przynosi żadnych powodów do dumy.

Fot. Screen France 24

eprasa.pl e34f39cd17

Rewolucja w urzędzie kombatanckim

Niszczenie państwowych instytucji trwa w najlepsze. Zmiany objęły także urząd, który powinien kultywować pamięć o polskich bohaterach, a coraz bardziej pochyla się nad losem ich oprawców

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Lech Parell

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych to instytucja, która jest oparta na dwóch filarach. Pierwszy obszar stanowi pomoc i wsparcie dla podopiecznych, czyli dla kombatantów czasu wojennego oraz działaczy opozycji antykomunistycznej. Drugi natomiast, również niezwykle ważny, to polityka historyczna, czyli upowszechnianie tradycji walk o wolność i niepodległość Polski.

Pierwszy z tych obszarów nie uległ zasadniczym korektom. Drugi natomiast przechodzi swoistą rewolucję. Zmiany trwają, a haniebne ich efekty widać gołym okiem.

ODWOŁANIE MINISTRA

Od 13 września 2017 r. (od 1 lutego 2016 r. jako p.o.) szefem urzędu był Jan Józef Kasprzyk. Pełnił więc tę funkcję ponad osiem lat. 17 lutego 2024 r., a więc kilkanaście dni przed Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych, do UdSKiOR trafiło kuriozalne pismo od minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. Napisała w nim, że zakazuje urzędowi organizowania jakichkolwiek przedsięwzięć upamiętniających Brygadę Świętokrzyską NSZ oraz Józefa Kurasia „Ognia".

Jak się teraz okazuje, aktualna polityka historyczna urzędu jest w pewnym sensie konsekwencją tych wytycznych, które określił obecny rząd m.in. poprzez wspomniane pismo.

Trzy dni później, 20 lutego 2024 r., decyzją premiera Donalda Tuska na wniosek minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk Jan Kasprzyk został odwołany ze swojej funkcji. Na szefa urzędu powołano Lecha Parella. Zmiany w polityce placówki nastąpiły natychmiast.

ZAMIAST WYKLĘTYCH – ARMIA LUDOWA

Rozpoczęto od niemal całkowitej rezygnacji działań na rzecz powojennego podziemia niepodległościowego. – Mamy w tym obszarze od lutego kilka bardzo niepokojących zjawisk – mówi w rozmowie z „Sieci" Jan Kasprzyk. – Po pierwsze, mój następca Lech Parell w żaden sposób nie upamiętnił przez te kilka miesięcy czynu zbrojnego polskiego podziemia niepodległościowego spod sztandarów narodowych. Nie było uroczystości organizowanych w 80. rocznicę powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Nie było żadnych upamiętnień poświęconych żołnierzom NSZ. Zminimalizowano zupełnie uroczystość czy wydarzenia poświęcone żołnierzom wyklętym. Natomiast w to miejsce, ku zdumieniu mojemu, ale też podopiecznych urzędu i wielu obserwatorów życia publicznego, pojawiło się po raz pierwszy od wielu lat upamiętnienie sowieckiej agentury na ziemiach polskich, czyli żołnierzy Armii Ludowej. AL była sowiecką agenturą w Polsce, której członkowie zajmowali się głównie penetracją polskiego państwa podziemnego, współpracując nawet w tej materii z gestapo. Te oczywiste fakty historyczne

Fot. Urząd ds kombatantów i osób represjonowanych

eprasa.pl e34f39cd17

nie przeszkodziły Lechowi Parellowi i jego zastępcy Michałowi Sysce wywodzącemu się z partii Wiosna Roberta Biedronia upamiętnić Armię Ludową w sierpniu i we wrześniu br. Równolegle rząd Donalda Tuska zaczął przywracać przywileje emerytalno-rentowe byłym funkcjonariuszom SB.

Okazją do uczczenia AL okazała się 80. rocznica zbombardowania przez Niemców kamienicy przy ul. Freta 16 podczas powstania warszawskiego. Zastępca szefa UdSKiOR Michał Syska w imieniu Lecha Parella oddał hołd poległym w wyniku wybuchu członkom warszawskiego sztabu AL oraz mieszkańcom Starego Miasta, składając kwiaty przed tablicą pamiątkową. Uczestnikiem uroczystości był m.in. Bogdan Pokrowski, który 9 maja 2020 r. czcił w Warszawie razem z ambasadorem Rosji Siergiejem Andriejewem Dzień Zwycięstwa. „1 sierpnia 1944 r. kilkadziesiąt tysięcy zwłaszcza młodych ludzi chwyciło za broń w odpowiedzi na to barbarzyństwo. Wśród nich byli żołnierze Armii Ludowej. Spotykamy się tu, aby oddać im hołd, ale także przypomnieć wkład AL w działania powstańcze i podczas całej II wojny światowej" – mówił Michał Syska.

Symboliczny wydaje się także fakt, że Lech Parell pominął uroczystości związane z rocznicą śmierci Hieronima Dekutowskiego „Zapory" czy odsłonięcie jego pomnika w Bełżycach kilka dni później, a w tym samym czasie uczestniczył w obchodach upamiętniających forsowanie Wału Pomorskiego przez 1. Armię WP w Kołobrzegu.

DZIADEK Z WEHRMACHTU

18 maja odbywały się uroczystości związane z 80. rocznicą bitwy pod Monte Cassino. Z okazji triumfu Polaków nad Niemcami Lech Parell podczas swojego przemówienia mówił o... Polakach wcielonych do Wehrmachtu, którzy uciekli do Polskich Sił Zbrojnych.

„Wspominamy jednak również naszych rodaków z Wielkopolski, ze Śląska czy Kaszub, którzy wcieleni byli do niemieckiej armii i przy nadarzającej się okazji uciekli do Polskich Sił Zbrojnych" – stwierdził. Niedługo potem w mediach ukazała się oficjalna publikacja wydana przez urząd. W tekście przemówienia, którego ostatecznie Lech Parell w całości nie wypowiedział, można było przeczytać: „Takich żołnierzy, naszych dziadków z Wehrmachtu, było w naszej armii 90 tysięcy. Więcej nawet niż tych, którym udało się ujść ze Związku Sowieckiego".

Najwyraźniej pierwotna wersja zakładała przybycie Donalda Tuska na uroczystości, a Monte Cassino wydawało się dla nowych władz urzędu świetnym miejscem, aby jeszcze bardziej przypodobać się premierowi. Jak słusznie napisał na portalu X prof. Sławomir Cenckiewicz, Monte Cassino „to nie jest miejsce na Pańskie rozważania o »dziadkach z Wehrmachtu«, gadanie o zdrajcy Berlingu, o których Pan napisał w oficjalnej broszurze Urzędu rozdawanej w miejscu chwały PSZ [...] Rocznica bitwy jest oddaniem hołdu konkretnym żołnierzom polskim, których blisko 2 tysiące grobów – bohaterów poległych od niemieckich kul – miał Pan Minister za plecami. Istnieje też zagrożenie, że Pan urządzi obchody Monte Cassino na cmentarzu »obrońców«, gdzie również leży wielu Polaków ze Śląska... Pan jest polskim ministrem i opiekunem POLSKICH weteranów, a nie strażnikiem kombatantów z Wehrmachtu i Armii Czerwonej! Pana praca to służba Polsce!".

CZYSTKI I REZYGNACJE

10 lipca szef UdSKiOR Lech Parell powołał nową Radę do Spraw Kombatantów. Został z niej wykluczony sędzia Bogusław Nizieński, nestor środowisk kombatanckich. Zamiast niego w Radzie znalazł się m.in. oficer LWP, który przystępując do ZBOWiD, chwalił się zwalczaniem podziemia niepodległościowego na Podhalu w latach 40 ub.w. Powołana została także nowa Rada ds. Działaczy Opozycji Antykomunistycznej, w której znalazło się też miejsce dla dawnego polityka KPN Krzysztofa Króla, późniejszego działacza KOD, który obecnie jest znany ze skandalicznych komentarzy na swoich profilach w mediach społecznościowych. Pisał tam m.in.: „Zdążę nasikać na komunistycznego sędziego Nizińskiego. Oby żył długo i doczekał tego" oraz „Brązownicy (za Boyem) wymyślili, żeby rozpocząć walkę o Maksymiliana Kolbe i Ulmów. Bardzo dobrze. Więcej osób dowie się o obrzydliwej, antysemickiej postawie Kolbego i Niepokalanowa przed wojną oraz jak inni Polacy wydali ich Niemcom".

Na tym nie skończyły się czystki. Większość członków wojewódzkich rad zrzeszających działaczy opozycji antykomunistycznej albo zrezygnowała z członkostwa w nich, albo została odwołana przez wojewodów. Nie mieścili się w koncepcji polityki pamięci, którą obecnie realizuje urząd.

„Lech Parell działa w kierunku honorowania osób, które były związane z komunistycznym systemem władzy lub poszły na współpracę z SB. Na takie działanie nigdy nie będzie mojej zgody, jak i wielu innych działaczy w Polsce. Nie chcieliśmy tego firmować naszymi nazwiskami. Dlatego zrezygnowaliśmy z członkostwa w Radzie" – powiedział Ryszard Majdzik, działacz opozycji antykomunistycznej.

ZAPOMNIELI O KS. POPIEŁUSZCE

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych do tego stopnia zaangażował się w rewizję działań poprzedników, że całkowicie zignorował 40. rocznicę męczeńskiej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Ani szef urzędu, ani jego zastępca nie znaleźli czasu, żeby wziąć udział w uroczystościach. Próżno było także szukać słowa o rocznicy w mediach społecznościowych UdSKiOR. Krótka notka znalazła się jedynie na stronie internetowej.

– Mam nadzieję, że nieupamiętnienie ks. Jerzego nie było efektem jakiegoś planu, tylko było zwykłą, aczkolwiek absolutnie skandaliczną ignorancją ze strony obecnego kierownictwa Urzędu. Nie wyobrażam sobie, żeby w wolnej Polsce pamięć o ks. Jerzym była wymazywana przez instytucję, która powinna być jedną z wiodących w trosce o pamięć o nim. Gdyby ks. Popiełuszko nie został zamordowany, byłby zgodnie z wszystkimi regułami ustawowymi podopiecznym UdSKiOR – mówi Jan Kasprzyk.

Wobec działań nowego kierownictwa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych konieczny wydaje się powrót do czasów, w których odpowiedzialność za przedstawianie prawdziwej wojennej i powojennej historii Polski spoczywa w dużej mierze na organizacjach społecznych oraz istniejącym jeszcze Instytucie Pamięci Narodowej, który aktualnie jest rządzącym solą w oku. Walka o pamięć nie skończyła się i musi trwać bez względu na sytuację polityczną w Polsce.

eprasa.pl e34f39cd17

Kloc Trzaskowskiego

Od czasu budowy Pałacu Kultury chyba nikt tak mocno nie okaleczył centrum stolicy, później nawet komuniści nieco bardziej liczyli się z opinią ludzi. Inwestycja Trzaskowskiego ma być siarczystym policzkiem wymierzonym pospólstwu i pokazaniem mu, kto tu rządzi. Nic więc dziwnego, że wywołuje tak silne emocje

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Niewiele budynków wzbudza takie emocje, jak otwarty z wielką pompą przez Rafała Trzaskowskiego gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej (MSN) w Warszawie. Do niedawna palmę pierwszeństwa w tej kategorii dzierżył sąsiedni Pałac Kultury i Nauki, ale Trzaskowskiemu udała się rzecz, wydawałoby się, niemożliwa. Sprawił bowiem, że stalinowski pałac przestał tak drażnić oczy. W porównaniu z białym klocem nowego muzeum wydaje się ładniejszy i bardziej na miejscu.

WASZ GŁOS SIĘ NIE LICZY

Nowa siedziba MSN ma cztery kondygnacje, dwie nadziemne i dwie w podziemiach. Jej całkowita powierzchnia wynosi 19 788 m². Gmach był budowany od przeszło czterech lat. Warszawiacy mijali go obojętnie, zastanawiając się, kiedy wreszcie gigantyczna bryła przekształci się w budynek. Jednak do niczego takiego nigdy nie doszło. To, co wielu brało za stan surowy, okazało się bowiem wersją finalną. W rezultacie w ścisłym centrum Warszawy wyrósł biały prostopadłościan za 700 mln zł. Niektórym kojarzył się on z kartonowym pudełkiem na buty, innym z prowincjonalną galerią handlową. Ten ostatni trop był o tyle trafny, że wiele lat wcześniej w tym samym miejscu stał blaszak Kupieckich Domów Towarowych – relikt po siermiężnym handlu lat 90. I choć niemiłosiernie szpecił okolicę, to przynajmniej nie kosztował aż takiego majątku jak nowe muzeum.

Władze Warszawy nie przejmują się jednak opinią ludu. Każdy głos krytyki jest pogardliwie zbywany jako dowód estetycznej ślepoty i braku wyrafinowania. Bo przecież nowy gmach jest piękny w swojej prostocie i wprowadza Warszawę na europejskie salony. Hołota tego nie dostrzega, więc nie warto z nią dyskutować.

W tym podejściu ujawnia się rzeczywisty stosunek liberalnej elity do współobywateli: protekcjonalny, klasistowski i niedemokratyczny. Państwo, w którym żyjecie, miasto, w którym mieszkacie, urządzą wam – według własnej, z nikim niekonsultowanej wizji – uprzywilejowane elity i oczywiście zrobią to tak, aby to im żyło się lepiej. Wasz głos się nie liczy. Oni są od was mądrzejsi, mają lepszy gust i – tego już nikt nie powie – kompleksy głębsze niż Rów Mariański.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl e34f39cd17

To dlatego w samym centrum Warszawy, na najdroższym gruncie, powstał obiekt zaspokajający niszowe potrzeby wąskiej grupy. Od czasu budowy Pałacu Kultury chyba nikt tak mocno nie okaleczył centrum stolicy, później nawet komuniści nieco bardziej liczyli się z opinią ludzi. Inwestycja Trzaskowskiego ma być siarczystym policzkiem wymierzonym pospólstwu i pokazaniem mu, kto tu rządzi. Nic więc dziwnego, że wywołuje tak silne emocje.

I nie chodzi tu wyłącznie o architekturę, choć i ona jest ważna. Postawienie przez Trzaskowskiego białego kloca w środku miasta wskazuje nam, jaką Polskę buduje dziś obóz liberalnej władzy. Taką, w której głos obywateli i ich potrzeby nie mają żadnego znaczenia.

POMNIK TRZASKOWSKIEGO

Warszawę stać na zbytek – bo tylko tak można określić marnowanie gruntu w centrum miasta pod niszowy i niespecjalnie urodziwy gmach MSN – ale brakuje już środków na usługi publiczne: rozwój komunikacji miejskiej, edukację, mieszkania komunalne dla mniej zamożnych, parki, obiekty sportowe i wiele innych potrzeb zwykłych mieszkańców. Kryje się za tym polityczna, a może wręcz ideologiczna decyzja władz miasta.

Warszawa ma być bowiem miastem dla wąskiej liberalnej elity i przyklaskującego jej tłumu prowincjuszy leczących swoje kompleksy gorliwą postępowością i adoracją obecnego reżimu. W tym kontekście bardzo charakterystyczna była niechęć platformerskich władz miasta i wspierającej go liberalnej „warszawki" do odbudowy pałacu Saskiego. Każdy prawdziwy warszawiak, któremu naprawdę zależy na rodzinnym mieście i który zna jego historię, powinien przyjąć ten pomysł z entuzjazmem. Problem polegał jednak na tym, że głównym orędownikiem odbudowy pałacu Saskiego był rząd PiS. Dlatego pomysł blokowano. Gdyby z podobną ideą wyszedł wtedy Tusk lub Trzaskowski, warszawska leminżeria zapiałaby z zachwytu.

Dokładnie ten sam mechanizm działa w przypadku MSN. Fajnopolacy zachwycają się białym klocem tylko dlatego, że w istocie jest to pomnik Trzaskowskiego. Nikt o zdrowych zmysłach chyba przecież nie wierzy, że wyrobnicy świata finansów i korporacji, jakimi jest większość lemingów, mają jakikolwiek zmysł estetyczny i potrafią krytycznie spojrzeć na architekturę. Wielu z nich mieszka w podwarszawskich osiedlach. Wystarczy się tam przejechać i poznać ich estetyczną wrażliwość. Jednocześnie można zapytać, gdzie mieliby nabrać sznytu i szlifować swoje wysublimowane zmysły. U dziadków na prowincji, której się tak bardzo wstydzą? A może na wakacjach w Egipcie lub w Turcji?

Jedyne, co im pozostało to poparte grubszym portfelem poczucie przynależności do lepszego świata. Będą więc gardzić każdym, kto w ich mniemaniu stoi niżej w hierarchii i powtarzać banialuki z liberalnych mediów. Nowy gmach MSN jest dla nich dziełem sztuki najwyższych lotów i architektonicznym skokiem do innej galaktyki, zupełnie takim jak niebieskie jajo Trzaskowskiego przy ul. Brackiej, którym zachwycali się zaledwie rok temu. To wyznanie wiary, rodzaj zaklęcia przesądzającego o elitarności i oddzielającego ich od pospólstwa. W tym sensie jakakolwiek dyskusja o wyglądzie MSN nie tylko nie ma sensu, ale w ogóle się nie toczy. Zamiast tego jest internetowa kłótnia pomiędzy samodzielnie myślącymi ludźmi a aspirującymi nuworyszami.

> MSN ma być zalążkiem nowego centrum stolicy, co powinno mrozić krew w żyłach wielu warszawiaków. Obok białego gmachu powstanie bowiem czarny budynek Teatru Rozmaitości

Być może gmach MSN nie wzbudzałby tylu kontrowersji, gdyby stał w innym miejscu. Mógłby przecież powstać choćby w Miasteczku Wilanów, gdzie nie wyróżniałby się swoją urodą, a przy okazji zaspokoiłby aspiracje wielu mieszkańców tej szczególnej dzielnicy, będącej przecież – nie wiedzieć czemu – kulturalną pustynią na mapie Warszawy. Niestety władze stolicy postanowiły postawić białego kloca przy Marszałkowskiej.

Warszawa od dawna nie ma szczęścia do włodarzy. Pod rządami Platformy miasto rozwija się chaotycznie i bez żadnego planu. Symbolem nieudolności władz stolicy może być tzw. patelnia, czyli wejście na stację metra Centrum, które od chwili swojego powstania w 1998 r. przypomina wielki lej po bombie. Niestety większości mieszkańców najwyraźniej to nie przeszkadza, bo podobnie jak w innych dużych polskich miastach w kolejnych wyborach wybierają tę samą nieudolną ekipę. O przyczynach tego stanu rzeczy pisałem już na tych łamach wielokrotnie i teraz ograniczę się tylko do przypomnienia, że duża część mieszkańców Warszawy nie utożsamia się z tym miastem. Są skupieni wyłącznie na sobie i własnej karierze, więc niespecjalnie obchodzi ich świat dookoła.

DWA KLOCE

Warszawa zmaga się ze swoim centrum od końca PRL. Przez całe dekady trwały jałowe dyskusje, co zrobić z Pałacem Kultury oraz z wielką przestrzenią, jaką jest pl. Defilad. Początkowo plac ten, noszący pierwotnie imię Stalina i nazywany dzisiaj przez Trzaskowskiego – nie wiadomo, dlaczego – placem Centralnym, został zagospodarowany przez kupców, którzy założyli na nim wielki bazar, zajęty potem przez dwa dość obrzydliwe blaszaki. Przez całą pierwszą dekadę obecnego stulecia trwała wielka batalia o uporządkowanie centrum stolicy i wypchnięcie stąd handlarzy. Ich miejsce miała zająć nowoczesna dzielnica wieżowców, jednak jej koncepcje ciągle się zmieniały.

Pojawiła się również idea posadzenia w miejscu pl. Defilad drzew i stworzenia czegoś na kształt nowojorskiego Central Parku. I choć początkowo byłem przeciwny temu pomysłowi (uznałem go za marnowanie atrakcyjnego terenu), to dziś coraz bardziej się do niego przekonuję. W końcu lepszy byłby park niż poligon doświadczalny dla niekończących się eksperymentów platformerskiego ratusza.

W 2005 r. zdecydowano, że w północno-wschodnim rogu pl. Defilad stanie

eprasa.pl e34f39cd17

nowy gmach MSN. Zorganizowano nawet konkurs na projekt budynku, wygrany przez Christiana Kereza, ale umowę z nim zerwano w 2012 r., bo szwajcarski architekt nie chciał się zgodzić na umieszczenie teatru w gmachu. Ostatecznie nowy budynek – już bez teatru, który powstanie osobno – zaprojektował Amerykanin Thomas Phifer. Zdaniem dyrektorki MSN Joanny Mytkowskiej jego projekt „wśród fachowców budzi podziw". Opinia publiczna jest jednak najwyraźniej innego zdania, co zresztą przyznaje sama Mytkowska, dodając, że dopiero po wejściu do budynku można zmienić nastawienie. Szkoda zatem, że cały gmach nie jest równie efektowny co jego wnętrze. Najbardziej jednak szkoda, że Amerykanin zaprojektował budynek w oderwaniu od otoczenia, bez widocznego nawiązania do specyfiki miejsca i jego rangi. Mówiąc brutalnie, taki kloc być może komponowałby się dobrze na środku pustyni Nevada lub na Księżycu, ale nie w samym sercu Warszawy. Jednak Trzaskowski i władze miasta nie przejmowały się estetyką budynku, prawdopodobnie chodziło bowiem o to, aby za wszelką cenę coś wreszcie postawić i tym samym pokazać swoją sprawczość. Zwłaszcza że elektoratowi prezydenta Warszawy można było bez problemu wmówić, że biały klocek jest arcydziełem światowej architektury. Na nowej siedzibie zależało też dyrekcji MSN, która przez cały czas pozostawała na wygnaniu w tymczasowych lokalizacjach.

Niestety gmach MSN ma być teraz zalążkiem nowego centrum stolicy, co powinno już mrozić krew w żyłach wielu warszawiaków. Plany rządzącej miastem Platformy zakładają obudowanie Pałacu Kultury ciasnym kręgiem szklanych wieżowców o dość fikuśnych kształtach, a wzdłuż okalających pałac ulic ustawienie wielkich pawilonów. MSN jest pierwszym z nich, drugim ma być nowy budynek Teatru Rozmaitości. Różnica między MSN a nowym teatrem ma być przede wszystkim taka, że o ile gmach muzeum jest śnieżnobiały, to sąsiadujący z nim teatr będzie czarny. I oczywiście znowu nie ma żadnej dyskusji na ten temat. Jak już zbudujemy, to zobaczycie. Fajnopolacy jak zwykle będą się zachwycać, a pozostali załamywać ręce.

Rzecz jasna do realizacji nowego centrum Warszawy jest jeszcze długa droga, a biorąc pod uwagę sprawność rządzącej stolicą Platformy istnieje całkiem spora szansa, że nigdy ono nie powstanie. Zostaną z niego wyrwane z kontekstu, kompletnie niepasujące do okolicy dwa kloce: już zbudowany biały gmach MSN oraz szykowany czarny Teatru Rozmaitości. Wygląda więc na to, że dziedzictwo Rafała Trzaskowskiego będzie straszyło przez następne dekady, o ile ktoś nie wpadnie kiedyś na pomysł, aby przywrócić wreszcie urbanistyczny i architektoniczny ład w centrum stolicy.

> Gmach MSN mógłby powstać w Miasteczku Wilanów, gdzie nie wyróżniałby się swoją urodą, za to zaspokoiłby aspiracje mieszkańców tej dzielnicy, będącej kulturalną pustynią na mapie Warszawy

GRA NA KOMPLEKSACH

Wspominałem wcześniej o ideologicznym podłożu decyzji o wydaniu ogromnych środków finansowych na budowę MSN. Czym innym bowiem, jak nie ideologiczną decyzją można tłumaczyć wydatek 700 mln zł na kolejną ekspozycję sztuki nowoczesnej w sytuacji, gdy w Warszawie istnieje już Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim oraz Zachęta? Nie dam sobie wmówić, że w stolicy mieszkają dziesiątki tysięcy koneserów takiej sztuki. Nie sądzę też, aby do nowego muzeum w Warszawie przyjeżdżały tłumy turystów z kraju i zagranicy, aby podziwiać tu wystawy.

Na razie zresztą tych wystaw brakuje, jeśli nie liczyć instalacji przedstawiających zawieszoną na sznurku kasetę magnetofonową, koce termiczne lub grafikę zatytułowaną „Człowiek Kutas". Być może lemingi się tym zachwycą („jakie to odważne"), ale – powiedzmy sobie szczerze – tego rodzaju badziewia jest pełno w każdym nowoczesnym muzeum sztuki bez względu na długość i szerokość geograficzną, pod którą się ono znajduje. Takimi ekspozycjami nie podbijemy świata. Bo to nawet nie szokuje – po prostu jest pretensjonalne i ma służyć wzbudzaniu egzaltacji u niezbyt okrzesanych fajnopolaków.

Warto zwrócić uwagę, że kokietowanie przez Platformę tego rodzaju środowisk odbywa się kosztem pożytecznych inicjatyw rządu PiS, jakimi były likwidowane obecnie instytuty czy muzea nawiązujące tematycznie do polskiej historii i kultury. Obecna władza niszczy dorobek swoich poprzedników również w tej dziedzinie, czego przejawem jest przekierowanie nieproporcjonalnie dużych środków na niszową sztukę nowoczesną.

Ktoś powie, że to przecież sztuka elitarna. Otóż nieprawda. Gdyby o elitarności miało decydować wyłącznie małe grono amatorów, to najbardziej elitarna byłaby dzisiaj gra w bierki. Nie o elitarność więc tu idzie ani nie o sztukę, ale o żerowanie na kompleksach własnego elektoratu. Czym bowiem różni się postawienie białego klocka w centrum Warszawy od francuszczyzny Trzaskowskiego zademonstrowanej w 2020 r. onieśmielonym mieszkańcom mazurskiej wsi?

Fot. Liudmyla Kazakova

eprasa.pl e34f39cd17

MAREK BUDZISZ

Dno rosyjskich możliwości już widać

Nie jest prawdą, że możliwości prowadzenia wojny przez Rosję są nieograniczone. To dlatego Putin zwiększa teraz presję na froncie, mając nadzieję, że to, co teraz zdobędzie, zachowa w przyszłości

Mark Rutte, sekretarz generalny NATO, przyznał niedawno, że z obliczeń służb wywiadowczych państw członkowskich wynika, iż Rosja straciła w wojnie na Ukrainie 600 tys. ludzi. Dane ukraińskie mówią, że może to być nawet 690 tys. zabitych i rannych, z czego liczbę poległych po rosyjskiej stronie szacuje się na co najmniej 200 tys. osób. W ostatnich dniach w związku z rosnącą presją wojskową rosyjskie straty przekraczają 1 tys. osób dziennie i osiągają poziom nawet 10 tys. tygodniowo. Co prawda, jak przyznał publicznie gen. Dmytro Marczenko, „nasz front w Donbasie się załamał" i Rosjanie znacznie szybciej niż wcześniej posuwają się naprzód, ale ich uporczywe ataki oznaczają też ogromne straty w ludziach i sprzęcie.

Doniesienia o większej rosyjskiej presji potwierdzają oceny amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną, którego eksperci w codziennych raportach opisują sytuację na frontach ukraińskiej wojny. Ich zdaniem w ostatnim tygodniu Rosjanie zdobyli 478 km² i jest to najwięcej od marca 2022 r. Jednak te postępy są głównie wynikiem zmasowanych ataków i nieliczenia się ze stratami własnymi.

Czy w związku z taką taktyką walki Rosjanie zaczynają już odczuwać niedobory kadrowe? Niektórzy analitycy są zdania, iż ściągnięcie północnokoreańskich żołnierzy z elitarnego 11. Korpusu, którzy mają walczyć po rosyjskiej stronie w obwodzie kurskim, jest nie tylko sygnałem, który Putin wysyła Zachodowi, że jest gotów eskalować wojnę. Są też znacznie bardziej praktyczne powody tego rodzaju decyzji i jest nim właśnie brak ludzi. Zdaniem ekspertów, Rosjanie chcąc myśleć o odzyskaniu terenów zajętych latem przez siły ukraińskie, muszą co najmniej podwoić liczebność związków taktycznych walczących na tym kierunku, a mają z tym problemy. Nie chcą osłabić swego potencjału w Donbasie, a nie mają rezerw, aby wzmocnić siły w obwodzie kurskim.

Ołeksandr Łytwynenko, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, powiedział w Radzie Najwyższej, że Ukraina będzie kontynuowała mobilizację i w ciągu najbliższych trzech miesięcy ma zamiar zwiększyć liczbę walczących o kolejne 160 tys. osób. Od początku wojny powołano już pod broń 1,05 mln mężczyzn i wojna w coraz większym stopniu przekształca się w szczególnego rodzaju wyścig polegający na tym, która ze stron konfliktu szybciej rozbuduje swój potencjał.

REKRUCI I SPRZĘT

Oceny, iż Rosjanie zaczynają odczuwać problemy rekrutacyjne i nie są w stanie znaleźć odpowiedniej liczby chętnych ochotników, pośrednio potwierdzają dane na temat szybko rosnących premii finansowych, które otrzymują ci, którzy zdecydują się podpisać kontrakt z armią. Jeszcze latem dziennikarze z opozycyjnego portalu Ważne Historie ustalili, że od początku roku 47 rosyjskich regionów podniosło wypłaty dla ochotników. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy wzrosły one 3,6 razy. Zdecydowanymi liderami są w tym przypadku Moskwa i Petersburg, gdzie ochotnicy mogą liczyć odpowiednio na wypłatę 1,9 mln oraz 1,7 mln rubli. Dodatkową zachętą jest premia federalna, w wyniku decyzji Putina również podniesiona w tym roku do wysokości 400 tys. rubli. Mieszkający w Moskwie ochotnik, który zgłosi się do wojska i pójdzie na wojnę, może liczyć na ponad 2,3 mln rubli, czyli według ostatnich notowań rosyjskiej waluty niemal 95 tys. zł. Na prowincji może to być nieco mniej, ale zachęty finansowe są tam również bardzo wysokie.

Rosyjscy eksperci mówią, że „Putin walczy rublem", o czym świadczą stale rosnące wydatki na wojnę, ale podnoszenie premii dla ochotników stanowi raczej dowód na to, że jest ich coraz mniej. W świetle tej interpretacji Kreml nie chce podjąć decyzji o kolejnej fali mobilizacji, czego ponoć mają się domagać generałowie, i woli się odwołać do coraz większych zachęt finansowych oraz pomocy sojuszniczej ze strony północnokoreańskiego reżimu.

A jak wygląda sytuacja ze sprzętem, który Rosjanie również tracą w ogromnych ilościach? Wolontariusze współpracujący z holenderską platformą Oryx obliczyli, że od początku wojny potencjał pancerny Federacji Rosyjskiej zmniejszył się o 3,5 tys. czołgów, czyli czterokrotnie więcej, niż mają ich na stanie Wielka Brytania, Francja i Niemcy razem wzięci. Te obliczenia odbiegają od informacji ukraińskiego wywiadu, który podaje znacznie większe liczby, ale w tym przypadku mamy do czynienia ze zweryfikowanymi danymi, bo fakt zniszczenia czołgu czy pojazdu pancernego musi zostać potwierdzony zdjęciem lub materiałem filmowym.

eprasa.pl e34f39cd17

Jak informuje niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung", do jeszcze ciekawszych wniosków doszli ci analitycy, którzy na podstawie zdjęć satelitarnych porównali stany w rosyjskich magazynach czołgów sprzed wojny z obecnymi. Wzięli oni pod uwagę 16 dużych składów sprzętu i obliczyli, że do połowy 2024 r. ubyło z nich 2,7 tys. wozów. O ile przed wojną Rosja miała 6,3 tys. maszyn różnego typu znajdujących się w magazynach, to obecnie ta liczba to 3,6 tys. Nie jest to cały rosyjski potencjał, bo mają oni również magazyny podziemne, których satelity nie są w stanie sfotografować, ale i tak tego rodzaju informacje świadczą o szybko kurczących się możliwościach. Dlaczego? Jak wynika z ustaleń brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI, przestawiony na potrzeby wojny rosyjski przemysł jest w stanie rocznie „wyprodukować" nawet 1,3 tys. czołgów, ale nowych jest w tej liczbie co najwyżej 250 sztuk. Pozostałe to maszyny wyciągnięte z magazynów, które są poddane naprawom, zaopatrzone w dodatkowe oprzyrządowanie i wysyłane na front. Jak powiedział mediom Jack Watling z RUSI, jeszcze tylko w br. Rosja będzie w stanie utrzymać „produkcję" czołgów na poziomie umożliwiającym pokrycie strat, które wynoszą średnio 100 maszyn miesięcznie. W przyszłym roku będą mieli z tym narastające problemy, bo w magazynach zostało jeszcze ok. 700 czołgów, których stan eksperci określają jako zadowalający, pozostałe wymagają dużych nakładów i długiego remontu. Są to zresztą już głównie maszyny starych typów, T-64 i T-62, które zaczęto produkować jeszcze za życia Stalina. Zasób nowych czołgów gwałtownie się skurczył. Nie ma już w magazynach T-90, a liczba nieco starszych T-80, których Rosjanie mieli przed wojną 1,4 tys., spadła do 300.

Osobnym problemem jest jakość rosyjskiego sprzętu. Było to dobrze widać w czasie ostatniego ataku lotnictwa izraelskiego na Iran. Mimo że tamtejsze fabryki komponentów do rakiet pozostawały chronione przez rosyjskie systemy S-300, to siły izraelskie nie tylko skutecznie zaatakowały, lecz także bez problemu zniszczyły trzy baterie będące na wyposażeniu Irańczyków, czwarta została unieszkodliwiona wiosną br. w czasie jednego z wcześniejszych uderzeń odwetowych Izraela. Pośrednio premier Netanjahu pomógł Ukrainie, bo zdaniem analityków Iran będzie potrzebował co najmniej roku, aby wznowić produkcję swych rakiet, które są wysyłane do Rosji.

POTĘGA DRONÓW

Jak powiedział jeden z ukraińskich oficerów w rozmowie z ekspertami amerykańskiego think tanku CEPA, wojna na Ukrainie to „przede wszystkim konflikt artylerii, piechoty i dronów". Jeśli chodzi o artylerię, strona ukraińska znacząco ustępuje Rosjanom, którzy, jak niedawno oświadczył w Dumie Siergiej Czemiezow kierujący gigantycznym, zatrudniającym ponad 1,4 mln ludzi holdingiem zbrojeniowym, czterokrotnie zwiększyli produkcję amunicji, ale w przypadku dronów sytuacja jest odwrotna.

Jeszcze w ub.r. prezydent Zełenski zapowiedział wyprodukowanie 1 mln dronów w ciągu następnych 12 miesięcy. Ten cel udało się zrealizować przed upływem 10 miesięcy, co świadczy o wydajności ukraińskiego rozproszonego potencjału produkcyjnego. Co to oznacza? Jak napisał David Kirchenko z CEPA, „niebo nad ukraińskimi pozycjami jest nieustannym polem bitwy. Wrogie i przyjazne drony krzyżują się w przestrzeni powietrznej, polując na cenne cele, takie jak ciężkie pojazdy pancerne i artyleria. Ta powietrzna gra w kotka i myszkę zasadniczo zmieniła taktykę czołgów". Walczą one w rozproszeniu i przede wszystkim zostały wycofane z pierwszej linii. Obie strony konfliktu kładą większy nacisk na ochronę, zarówno montując prowizoryczne osłony, jak i inwestując w zagłuszacze oraz systemy antydronowe. Strona ukraińska stale też wprowadza innowacje. Dziennik „The Wall Street Journal" poświęcił temu specjalny, entuzjastyczny materiał. Ukraińcy już używają dronów zwalczających w powietrzu aparaty bezzałogowe przeciwnika. Są one znacznie tańsze niż kosztujące setki tysięcy dolarów rakiety, których Ukraina i tak nie ma w wystarczającej liczbie. Ich stosowanie już doprowadziło do „oczyszczenia" nieba z rosyjskich dronów zwiadowczych na niektórych odcinkach frontu, co znacząco zmniejszyło skuteczność ostrzałów artyleryjskich w związku z trudnością identyfikacji celów.

> Mieszkający w Moskwie ochotnik, który zgłosi się do wojska i pójdzie na wojnę, może liczyć na ponad 2,3 mln rubli, czyli według ostatnich notowań rosyjskiej waluty niemal 95 tys. zł. Chętnych jednak niewielu

Ukraińcy mają już drony atakujące rosyjskie śmigłowce bojowe (dwa potwierdzone trafienia), będące w stanie rozlewać termit (łatwopalną i trudną do zgaszenia substancję) na pozycje przeciwnika. Testują też drony wyposażone z granatniki, które mogłyby niszczyć cele z odległości, mające karabin maszynowy czy drony matki. Te ostatnie miałyby przenosić nad pozycje przeciwnika rój mniejszych systemów bojowych, które realizowałyby uderzenie, a dron matka wracałby do bazy i mógł zostać ponownie wykorzystany. Niewykluczone, że obawiając się tego rodzaju uderzeń, Putin polecił ostatnio administracji obwodów na Uralu, aby ta przygotowała się na ukraińskie ataki. W testach są też drony transportowe, mające udźwig przekraczający 15 kg, które mogłyby dostarczać zaopatrzenie na pierwszą linię.

Inwencja ukraińskich konstruktorów jest godna podziwu, a ze strategicznego punktu widzenia tylko dlatego, że Kijów prowadzi „wojnę dronową", Rosjanie nie są w stanie wykorzystać swojej przewagi w sprzęcie i sile ognia. Zdaniem ekspertów, gdyby Ukraina nie położyła nacisku na drony, to Rosjanie najprawdopodobniej zajęliby większe tereny i ich straty byłyby mniejsze.

eprasa.pl e34f39cd17

Uważa się, że Putin jest przekonany, iż Rosja mając większy potencjał, wygra wojnę na wyniszczenie, ale ewolucja systemów bezzałogowych i skala ich zastosowania powodują, że straty ponoszone przez Federację Rosyjską są dramatycznie wysokie.

WOJNA I PIENIĄDZE

Rosyjski model wojny sprowadza się nie tylko do pojedynku na potencjały, lecz także na wykorzystaniu pieniądza jako głównego narzędzia mobilizacji. Putin chce przeznaczać na wojnę coraz więcej, o czym świadczy projekt przyszłorocznego budżetu zakładający wydatki na kontynuowanie walki na poziomie 130 mld dol. Kreml jest spokojny, że wystarczy mu pieniędzy, bo zachodnie sankcje są dziurawe, a światowe ceny ropy nadal wysokie. Jednak i w tym przypadku na horyzoncie gromadzą się chmury.

Na ostatnie spotkanie państw BRICS, które Putin zorganizował w Kazaniu, nie przybył Muhammad ibn Salman, saudyjski następca tronu i faktyczny przywódca tego państwa. To o tyle ważne, że od decyzji Rijadu zależy, czy w przyszłym roku OPEC utrzyma swą politykę ograniczania wydobycia, aby utrzymać wysokie ceny surowca. Nie jest to takie pewne, bo jeśli wybory w Stanach Zjednoczonych wygra Trump, to Amerykanie zwiększą skalę wydobycia ropy, zwłaszcza w ramach tzw. frakcjonowania szczelinowego, czemu administracja Bidena była przeciwna ze względów ekologicznych. Wówczas ceny na światowych rynkach mogą zacząć spadać. Arabia Saudyjska, bacznie obserwująca sytuację, już sygnalizowała, że może wtedy zwiększyć wydobycie. Jeśli to się stanie, Rosjanie, którzy mają wysokie koszty produkcji ropy, będą musieli się liczyć ze spadkiem dochodów z jej eksportu, co mogłoby negatywnie wpłynąć na ich możliwości finansowania wojny.

Inne sygnały napływające z rosyjskiej gospodarki też nie są optymistyczne. Bank Centralny już po raz szósty podniósł stopy procentowe, które wynoszą teraz 21 proc. Igor Lipszyc, profesor ekonomii, powiedział w rozmowie z „Nową Gazetą Europa", że spodziewa się kolejnej podwyżki, do poziomu nawet 23 proc., bo w Rosji rozkręca się spirala inflacyjna, z którą władze nie są sobie w stanie poradzić. Powód jest prosty – biliony rubli w związku z wojną wypływają na rynek i pośrednio powodują, że wszystkie ceny rosną. Gospodarka „na sterydach" wydatków wojennych rośnie, w br. ma to być nawet 4 proc., ale takiej polityki nie da się prowadzić długo, bo w skrajnym scenariuszu Rosji grozi nawet hiperinflacja. Ceny żywności już skoczyły, a to oznacza, że nastroje mogą się zacząć szybko zmieniać. Sytuacja jest jeszcze pod kontrolą, ale ze względu na trendy rysujące się w rosyjskiej gospodarce kontynuowanie wojny nie jest opcją pozbawioną ryzyka.

Wydaje się, że Putin doskonale to rozumie i dlatego wysyła sygnały o gotowości do eskalacji, „zapraszając" Koreańczyków i kontynuując wściekłe ataki czy ogłaszając kolejne ćwiczenia nuklearne. Rosjanie zawsze podbijali stawkę przed ważnymi negocjacjami, starając się wzmocnić swoją pozycję przetargową. Teraz może być podobnie. Jeśli Zachód uwierzy, że Kreml bez większych problemów będzie w stanie kontynuować wojnę, a nawet ją rozszerzyć, może pójść na ustępstwa w toku negocjacji, które właśnie się zaczynają. „Financial Times" informuje, że w Katarze wznawiane są rozmowy zerwane latem, których celem miałoby być w pierwszym rzędzie powstrzymanie się obu stron od atakowania infrastruktury energetycznej przeciwnika. Kolejnym tematem miałoby być zagwarantowanie drożności czarnomorskiego korytarza żeglugowego, o czym sekretarz generalny ONZ mówił niedawno w Kazaniu. Osiągnięcie porozumienia w obydwu tych sprawach otwierałoby możliwość dyskusji na temat zawieszenia broni. Negocjacje nie będą ani łatwe, ani krótkie, wojna jeszcze potrwa, a Rosja będzie nadal atakować, nie licząc się z własnymi stratami. Nie jest jednak prawdą, że jej możliwości są nieograniczone. Dno już widać i dlatego Putin zwiększa presję na froncie, mając nadzieję, że to, co teraz zdobędzie, zachowa w przyszłości.

Sklejanie nie

Odrodzona Rzeczpospolita powstała z cierpienia, determinacji i miłości Polaków

Z prof. Józefem Brynkusem, z Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, historykiem, badaczem dziejów tożsamości i świadomości historycznej Polaków oraz historii komunistycznej Polski, rozmawia Piotr Słabek

Z czego odbudowywano Polskę po listopadzie 1918 r.? Odrodzona, ale przecież na starcie bardzo podzielona?

Józef Brynkus: Nie można odpowiedzieć na to pytanie, pozbawiając je ludzkiego pierwiastka, bo przecież bez odpowiednio tożsamościowo i świadomościowo ukształtowanych Polaków nie dałoby się osiągnąć tego celu. Najprościej można stwierdzić, że odrodzona Polska została zbudowana z cierpienia, determinacji i miłości. To nie są nazbyt górnolotne słowa. Po pierwsze, najlepiej pasują do tego, co się ziściło w listopadzie 1918 r. – czyli odzyskania niepodległości. Polacy w różnoraki sposób wywalczyli sobie tę Polskę – najkrócej rzecz ujmując, zbrojnie, politycznie, dyplomatycznie, a nawet kulturowo-edukacyjnie. I nie odbierajmy im tego. Gdyby odzyskanie niepodległości porównywać z innymi wydarzeniami, to jedynie z takimi, jak chrzest Polski czy pierwsza koronacja polskiego króla. Bo już np. bitwa pod Grunwaldem czy zatrzymanie Turków pod Wiedniem to wydarzenia wielkie, ale nie o takim historiozoficznym znaczeniu dla polskich dziejów. Po drugie, te słowa wpisują się w idee, które przez cały okres zaborów wyznaczały kierunek rozwoju polskiego społeczeństwa, np. dojrzewania do bycia podmiotem sprawczym dziejów przez robotników czy przede wszystkim chłopów. Co ważne, gdyż polskie społeczeństwo, bez względu na to, jakie nacje tworzyły je u progu I wojny światowej, było w większości chłopskie, potem robotnicze, a na końcu ziemiańsko-inteligenckie. W każdej z tych warstw tkwiła myśl o wolnej Polsce, choć różnie werbalizowana – bo np. robotnicy widzieli ją w związku z poprawą swojego ekonomicznego i pracowniczego położenia, czego zaborcy im nigdy nie dali.

Czym różniły się postawy Polaków w poszczególnych zaborach?

Jest bezsprzecznym faktem, iż zaborcy mieli duży wpływ na Polaków. Ale nie pozbawiło ich to narodowej tożsamości. Przyjrzyjmy się naszym rodakom w zaborze pruskim na przełomie XIX i XX w. Mamy tu do czynienia z pojawieniem się nowego typu Polaka – bez względu na przynależność do danej warstwy społecznej. Takiego, który nawet codzienne sprawy traktował z narodowego punktu widzenia, co jednoznacznie kierowało go ku niepodległości. W pruskim/niemieckim państwie nie dało się być bowiem niezależnym Polakiem, gdyż faworyzowało ono żywioł germański. W takich okolicznościach nikogo nie powinno więc dziwić, że Wielkopolanie, po 11 listopada 1918 r. pozostający przecież pod niemieckim panowaniem, gdy Józef Piłsudski i rząd w Warszawie nie byli w stanie podjąć akcji wyzwoleńczej, wzięli sprawę w swoje ręce i wywołali antyniemieckie powstanie. Nie tylko przyniosło im ono niepodległość, lecz także rozszerzyło granice państwa polskiego.

Z kolei w zaborze austriackim, w warunkach pewnych swobód politycznych, na skutek niewątpliwej aktywności Polaków w II połowie XIX w. zostały stworzone warunki do rozwoju życia kulturalnego, naukowego, a także politycznej i wojskowej irredenty, promieniujących na rodaków w innych zaborach i podsycających w nich ducha niepodległościowego.

Niezwykle wysoko trzeba ocenić niepodległościowe postawy Polaków

eprasa.pl e34f39cd17

podległości

Fot. Polona.pl

w zaborze rosyjskim, przede wszystkim dlatego, że obce władze nie przejmowały się tu jakimkolwiek prawem, które przecież same stanowiły. W takich warunkach podejmowanie akcji mających na celu wzmocnienie polskiej świadomości było aktem szczególnej odwagi.

Zwróciłbym uwagę na dwie kwestie wspólne dla polskiego społeczeństwa bez względu na zabory. Pierwsza związana jest z pojawieniem się inteligencji, która nie tylko wywodziła się z ziemiaństwa, lecz także z gwałtownie emancypujących się chłopów i robotników. To właśnie ona, czerpiąc z tradycji szlacheckiej, budziła w całym polskim społeczeństwie ducha narodowego, zachęcając Polaków do nauki, rozwoju kultury i pewnej rywalizacji ekonomicznej z przedstawicielami innych narodowości. Wzrastało przy tym znaczenie nowych warstw społecznych, głównie chłopów i robotników, którzy ilościowo zdecydowanie dominowali w tym społeczeństwie. W każdej z tych warstw społecznych można zauważyć podobne zachowania w stosunku do zaborców z punktu widzenia politycznej emancypacji, w każdej kultywowało się tradycję narodową, choć zazwyczaj osadzoną na innej historycznej faktografii. Przykładowo w zaborze pruskim masowy charakter miały choćby uroczystości z okazji 200-lecia odsieczy wiedeńskiej i 100-lecia Konstytucji 3 maja. Podobnie wyglądały uroczystości w zaborze austriackim z okazji 500-lecia zwycięstwa pod Grunwaldem. Natomiast w zaborze rosyjskim wobec braku takich możliwości ze względu na naprawdę wielkie represje zaborcy kształtowanie świadomości narodowej na podstawie polskiej przeszłości dokonywało się poprzez edukację domową. O tym, że było to niezwykle skuteczne, świadczy odezwa uczniów i studentów strajkujących w Kongresówce w 1905 r., w której znalazły się naprawdę buntownicze wobec rosyjskiego zaborcy słowa: „Każdy naród ma prawo do posiadania takiej szkoły, która by odpowiadała jego narodowym, kulturalnym i moralnym potrzebom".

Drugim czynnikiem niewątpliwie był fakt, iż niemal wszyscy Polacy w trzech zaborach wyznawali katolicyzm, który nie tylko pomagał zachować polskość, lecz także przez swoich duchowych przewodników dostarczał wzorce postaw niepodległościowych. Trudno w tym miejscu nie przypomnieć młodego księdza z Orawy Ferdynanda Machaya, który mimo, iż uformowany na duchownego na Słowacji i Węgrzech, stał się działaczem narodowym i propagatorem polskości wśród Orawian. Takich duchownych łączących gorliwość posługi kapłańskiej z zafascynowaniem historią i kulturą polską było mnóstwo we wszystkich zaborach.

A jaki był poziom przedsiębiorczości i zamożności Polaków w każdym z zaborów?

Najlepiej rozwinięte oraz gwarantujące w miarę znośny poziom życia, uwzględniając oczywiście standardy z początku XX w., były obszary o największym uprzemysłowieniu i przy tym najsilniej zaludnione, czyli warszawskie, łódzkie, piotrkowskie w Kongresówce; opolskie, Górny Śląsk, Wielkopolska i Pomorze Zachodnie w zaborze pruskim; krakowski i lwowski obszar na terenie Galicji. Przy czym trzeba pamiętać, że jeśli idzie o dynamikę rozwoju, to największa była w zaborze rosyjskim i austriackim, co jednak wiązało się z ich ogromnym zapóźnieniem cywilizacyjnym w stosunku do zaboru pruskiego. Jednak mimo niewątpliwej przedsiębiorczości Polaków w tych zaborach, ze względu na politykę zaborców tereny zamieszkałe przez społeczności polskie były słabo rozwinięte przemysłowo w stosunku do coraz nowocześniejszej Europy Zachodniej.

Narodowy zryw, ale jaki? Czy Polacy byli gotowi do walki zbrojnej?

W moim przekonaniu trudno zaakceptować tezę o nieświadomości naszych przodków, w jaki sposób Polsce zostanie przywrócona niepodległość. Ci, którzy wskazują, że konieczność walki zbrojnej o niepodległość była

eprasa.pl e34f39cd17

najsilniejsza na ziemiach polskich w zaborze austriackim, nie dostrzegają, że nie tylko okoliczności, które pojawiły się w czasie I wojny światowej, lecz także doświadczenia całego XIX w. pokazują, że wszyscy wiedzieli, iż bez działań zbrojnych nie da się przywrócić państwa polskiego. Widać to choćby na przykładzie zaboru rosyjskiego, w którym społeczeństwo polskie chyba najbardziej było do tego przekonane – to właśnie tam w okresie zaborów doszło do największych i najbardziej znaczących zrywów: powstań listopadowego i styczniowego. Nic dziwnego, że Józef Piłsudski taką estymą darzył weteranów tego ostatniego i na mocy jego specjalnego rozkazu otrzymali oni uprawnienia oraz przywileje przysługujące żołnierzom Wojska Polskiego.

Warto też pamiętać, że sytuacja polityczna ziem polskich pod koniec XIX w. sprawiła, że tylko w zaborze austriackim mogła się rozwinąć wojskowa konspiracja, a nawet legalne formacje, w ramach których przygotowywano młodych ludzi do walki z zaborcami. Trzeba też wziąć pod uwagę dynamikę i wpływ I wojny światowej. O ile na jej początku wielu polskich żołnierzy przymusowo wcielonych do armii państw zaborczych nie przejawiało niepodległościowego ducha, to po klęskach tych armii ta świadomość się ukształtowała. Polacy nie tylko nie chcieli już walczyć w zaborczych armiach – chcieli walczyć w ramach polskich oddziałów o wolność państwa polskiego.

U progu niepodległości potencjał gospodarczy poszczególnych regionów zamieszkanych przez Polaków u progu niepodległości był zdecydowanie inny.

Ogólnie nieźle gospodarczo rozwinięty, co miało potem ogromne znaczenie w związku z kształtem państwa polskiego, był zabór pruski, mimo systemowego ograniczania udziału Polaków w przedsiębiorczości na tym obszarze, choćby przez zakaz nabywania nieruchomości. Jednak o ile w zaborze rosyjskim wielu Polaków mogło się stać milionerami, o tyle w zaborze pruskim już tak nie było. Potencjalnie jednak to z tym obszarem można najbardziej wiązać takie formy aktywności gospodarczej naszych rodaków, które w warunkach suwerennego państwa polskiego przyniosły największe ekonomiczne sukcesy. Taką formą była działalność spółdzielcza – na tej niwie niekoronowanym królem był ks. Piotr Wawrzyniak.

Najgorsza sytuacja ekonomiczna była w zaborze austriackim. Poza przemysłem spożywczym i nielicznymi ośrodkami wydobywczymi (soli, węgla i ropy naftowej) rozwijało się tam również hutnictwo. Ale tak naprawdę gospodarka galicyjska była rolnicza, a ludność chłopska. Jej część sezonowo lub na stałe emigrowała w poszukiwaniu pracy, ci, którzy pozostawiali na miejscu, często, by przeżyć, zakładali samopomocowe spółdzielnie. W tym ruchu ogromne zasługi miał Franciszek Stefczyk.

Na jakie zasoby gospodarcze i przemysłowe mogła postawić odrodzona Polska?

Potencjał gospodarki na przełomie XIX i XX w. wiąże się z rozwojem przemysłu. To ważne, bowiem ziemie polskie były zdominowane przez działalność rolniczą, aczkolwiek rozdrobnioną i zacofaną – głównie poza Wielkopolską. Sytuacja pod względem przemysłu najlepiej wyglądała w zaborze rosyjskim. W Zagłębiu Staropolskim rozwinął się przemysł ciężki, w Łodzi, Pabianicach, Zgierzu, Aleksandrowie, Żyrardowie i okoli-

Fot. NAC

eprasa.pl e34f39cd17

cach Białegostoku – włókienniczy, maszynowy głównie w Warszawie. Ale słabością zaboru rosyjskiego była infrastruktura komunikacyjna – nie tylko brak linii kolejowych, lecz także wręcz podstawowych, tzw. bitych dróg i mostów. Pod tym względem o wiele lepiej prezentowały się ziemie polskie pod władzą pruską, pokryte gęstą siecią linii kolejowych i dróg utrzymywanych w dobrym stanie. Uprzemysłowiony był także Górny Śląsk, ale tamten obszar przemysłowy włączono do Polski dopiero w 1922 r. Zapóźniona przemysłowo była Galicja, tu wyróżniał się okręg krakowski z kopalniami soli i wydobycie nafty w okolicach Krosna i Jasła. Jej potencjał ekonomiczny był jednak związany z kadrą urzędniczą – polską, wykształconą w warunkach pewnej politycznej autonomii. W odrodzonej Polsce miało to znaczenie, gdy ze względu na braki w tym zakresie ziemie byłego zaboru austriackiego stały się dostarczycielem kadr dla polskiej administracji.

Określając potencjał ekonomiczny Polski u progu jej niepodległości, oprócz zasobów gospodarczych (surowce, fabryki, kopalnie, huty itd.) należy wziąć pod uwagę jeszcze więcej kwestii. I one zdecydowanie osłabiają ten potencjał. Należy do nich zaliczyć ogromne zniszczenia wojenne. Przez dużą część ziem polskich w różnej skali przewinęły się działania wojenne, w niektórych przypadkach kilkakrotnie. Niektórzy badacze tego okresu podają, że zniszczono prawie 2 mln budynków mieszkalnych i gospodarczych. W powszechnej świadomości jest to, że Niemcy podczas II wojny światowej i Sowieci po niej rozkradli polski dobytek. Ale przecież już podczas I wojny światowej rosyjskie żołdactwo kradło na masową skalę. Z fabryk na terenie zaboru rosyjskiego wywieziono prawie 90 proc. wyposażenia.

Kolejna kwestia to ukierunkowanie gospodarek terenów pod zaborami. Przykładowo ta rozwijająca się w zaborze pruskim była nastawiona na eksport do bogatszych terytoriów Rzeszy niemieckiej. Po zakończeniu I wojny światowej te rynki zbytu zostały zablokowane, ludność polska z innych zaborów miała zaś o wiele mniejszy potencjał nabywczy. W efekcie hamowało to produkcję fabryk i innych przedsiębiorstw byłego zaboru pruskiego. Podobnie było z ziemiami tzw. Kongresówki, które poza Petersburgiem i Moskwą były najbardziej uprzemysłowione w państwie rosyjskim i także ukierunkowane na zbyt produkcji przemysłowej przez ludność słabo rozwiniętych części carskiego imperium. Nie da się też pominąć dezintegrującego dla gospodarki czynnika w postaci niekompatybilności prawnej, infrastrukturalnej i pieniężnej ziem polskich ukształtowanej w czasie zaborów. Wreszcie nie można zapomnieć o tym, iż państwo polskie mogło przystąpić do odbudowy gospodarki dopiero po ustaleniu jego granic.

> Liczył się przede wszystkim czyn zbrojny, ale nie tylko. Dzięki naciskom m.in. księcia biskupa Adama Stefana Sapiehy w sierpniu 1917 r. Watykan ogłosił, iż powstanie w pełni niepodległego państwa polskiego jest warunkiem pokoju po I wojnie światowej i pokojowego urządzenia międzynarodowych relacji

Czy różnice w mentalności, sposobie myślenia i prowadzenia działalności gospodarczej w okresie dawnych zaborów wciąż jeszcze istnieją, czy już nie ma po nich śladu?

Może faktycznie tak jest, ale w zasadzie wynika to nie tyle z dziedzictwa, tradycji czy wręcz bezpośredniego przejmowania wzorców przekazywanych z pokolenia na pokolenie, ile utrwalania pewnego mitu – że współcześni Polacy żyjący na jakimś terenie, niekoniecznie zakorzenieni tam od pokoleń, odziedziczyli trochę egzystencjalnych wzorców nawet nie tyle po zaborcach i zaborach, ile przede wszystkim od ukształtowanych tam społeczeństw. Dlatego żyjącym w Wielkopolsce przypisuje się jakąś szczególną gospodarność, gdy tymczasem pazerność na sukces gospodarczy jest dziś chyba w całej Polsce. Jako dowód na to przywołam bliskie mi rodzinnie Podhale. Uważam – może jest to trochę egocentryczne – że w Polsce nie ma bardziej rozwijającego się regionu z punktu widzenia indywidualnej przedsiębiorczości i zapobiegliwości. Nie bez powodu od lat najwięcej najbogatszych, nie indywidualnie, ale zbiorczo Polaków żyje na Mazowszu (tu oddziałuje stolica Polski) i w okolicach Nowego Sącza.

Jest jeszcze kwestia światopoglądu i systemu wartości. Przykładowo ukształtowany przez lata mit o religijności Galicji powoduje, iż na tym terenie w sumie nie warto i chyba też nie za bardzo można być indyferentnym religijnie, tak jak np. na zachodzie Polski. Ale czy na pewno?

W sumie dla współczesnych Polaków jest jednak krzywdzące doszukiwanie się w nich śladów zaborowej świadomości, bo tak naprawdę już jej chyba nie ma.

Józef Brynkus *(ur. 1962) profesor UKEN w Krakowie. Autor ponad 100 publikacji naukowych. Najważniejsza z nich to „Komunistyczna ideologizacja a szkolna edukacja historyczna (1944–1989)". Współorganizator projektu: „Pułkownik Kukliński – Zwycięska Misja" i opiekun naukowy projektu: „Rotmistrz Pilecki. Bohater Niezwyciężony"*

eprasa.pl e34f39cd17

Ferdynand Goetel

Kazimiera Iłłakowiczówna

Juliusz Kaden-Bandrowski

Pisarze z archipelagu wolności

Naprawdę fascynuje książka opisująca losy ludzi z sercem i rozumem, którzy umieli te serca i rozumy zaprząc w walkę o wolność, obronę niepodległości, wiary i kultury ojczystej. Losy ludzi świetnie wykształconych, piekielnie zdolnych i twórczych

TERESA BOCHWIC

„O zdumiewającym fenomenie licznego udziału kilku pokoleń pisarzy w dziele odzyskiwania niepodległości i odbudowy państwa polskiego oraz o ich losach i twórczości oddających realia tamtych czasów" – jak pisze wydawnictwo IPN, traktuje jedna z najnowszych książek dr. Marka Klecela pt. „Pisarze niepodległości. Szkice o ludziach i dziełach". W latach 90. redaktor „Nowych Książek", polonista, publicysta historyczny i tłumacz Marek Klecel odkrywa popularnym, doskonałym językiem archipelagi wiedzy o historii i kulturze Polski XX w., losy wybitnych, a w PRL głównie przemilczanych twórców.

* * *

„Pisarze niepodległości" to 500 stron fascynujących historii życia bardzo znanych i mniej lub wcale nieznanych dziś 15 polskich pisarzy najogólniej biorąc dwudziestolecia międzywojennego, bo wtedy najczęściej przypadał szczyt ich twórczości, a młodszych – udany debiut literacki. Życie niektórych postaci zaczęło się w ostatnich latach XIX w., a zmierzało ku końcowi w PRL lub na emigracji, kilkoro zakończyło je samobójstwem. Każde z tych nazwisk wstrząsa nawet czytelnikiem obeznanym z tymi postaciami, wiele ich utworów to perły literatury polskiej, zasługujące na Nobla, o którego otarł się Józef Mackiewicz.

Byli wychowani przeważnie na dworach z tradycją insurekcji kościuszkowskiej, powstań listopadowego i styczniowego. Ich szkołą podstawową było wieloletnie zesłanie za młodu przez carat na Sybir. A choćby i parę tysięcy kilometrów bliżej, lecz też bezkreśnie daleko. Ich gimnazjum stanowiła I wojna światowa i wojna polsko-bolszewicka 1920 r., maturę polityczną uzyskali w wolnej już II Rzeczypospolitej. Ich uniwersytety to II wojna, Auschwitz lub rzeź wołyńska, znowu Sybir. Zaś gorzki smak nędzy lub degradacji na emigracji lub beznadzieja PRL albo i jedno, i drugie, był ich smutnym doktoratem z wiedzy o niewoli i niepodległości. Wyrażali wiedzę o dziejach i ludziach poprzez dzieła literackie.

Książka Klecela to w żadnym razie nie podręcznik, choć od wielu podręczników lepsza, jest ciekawa dla dorosłych, ale zarazem powinna uzupełniać lektury inteligentnej młodzieży. Od dwóch wieków polską młodzież prawdziwej historii uczyły głównie rodziny, bo była pisana ich losami, a zakazana przez okupanta lub zaborcę. Wygnania, zsyłki, branki, powstania, wielkie i mniejsze emigracje, wywłaszczenia (wóz Drzymały), poddanie społeczeństwa eksperymentom „naukowym", jak w PRL – to dotykało wszystkich polskich rodzin. Rodziny opowiadały o udziale warstw

eprasa.pl e34f39cd17

Ferdynand Ossendowski

Zofia Kossak

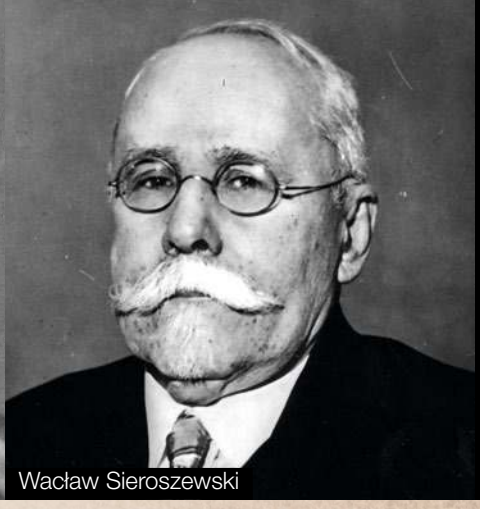
Wacław Sieroszewski

ziemiańskich w powstaniach, a potem o zsyłkach lub ucieczkach za granicę, przymusowym poborze chłopskich synów z każdej wsi do wojska carskiego lub pruskiego czy wreszcie odebraniu własności i sumienia podczas sowietyzacji.

Niewielkie możliwości poznawania po 1939 r., a celowe zamilczenie po 1945 r. pisarzy, których losy przedstawia Klecel, w PRL przyniosły taki efekt, że ani rodzice urodzeni po wojnie, ani młodsi dziadkowie nie opowiadali o nich dzieciom ani wnukom, bo w większości sami nie znali tych postaci ani ich utworów; mało kto miał dostęp do ich dzieł i biografii oraz świadomość ich rangi artystycznej i moralnej. Od 35 lat część tych autorów weszła do programów szkolnych, ale oprócz Witkacego i Mackiewicza (z oporami), może Kossak-Szczuckiej i poetów wiedza o nich nadal jest mała albo żadna.

* * *

Klecel zestawia postawę moralną z twórczością. Może najdobitniej wypada to w przypadku Witkacego, który zajmuje w tej książce tylko 13 stron; jest najbardziej znany, czytany, od dawna grywany na polskich scenach. Klecel koncentruje się na jego znajomości Sowietów i tragicznej decyzji podwójnego samobójstwa. Obie wiąże Witkacowska katastroficzna wizja przyszłości. „Ludzie przyszłości nie będą potrzebować prawdy ani piękna". Dawny świat „ustąpi miejsca na ogół szczęśliwszej, ale za to zmechanizowanej, pozbawionej twórczości i bezdennie nudnej ludzkości". Na dziś, na jego dziś z 17 września 1939 r., liczyło się tylko to, że Sowieci byli już blisko. Przebywał w Rosji cztery lata podczas rewolucji, 18 września podjął z przyjaciółką decyzję wspólnego samobójstwa – „póki tu jest jeszcze Polska".

Ale kto słyszał o Eugeniuszu Małaczewskim, kilkunastoletnim bohaterze I wojny światowej i pisarzu, który żył zaledwie 26 lat, autorze m.in. opowiadania „Koń na wzgórzu" o obdartym żywcem ze skóry zwierzęciu z polskiego dworu, symbolizującym agonię ludów podbijanych przez sowiecką Rosję? Urodzony parę lat przed początkiem XX w., zmarł w 1922 r., a zdążył wiele napisać. Wstąpił do wojsk gen. Dowbora-Muśnickiego (może spotkał tam mojego dziadka Henryka?), opisał losami Polaków, spalonych dworów i wsi powstawanie władzy sowieckiej z jej okrucieństwami, opisał epopeję murmańską 1919 r., jak hallerczycy przedostawali się na północ Rosji; jak pisał Trocki: „Polacy chcieli wtedy wesprzeć bandy Anglo-Francuzów i wraz z nimi zatopić nóż w rewolucji" i nakazywał każdego złapanego Polaka rozstrzeliwać na miejscu.

Zofia Kossak-Szczucka (Szatkowska), twórczyni Żegoty, przeszła niemal wszystkie etapy tej strasznej edukacji, zostawiła też niezapomniane, podstawowe dla polskiej pamięci dzieła, jak choćby „Pożoga" z lat rewolucji sowieckiej czy wspomnienia z Auschwitz.

Kto zna przebogatą twórczość i niezwykłe losy Ferdynanda Ossendowskiego? Napisał doskonałą, przerażającą biografię z analizą psychologiczną Lenina, a jego losami można by obdarzyć kilkanaście osób – od zwolennika caratu po walkę z Sowietami, którzy w 1945 r. rozkopali jego grób, bo nie mogli uwierzyć, że ten ich nieśmiertelny, zdawałoby się, prześladowca jednak nie żyje.

Usłyszałam niedawno, że Juliusz Kaden-Bandrowski i Wacław Sieroszewski, także opisani przez Klecela, „pachną naftaliną". Czy ten, kto tak ich określił, znał ich bohaterskie życiorysy i czy naprawdę czytał ich dzieła?

No dobrze, a kto słyszał o Ferdynandzie Goetlu, autorze niezwykle cenionym przez Jerzego Giedroycia, drugim oprócz Mackiewicza pisarzu zaproszonym w maju 1943 r. do Katynia przez Niemców, by także wśród Polaków mieli świadków sowieckiej zbrodni? O Goetlu wiedzieli więc czytelnicy paryskiej „Kultury", ale ilu ich było w Polsce? Niejeden czytał o tym niezwykłym pisarzu, ale czy czytał też jego syn?

Wydaje się ostatnio dzieła Kazimiery Iłłakowiczówny, poetki, autorki wspaniałej i pełnej anegdot opowieści o jej współpracy z Józefem Piłsudskim pt. „Ścieżka obok drogi". U Klecela przeczytamy o jej trudnych losach.

Beata Obertyńska, córka poetki Maryli Wolskiej, sama poetka i autorka emocjonalnej prozy patriotycznej, nieznana dziś nawet niektórym profesorom historii, więźniarka sowieckich więzień i łagrów za to, że była właścicielką majątku ziemskiego, dopiero się przebija do świadomości współczesnych Polaków. Każde jej zdanie to lekcja historii. 1940 r.: „Meble wywieźli zaraz po wkroczeniu, książki oblali naftą i spalili na gazonie". Udało jej się uciec z ZSRR śladem Andersa, nigdy nie wróciła do Polski, bo zbyt dobrze wiedziała, co to znaczy państwo komunistyczne.

Stanisław Rembek (1901–1980) dał się poznać już w latach po I wojnie światowej wspaniałymi krytycznymi powieściami o losie człowieka, każdego człowieka, irracjonalizmie wojny jako mechanizmie historii, bezrozumnym narzędziu upadlania i niszczenia ludzi oraz źródle nieuchronnej powszechnej demoralizacji („W polu", „Nagan"). Jego pamiętnik z lat II wojny, którą spędził już jako uznany pisarz w Grodzisku Mazowieckim, to prawdziwe studium okropnej codzienności, również literatów warszawskich pod nieustanną grozą głodu i śmierci.

Fot. NAC, Polona.pl

eprasa.pl e34f39cd17

Jana Lechonia nie trzeba przedstawiać, podobnie jak Kazimierza Wierzyńskiego, obu wielkich poetów równych Miłoszowi. Są już w lekturach szkolnych – czy na długo?

Tę listę uzupełnia dodatkowy rozdział o skomplikowanej i do dziś niejasnej w niektórych aspektach historii wydanego w 1943 r. przez wileńską Armię Krajową wyroku śmierci na Józefie Mackiewiczu. Miał go wykonać Sergiusz Piasecki, barwna postać i autor sensacyjnych książek, dzięki interwencji Melchiora Wańkowicza i akcji pisarzy w 1937 r. ułaskawiony od wydanego przez sądy II Rzeczpospolitej wyroku śmierci, a potem 15 lat więzienia.

Klecel poświęcił Mackiewiczowi dwa teksty – jeden dotyczy życiorysu i twórczości pisarza, drugi powyższej dramatycznej historii. Piasecki odstąpił od wykonania wyroku na Mackiewiczu, bo nabrał wątpliwości co do jego winy. Klecel bardzo wnikliwie ocenia okoliczności wydania i podtrzymywania wyroku przez niektóre osoby z dowództwa wileńskiej AK, ironizuje na temat Mackiewiczowskiego cytatu: „Jedynie prawda jest ciekawa", gdy tej prawdy nie dociekano. Wskazuje na ogromne wątpliwości – brak podstawowych dokumentów zarówno związanych z wyrokiem, jak i z dyskusją dowództwa na ten temat. Wreszcie miałkość samego oskarżenia: Mackiewiczowi zarzucano napisanie czterech felietonów w tzw. gadzinówce wydawanej przez Niemców. Jeden z obrońców pisarza podkreślał, że wszystkie te teksty, podobnie jak jego działalność podczas wojny, były nastawione na ostrzeganie przed Sowietami, które Mackiewicz uważał za groźniejsze od hitlerowskich Niemiec i dawał temu wyraz w zarzucanych mu tekstach.

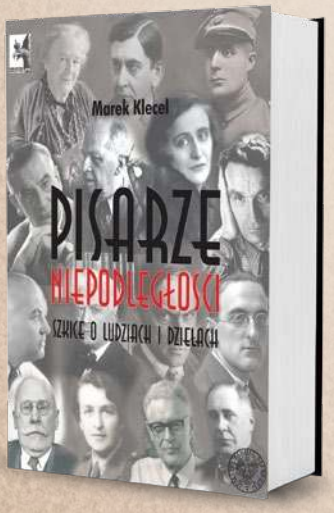

* * *

Wzorem zastosowanego przez Klecela podejścia do historii można uznać wydaną w latach 70. i 80. ub.w. w wydawnictwie niezależnym od cenzury książkę „Rodowody niepokornych" Bogdana Cywińskiego o wielkich i ważnych postaciach ruchów niepodległościowych przełomu XIX i XX w. Lektura ta ukształtowała dwa pokolenia młodzieży, która odrzucając sowiecki komunizm, gromadziła się w Klubach Inteligencji Katolickiej, przy działaniach Komitetu Obrony Robotników, współtworzyła największy w dziejach pokojowy ruch masowego protestu – Solidarność, a potem w działalności podziemnej przeniosła przez stan wojenny w XXI w. wartości takie jak wolność i suwerenność, do granicznego 1989 r. Klecel w tym aktywnie uczestniczył.

Działający od dwudziestu paru lat Instytut Pamięci Narodowej wykonał tytaniczną pracę edukacyjną, wydając ogromną już w tej chwili bibliotekę dokumentów i opracowań historii oporu oraz opozycji w Polsce XX w. Opasłe, najeżone przypisami, źródłami i indeksami tomy to naukowe i trwałe świadectwo tamtych czasów. Mało kto da radę to wszystko przeczytać, choć nie brak śmiałków. A naprawdę nie dostrzegam np. 300-stronicowej, napisanej ciekawej, barwnie, popularnym językiem historii 16 miesięcy Solidarności i stanu wojennego. IPN nadrabia teraz te braki, prezentując popularne książki zawierające bezcenną, ciekawie podaną wiedzę o losach ludzi, którzy budowali naszą niepodległość.

> W świadomości braku dobrego wykształcenia patriotycznego w młodym pokoleniu odnalezienie i opisanie bohaterów, nad których losem i wyborami życiowymi warto się zastanowić, to trudne zadanie. Gdy dobrze pomyślane, przyniosło nadzwyczajne efekty

Spotkania z bohaterami pióra i walki Klecel poprzedził niedługim rysem historycznym lat zaborów i kolejnych wojen oraz opisem sytuacji życiowej ludzi stawianych przez okoliczności i własny system wartości wobec dylematu: pióro czy karabin, słowo czy czyn?

Historii najlepiej uczyć się na losach bohaterów. Co wiedzielibyśmy po przeciętnej szkole o starożytnych, gdyby nie było mitologii greckiej z 12. pracami Heraklesa, bohaterów literatury antycznej – Hektora, Achillesa, Antygony, Edypa niosących ważne nauki moralne, a także postaci historycznych, jak genialny poeta reportażysta Homer, Sokrates z jego nieugiętą postawą wobec presji władzy, Arystoteles i jego uczeń, Aleksander Macedoński, 300 Spartan i wielu innych dalej, żeby zostać tylko w antyku greckim, pomijając Rzym z Cezarem i innym ludźmi walki? W świadomości braku dobrego wykształcenia patriotycznego w młodym pokoleniu odnalezienie i opisanie bohaterów, nad których losem i wyborami życiowymi warto się zastanowić, to trudne zadanie. Gdy dobrze pomyślane, przyniosło nadzwyczajne efekty.

Zdawałoby się, że doskonale znamy już dzieje poprzedniego wieku. Najnowsze książki dr. polonistyki Marka Klecela, wspomniani wyżej „Pisarze niepodległości" i druga – o krótkim jak wystrzał z karabinu tytule „Sybir" to odkrycie nowych dla niejednego czytelnika archipelagów wiedzy o historii Polski XX w.

eprasa.pl e34f39cd17

Ich troje w duetach

Co łączy Ralpha Finnesa, Jessego Eisenberga i Lenę Górę – gwiazdy „Konklawe", „Prawdziwego bólu" i „Imago"? Są kluczem do tych filmów. Uprawdopodabniają fabułę, a także dzięki prywatnemu filtrowi skracają dystans lub tworzą wyjątkowy kontekst

Ralph Finnes jako ekranowy kard. Lawrence

Fot. Monolith Film

eprasa.pl e34f39cd17

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kadr z filmu „Imago”

Trzy kinowe premiery tygodnia. Wydaje się, że wszystko je dzieli, a jednak. Nie miałyby takiej siły oddziaływania, gdyby nie odtwórcy głównych ról. A także ich ekranowi partnerzy. W dwóch przypadkach niebagatelnym atutem (wykorzystywanym na różnych etapach – od konceptu przez scenariusz po okołopremierową promocję) jest prywatne doświadczenie pierwszoplanowych aktorów. I prawdziwa historia w tle.

FIKCJA W GRZE

Zacznijmy jednak od fikcji, która udaje prawdę, a niezwykle pomocny w tym procesie jest charyzmatyczny Ralph Finnes jako ekranowy kard. Lawrence. Oto trafiamy do niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika wnętrz Watykanu, w tym momencie, dodatkowo izolowanych. W środku pozostają jedynie ściągnięci z całego świata kardynałowie.

Reklama filmu obiecuje: „Szokujące tajemnice Kościoła, które wyjdą na jaw podczas wyboru nowego papieża”. Rzeczywiście, między kardynałami toczy się na ekranie bynajmniej nie uduchowiona, polityczna gra. Ścierają się istniejące frakcje, powstają nowe. Co bardziej zdeterminowani w drodze do papieskiego tronu gotowi są różnymi sposobami i środkami eliminować przeciwników.

Napięcie rosnące między hierarchami może wciągać. Ciekawie rozgrywane są relacje między kard. Lawrence'em a głównymi graczami, zwłaszcza kard. Bellinim (Stanley Tucci). Pęknięcia w kościelnej strukturze przebiegają też (i dramatycznie się pogłębiają) na linii: księża – „służba pomocnicza”, czyli zakonnice. Tu do roli znaczącej postaci urasta grana przez Isabellę Rossellini s. Agnieszka.

Watykańskie kulisy stają się tłem politycznego thrillera, który pozuje na osadzony w realiach demaskatorski obraz. Tymczasem jego podstawą jest literacka fikcja, czyli dostosowana do oczekiwań masowego czytelnika powieść brytyjskiego autora Roberta Harrisa. Niejeden z sensacyjnych wątków czy strategicznych zwrotów akcji pojawia się w niej (a potem w scenariuszu), ponieważ twórcy ponaginali watykańskie procedury. Także z tego powodu, choć nie tylko, może zaskoczyć mocno naciągane zakończenie filmu.

MIARA BÓLU

Ci, którzy „Prawdziwy ból” widzieli na pokazach festiwalowych (przed oddaniem tekstu nie udało mi się zobaczyć tego filmu), podkreślają otwartość Jessego Eisenberga, zarazem inicjatora projektu, scenarzysty, reżysera i głównego aktora. Znany z roli Marka Zuckerberga, twórcy Facebooka, w filmie „The Social Network” (2010), przygodę z aktorstwem zaczynał od serialu, *nomen omen*, „Get Real” („Bądź prawdziwy”).

Taki też – sympatyczny, prawdziwy i szczery w reakcjach – przedstawia się w filmie zrealizowanym w kraju, do którego odwiedzenia nakłoniła go ostatnią wolą babcia.

W kraju tym, obarczonym powielanymi od lat opiniami, które sprawiają, że wycieczki młodzieży z Izraela poruszają się tu pod ochroną, w przeświadczeniu krzywd doznanych i niespłaconych przez dawnych i obecnych mieszkańców, bohater przemieszcza się między Warszawą, Radomiem, Lublinem i Krasnymstawem (skąd pochodziła babcia). Wraz z kuzynem, który mu towarzyszy (w tej roli Kieran Culkin, gwiazda serialu „Sukcesja”), dołącza do grupy międzynarodowych turystów. W muzeum na Majdanku, jak pisze jeden z recenzentów, „zalewa się łzami”, uzmysławiając sobie i widzom siłę i źródła tytułowego prawdziwego bólu. Zapewne większego i głębszego niż inne.

Siły tego cierpienia doświadcza też odwiedzający obozy zagłady Rwandyjczyk, który przeszedł na judaizm po rzezi dokonanej przez Hutu na Tutsi. Podobnie jak ocalali z pogromu Żydzi, szuka on odpowiedzi, dlaczego to jemu Bóg darował życie.

W filmie nie ma odniesień do rozgrywających się dziś wojennych tragedii ani związanych z nimi dylematów. Jest pewność, że o traumie Holocaustu trzeba stale przypominać. Tuż przed wejściem do polskich kin „Prawdziwy ból” otworzy tegoroczny Warsaw Jewish Film Festival organizowany w Muzeum Polin.

W DWUGŁOSIE

Nagrodzone Srebrnymi Lwami na ubiegłorocznym festiwalu w Gdyni „Imago” zainspirowane zostało życiem alternatywnej artystki z Wybrzeża Eli „Malwiny” Góry, występującej w latach 80. ub.w. m.in. w grupie Pancerne Rowery.

W główną postać wcieliła się Lena Góra, tworząc na ekranie zniuansowany prywatnym doświadczeniem „duet” ze swoją matką. Jej filmową kreację docenili w ub.r. jurorzy festiwalu w Gdyni, przyznając nagrodę za najlepszą pierwszoplanową rolę kobiecą.

W sierpniu br. (znana m.in. z seriali „Król” i „Będziemy mieszkać razem” oraz filmów „Noc w przedszkolu” czy „Roving Woman”) spotkała się na planie z brytyjską piosenkarką Charli XCX. Ta przyjechała do Warszawy, by pod okiem niezależnego reżysera Pete'a Ohsa zrealizować projekt pt. „Erupcja”. Ani temat, ani data premiery nie są jeszcze znane.

Fot. Żółty Szalik

eprasa.pl e34f39cd17

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Napad" w Netfliksie – mit esbeckich fachowców

Z reżyserem Michałem Gazdą zawarłem miłą znajomość na festiwalu w Gdyni. Zachęcał do obejrzenia swojego filmu „Napad" na Netfliksie. Zyskał popularność poprzednią produkcją dla tej platformy: nową wersją „Znachora", o której pisałem ciepło, choć z zastrzeżeniami dotyczącymi realiów.

Szybko obejrzałem „Napad", ponoć rekordzistę światowego streamingu Netfliksa, więc jakieś źródło wiedzy o Polsce. Scenariusz Bartosza Staszczyszyna jest inspirowany autentycznym zdarzeniem. W 2001 r. doszło do napadu na warszawską filię Kredyt Banku. Trójka młodych sprawców zabiła w bandyckiej egzekucji trzy kasjerki i ochroniarza. Jeden z nich pracował w tym banku. W filmie szybko się orientujemy, kto zabił. Liczy się gra psychologiczna prowadzących śledztwo z rabusiami. Przedstawiona nawet sprawnie.

Ale mój przyjaciel aktor twierdzi, że ta sprawność jest podporządkowana jednej tezie. Śledztwo zostaje powierzone dawnemu esbekowi, który ma zyskać w nagrodę przywrócenie do służby. Przyzwoicie, co nie dziwi, zagrany przez Olafa Lubaszenkę, ma on być receptą na skuteczność dochodzenia. Bo jak opowiada solidarnościowy minister, wzorowany chyba na Andrzeju Milczanowskim, kiedyś skutecznie łamał ludzi na przesłuchaniach.

Jak wielu widzom „Napadu" (czytam reakcje), ta teza wydaje mi się bzdurna. Owszem, czasem łamali ludzi, ale nie z powodu zdolności Sherlocka Holmesa, a używania machiny totalitarnego państwa. Zresztą w latach 80. szło im coraz gorzej. Nawet w „Psach" Pasikowskiego, oskarżanych, i słusznie, o apoteozę esbeckiego głównego bohatera, pokazano mimochodem, że inni dawni esbecy przeniesieni do normalnej policyjnej służby okazują się nieudolni.

Ale mamy nową modę. W zapomnienie idą portrety esbeckiego bezprawia i układu (chociażby z „Uwikłania" Jacka Bromskiego). Pojawia się fascynacja dawnymi „fachowcami". Nie w jednym filmie, podobno tak ma być choćby w serialu Jana Holoubka o katastrofie Heweliusza. To bałamutna tendencja, ułatwiana oddalaniem się od PRL. Dziś świadomość ponurej przeszłości zostaje zastąpiona graniem na nosie kombatanckiej prawicy. W grę wchodzi też poszukiwanie oryginalności za wszelką cenę.

W „Napadzie" esbek Tadeusz Gadacz (obdarzony nazwiskiem znanego filozofa) posługuje się metodami z pogranicza prawa, co budzi opory jego partnerki, młodej policjantki (dobra jak zawsze Wiktoria Gorodeckaja), ale co okazuje się skuteczne. Nie protestujemy, bo zbrodnia jest wyjątkowo paskudna. Ale droga do apoteozy metod dawnej SB jest drogą donikąd.

Autorzy filmu komplikują motywy i życiowe uwarunkowania sprawców. Ci realni byli prymitywnymi, bezdusznymi typami. Tu przesuwa się akcję do połowy lat 90., aby uczynić z chłopaków z PGR ofiary transformacji. Stajemy przed paradoksalnym pytaniem: czy można współczuć komuś, kto zrobił coś takiego. Pytaniem sugestywnym dzięki rolom Jędrzeja Hycnara, Stanisława Linowskiego i szczególnie znakomitego w scenach załamania Łukasza Szczepanowskiego (znanego ze „Znachora"). Najgorszy z nich, Kacper, grany przez Hycnara, to wręcz bohater rodzinnego melodramatu. Sporo w tym emocjonalnego szantażu, ale chwilami brzmi przekonująco.

Tyle że finał zatruwa teza związana z mitem „fachowców". Już na początku Gadacz występuje jako apostoł „szanowania ludzi". Jakoś nie przypominam sobie dawnych esbeków w tej roli. Na końcu wykłada, dlaczego jest skuteczny. Bo umie zdzierać z innych maski, a „wszyscy są zakłamani jak ja". Oczywiście sprawca policyjnych nieprawości mógł tak myśleć o świecie. Ale autorzy „Napadu" zrobili zbyt mało, aby podważyć tę tezę Jerzego Urbana o ludzkim „panświnizmie".

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Moc modlitwy

ROBERT TEKIELI

W połowie października w Wielkiej Brytanii 51-letni weteran z Afganistanu Adam Smith-Connor został skazany na dwa lata więzienia w zawieszeniu za modlitwę w myślach przed kliniką aborcyjną w Bournemouth w listopadzie 2022 r. Smith-Connor był odwrócony do kliniki plecami, żeby policja nie uznała faktu, iż stoi w jej pobliżu za manifestację przeciw aborcji. Sąd uznał go jednak za winnego, bo „miał pochyloną głowę i złożone ręce", co uznano za „próbę wyrażenia dezaprobaty w sprawach związanych z usługami aborcyjnymi". Modlił się za swojego nienarodzonego syna, który zmarł w wyniku aborcji 22 lata temu.

Politycy przyznali państwu władzę penalizacji tego, co dzieje się w ludzkiej duszy. Dawno nie widziałem takiej wiary w moc modlitwy, jaką manifestują prawodawcy i sędziowie Zjednoczonego Królestwa.

Ponieważ przed nami jeszcze kilka dni oktawy Święta Wszystkich Świętych – inne świadectwo o mocy modlitwy.

Zaraz po naszym nawróceniu postanowiliśmy z żoną nawrócić jej wiekową ciocię. Osobę o bardzo mocnym charakterze i specyficznie ukształtowanej osobowości. Była ona gotowa do działań heroicznych, gdy trzeba było chronić rodzinę. Np. nie zawahała się wylać na siebie gara wrzącego rosołu, byle tylko jako bardzo młoda dziewczyna nie pojechać na roboty do Niemiec w trakcie II wojny światowej, co oznaczałoby pozostawienie matki z kilkorgiem młodszego rodzeństwa w sytuacji, w której na pewno nie dałaby sobie ona rady z wychowywaniem dzieci i zapewnieniem rodzinie utrzymania. Jednocześnie ciocia manipulowała całym swoim otoczeniem, czasami robiąc rzeczy nieakceptowalne, choć oczywiście była mocno przekonana, że chroni braci, rodzinę, dobro.

Pod koniec życia starsza pani, niewrażliwa dotąd na nasze starania, by zbliżyć ją do Boga, zauważyła ten aspekt egzystencji i zabrała się za to we właściwy sobie sposób. Uroczyście poprosiła nas o jakiś modlitewnik, pojawiła się parę razy w kościele i uznała, że również Boga udało się jej zmanipulować. Kiedy umarła, my, pełni pychy nowo nawróconych, byliśmy w szoku. Jak to? Nie udało się nam jej nawrócić? Bóg nam nie pomógł? Bóg wszechmogący? Wszystko stracone?

Śmierć cioci zbiegła się ze Świętem Wszystkich Świętych. Ostatniego dnia oktawy tego święta dotarło do mnie, że można jeszcze zdobyć odpust zupełny i ofiarować go w intencji zmarłej. Wracaliśmy właśnie do domu po całym dniu załatwiania formalności pogrzebowych i kiedy tylko uświadomiliśmy sobie z żoną tę niesamowicie szczęśliwą okoliczność, atmosfera w samochodzie zaczęła gęstnieć. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli się pokłócimy, brak łaski uświęcającej sprawi, iż zniknie ostatnia szansa na zbawienie człowieka. I nic to nie dało. Po kłótni ciche godziny trwały do wieczora, na szczęście w ostatniej chwili otrzeźwieliśmy. Zaczęliśmy szukać możliwości spowiedzi. I dopiero o godz. 20.40, parę minut przed zamknięciem świątyni udało się żonie wyspowiadać u jezuitów w warszawskim kościele Matki Bożej Łaskawej. By uzyskać odpust za zmarłego, jednym z warunków jest modlitwa na cmentarzu. Poprosiłem żonę, by wracając, pomodliła się w samochodzie przy cmentarnej bramie, Bóg przecież nie jest aptekarzem, nie zwraca uwagi na takie szczegóły. Wszystko udało się w dosłownie ostatniej chwili. Kiedy uczestniczyliśmy w pogrzebie ciała naszej cioci, niezależnie od siebie mieliśmy głębokie wewnętrzne przekonanie połączone z łagodnym wewnętrznym pokojem, że ogląda ona uroczystość z nieba. A Bóg, nie łamiąc jej wolności, doprowadził jej życie do zbawczego happy endu.

Modlitwa ma wielką moc, a Bóg chodzi swoimi drogami.

Zaczyna się właśnie jesienne obumieranie przyrody i łatwiej jest się skupić na przemijaniu. Każdy, kto odwiedzi cmentarz i pomodli się, choćby w myślach, za bliskich zmarłych między 1 a 8 listopada, może uzyskać odpust zupełny za dusze czyśćcowe. Oznacza to darowanie kary doczesnej za grzechy, które zostały już odpuszczone w sakramencie spowiedzi. Do piątku każdego dnia można uzyskać odpust zupełny i ofiarować go za jednego zmarłego. Warunki są następujące: stan łaski uświęcającej – tego dnia można odbyć spowiedź, aby uzyskać pewność, uczestnictwo w Eucharystii i przyjęcie komunii, brak przywiązania do jakiegokolwiek grzechu, nawet lekkiego, oraz modlitwa w intencjach, w których modli się Ojciec Święty. Dzięki gorącej modlitwie możemy przyczynić się do skrócenia czasu dusz w czyśćcu, modlitwa staje się wtedy najważniejszym darem dla zmarłych. Oni nie mogą już sobie pomóc. A my możemy dać wyraz naszemu miłosierdziu wobec nich, również dodatkowo przez wspomagający modlitwę post. W tych naszych bezinteresownych ofiarach nie chodzi o przekupywanie Boga, lecz o nawiązywanie z nim osobistej relacji opartej na wierze i zaufaniu. Bo w tym wszystkim chodzi o miłość.

eprasa.pl e34f39cd17

POPKULTURA

Warte Mile zaskoczył mnie debiut kanadyjskiego pisarza fantasy Sebastiena de Castella. ***„Ostrze zdrajcy"*** to powieść awanturnicza, trochę w stylu „Trzech muszkieterów", jednak bardziej mroczna i pisana w rozedrganej manierze. Najbardziej zepsute miasto świata, trzej wojownicy z rozpędzonego na cztery wiatry rycerskiego zakonu, fałszywe księżniczki, samowolni książęta, spiski, intrygi, idealistyczny, martwy król, gwałcone i mordowane przez szlachciców chłopki, zemsta i rozpacz.

Autor ma dobrą rękę do fabuły, w powieści jest nadspodziewanie wiele zwrotów akcji, a mimo to nie mamy uczucia chaosu. Zawarte pomiędzy punktami zwrotnymi wątki mogłyby dzięki swej klarownej strukturze być osobnymi opowiadaniami, co wybitnie uprzyjemnia lekturę. Mnóstwo tu patosu, a także ironii oraz sarkazmu. Niby naiwny główny bohater niesie w sobie napędzający go dramat, stąd wielkie emocje i sporo zaskoczeń. „Ostrze zdrajcy" to pierwsza część czterotomowej serii „Wielkie płaszcze". Pewnie zatem jeszcze skreślę tu kilka słów na temat tego świata spod znaku nigdy niechybiającego łuku i błyskotliwego rapiera.

POPKULTURA

Warte Z ostrożnością i ciekawością podchodziłem do filmu ***„Wielki Georg Foreman"***, bowiem biografie wielkich sportowców to tylko pozornie łatwy kawałek chleba. I tak jest z tym filmem, który wyreżyserował George Tillman Jr. Sama historia boksera jest niezwykła. Dwukrotny mistrz świata, drugi tytuł zdobyty w wieku 45 lat, przeżyta śmierć kliniczna, nawrócenie, wieloletnia posługa pastora, wielkie pieniądze i działalność charytatywna. Niestety sceny walk nie stały się silną stroną tej fabuły, świetne jest natomiast aktorstwo Foresta Whitakera grającego mentora boksera, a zupełnie przyzwoite Khrisa Davisa, który wciela się w głównego bohatera. W pewnym momencie film we wzruszający sposób zaczyna ewangelizować. Jest dużo emocji, happy end i moralna pointa. Na pewno nikt nie będzie żałował czasu spędzonego przy ekranie.

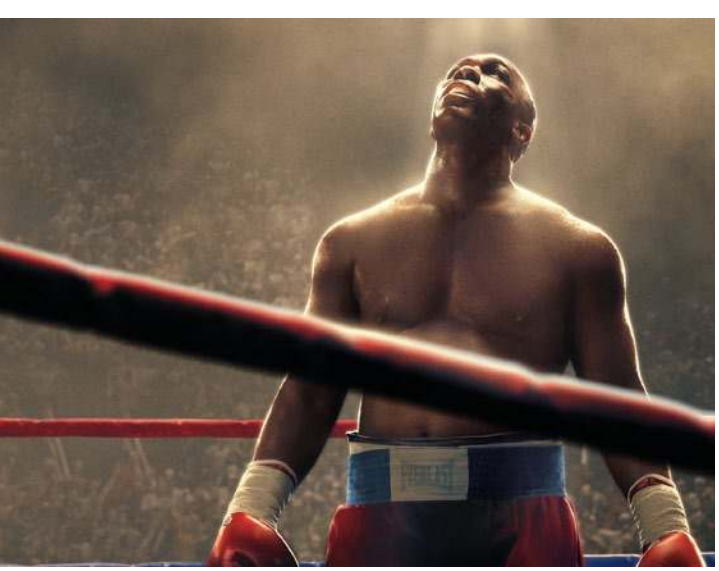

POPKULTURA

Warte Konrad Harkov, pełnokrwisty wampir, zdecydował się rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady. Ma dość mordowania, więc skazuje się na heroiczną abstynencję i zamiast krzywdzić ludzi, zaczyna im pomagać jako chirurg. Największą siłą powieści Jarosława Dobrowolskiego ***„Delirium"*** jest umiejętność zachowania realistycznego stylu w dark fantasy połączonej z horrorem. Powieść rozgrywa się na wielu planach, jednym z istotnych punktów odniesienia jest historia innego wampira, który zanurzony w podziemie snuff, zarabiając w dark necie, prowadzi równocześnie klub dla nadwiślańskiej kasty polityków, mafiosów i celebrytów, będąc jednocześnie inwestorem i właścicielem Mariotta, który ukrył w tej budowli dwa piętra dla krwawej części swej działalności. I nie jest on kimś jedynie na kształt Epsteina czy P. Diddy'ego, lecz wielokrotnie bardziej bezwzględnym potworem cieszącym się całkowitą bezkarnością.

W kontraście do tej miejskiej dżungli jawi się początkowo zapadła w głuszy wieś Jagniątkowo, na obrzeżach której osiedlił się Harkov.

Warszawska historia to tylko otwierający powieść epizod. Cała intryga rozgrywa się bowiem w Bieszczadach, na granicy naszej ekumeny. Mamy tu zabójstwa i czary, ABW i przemytników, powoli ujawniający się świat pełen pogańskich bóstw i miejscową przestępczość zorganizowaną, obłąkaną, zaborczą miłość i wiejski bar z klimatem jak ze słynnej ławeczki z serialu „Ranczo".

Bardzo mi odpowiada sposób opowiadania Dobrowolskiego. Bo kiedy opisuje bezwzględną, wręcz zwierzęcą przemoc domową w jednej z mieszkających w Jagniątkowie rodzin i zawinioną mniej lub bardziej bezsilność wobec niej mieszkańców wioski, wiemy, że przedstawia po prostu świat, jaki jest, jaki bywa, a nie oskarża wszystkich mieszkańców polskiej prowincji tout court jako nieoświeconych potworów, których trzeba dopiero ucywilizować.

Najważniejsze, że Dąbrowski nie nudzi. A jego realizm demonologiczny urzeka, jak ten passus dotyczący budowy zapory w Solinie: „Miejscowi pospiesznie wysiedleni ze swoich wiosek odwoływali się do pradawnej magii, byleby tylko pozostać w domach. Jak się okazało, ich klątwy, choć istotnie wiąże się je z wieloma niewyjaśnionymi sytuacjami podczas kilkuletniej budowy, zdały się na nic wobec bezdusznej potęgi KC PZPR". Biorąc pod uwagę satanistyczne źródła marksizmu i 100 mln ofiar komunizmu, być może polscy bolszewicy wygrali po prostu nad Soliną wojnę magów.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl e34f39cd17

Maciej Walaszczyk

Muzyka jak modlitwa

Kolejna gratka dla miłośników renesansowej polifonii wokalnej i Josquina dés Présa. To postać niemal mityczna, a nawet skomercjalizowana, na pewno zaś geniusz, wokół którego toczą się gorące spory dotyczące autorstwa pewnej części motetów uważanych za apokryfy. Najważniejsze jest jednak, że także w XXI w. możemy słuchać tych wielogłosowych śpiewów, a właściwie je kontemplować, wybiegając poza szum cywilizacji. To kolejna płyta flamandzkiego zespołu Graindelavoix pod kierunkiem Björna Schmelzera, gdzie śpiewacy, uprawiając kunsztowny śpiew polifoniczny, nie odchodzą od wykonawczej ortodoksji, choć są też znani z wnoszenia do dawnych notacji nowego życia. Słyszymy tu całą gamę religijnych motetów, nie tylko Josquina, lecz także klasyków franko-flamandzkiej polifonii: Giachesa de Werta, Johannesa Ockeghema i Jacoba Obrechta oraz Bernardino de Ribery z Toledo. A wszystkie oparte na teologicznej koncepcji *creatio ex nihilo*, uosabianego tajemnicą Wcielenia, Boga stającego się człowiekiem. Dowodzi tego tytułowy „Praeter rerum seriem" („Poza porządek rzeczy") Josquina, typowy antyfonalny, wielogłosowy dialog będący szczytem osiągnieć kompozytora oraz pięcioczęściowy, bożonarodzeniowy „O Admirabile commercium". Zdaniem kierownika zespołu zawiera się tu cały duchowy radykalizm, który kompozytorzy ci potrafili wydobyć z medytacyjnego wielogłosu. Posłuchajmy dwóch odsłon biblijnego lamentu Racheli („Vox in Rama"), gdzie spotykają się mistycyzmy europejskiego Południa i Północy. Najpierw wspaniały, siedmiogłosowy motet de Ribery, będący jednym z arcydzieł muzyki hiszpańskiego renesansu, a po nim ten flamandzki, w którym także de Wert osiąga szczyty swego rzemiosła, gdy w narastających seriach kulminacji dociera do nas przejmujący płacz Racheli zapowiadający rolę Matki Bożej w dziejach zbawienia. Nie inaczej jest z pozostałymi motetami, w tym czternastominutową wersją antyfony „Salve Regina" Obrechta, będącą przykładem udanej renesansowej manipulacji chorałem gregoriańskim. W jego czasach śpiewacy często gromadzili się bowiem wokół posągu lub obrazu Matki Boskiej, naśladując zastępy anielskie śpiewające jej chwałę w niebie, wspierając lud w jego modlitwach. Tylko w ten sposób dusza unosi się ku Bogu, a stojąca w centrum liturii muzyka staje się modlitwą.

Graindelavoix, Björn Schmelzer, „Ex Nihilo – Polyphony Out of the Order of Things", Glossa 2024

Narodowe rekolekcje

Piąty tom „Dzieł Wybranych" o. Jacka Salija zawiera zbiór artykułów znanego dominikanina, tomisty i duszpasterza poświęconych polityce. Tej rozumianej wyłącznie jako troskę o dobro wspólne, a nie bezwzględnej mechanice czy psychologii władzy i walki o nią. Choć wychodzi właśnie ze świadomości tej rzeczywistości, przyznając, że wspólnota narodowa nie wyklucza istnienia partii politycznych i konfliktów, ale mających sens i będących bezpiecznymi tylko wtedy, gdy nie stają się zbiorowiskiem „band lub koczowisk polemicznych". Są tu więc rozważania o patriotyzmie, dobrym i złym mesjanizmie, skutkach sekularyzacji, niewolniczej mentalności, znaczeniu wolności i zniewoleniu przez konsumpcjonizm. Człowiek zniewolony to ten zewnątrzsterowny, pozbawiony śladów oryginalności i tej odrobiny wolności dostępnej nawet zwierzętom. Przywołując obawy wyrażane już kiedyś przez Henryka Sienkiewicza, podziela je i dziś, dostrzegając możliwości zatraty polskości oraz własnego państwa traktowanego jako „obcą i nieżyczliwą bestię". Gdy tymczasem już nasz noblista nakazywał rozróżnianie między krytyką uzdrawiającą a rozkładającą i pchającą naród do śmierci. Czy nie doświadczamy tego od 35 lat?

Jedynym możliwym patriotyzmem jest wobec tego nieustanne wypieranie zła z życia publicznego, wpływów z zewnątrz, a także gnuśnej pospolitości, przed którą przestrzegał Gombrowicz. Także tej „uganiającej się za tym, aby się komuś przypodobać, zaimponować mu i uniknąć skarcenia", Polski – idąc za Norwidem – „lokaja opinii". Co dotyczy głównie inteligencji, która m.in. z tego powodu utraciła wiele ze swoich dawnych zdolności do bycia przewodnikiem narodu. Jak solidny kaznodzieja, przywołuje myśli naszych pisarzy i filozofów – silnych duchów.

O. Salij podejmuje również problem znaczenia odwagi cywilnej, a więc pokonania paraliżującego strachu, gdy aby uniknąć jakiegoś zła, sprowadzamy na siebie i innych jeszcze większe zło. I nie jest to bynajmniej pochwała głupiej i szkodliwej zuchwałości. To dziś równie wielki problem – w pracy, rodzinie i życiu publicznym. Dlatego za wzór powołuje archetypiczne figury upominających władców biblijnych, proroków czy od wieków pielęgnowany w Europie wzorzec sędziego, który mimo nacisków politycznych i presji władzy wydaje sprawiedliwy wyrok.

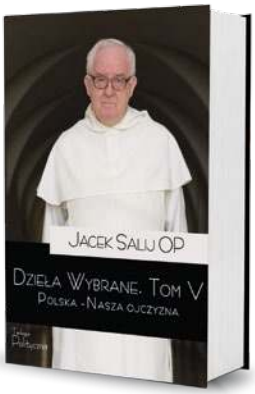

Jacek Salij OP, „Dzieła wybrane. Polska – nasza ojczyzna", Tom V, Teologia Polityczna 2024

eprasa.pl e34f39cd17

Brewiarz Europejczyka

To pomysł na to, jak spędzić pełny rok w towarzystwie wszystkich największych pisarzy europejskich – kanonicznych, archetypicznych i co najważniejsze ciągle do nas przemawiających

„Breviarium" pozwala nam wejść do trzech bibliotek: greckiego śródziemnomorza z jego homerycką biblią, tragediami, komediami, liryką i bajkami. Potem do jego części rzymskiej, skrywającej m.in. Owidiusza, Horacego, Wergiliusza, Juwenalisa, Stacjusza, by dojść do chrześcijańskiej Europy, od epigonów starożytności (Boecjusz, Prudencjusz) przez hymny liturgiczne, pieśni i eposy („Beowulf") czy dorobku z polskiego „Carmina Patria" (Gall Anonim, Kadłubek, Wincenty z Kielczy). Tu ciekawostka, bo mamy poszerzoną, czternastozwrotkową wersję „Bogurodzicy". A wszystko uzupełnione, jak na brewiarz przystało, o teksty okolicznościowe na czas Bożego Narodzenia, Wielkiego Tygodnia („poemat paschalny" Seduliusza) i Wielkanocy (Piotr Abelard, Wenancjusz Fortunat).

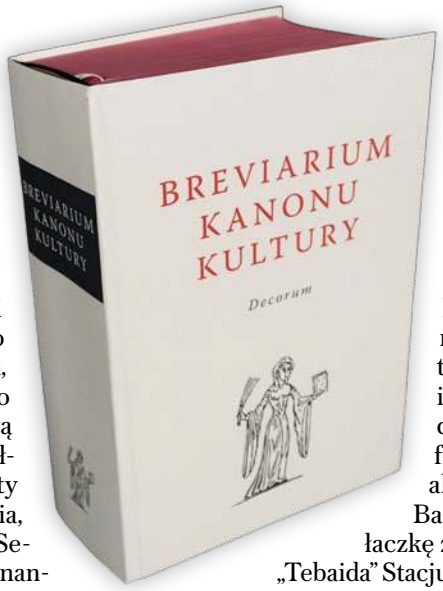

Proszę wierzyć, to nie są obowiązkowo-szkolne zachwyty nad pomnikową antologią, ale szczery podziw dla realizacji tak spektakularnego dzieła. Zachwyca ono nie tylko treścią, lecz także równoważącą je formą – bardzo staranną i pieczołowitą. Jej autor Paweł Milcarek za pomocą osobistych objaśnień i instrukcji pomaga nam w przedarciu się przez ogrom, a może nawet nadmiar literackich skarbów. W tym celu została opracowana także odpowiednia metoda. Fragmenty czytamy każdego dnia, zajmują nam najwyżej kilka minut i, jak podpowiada Milcarek, należy to robić raczej na głos, a przynajmniej słysząc czytane teksty, gdyż pierwotnie nie powstawały w celu cichego czytania, ale najczęściej do recytacji lub śpiewu. Te starożytne uzupełniają nawiązujące do nich późniejsze, polskich autorów, m.in. Sępa Szarzyńskiego, Niemcewicza, Mickiewicza, Wyspiańskiego czy Staffa. To bowiem esencja klasycznej Europy, w której antyczne dziedzictwo podlegało „wchłonięciu, selekcji i reinterpretacji" zarówno na potrzeby wczesnej chrystianizacji, jak i wszelkich dalszych przeobrażeń kulturowych. To nie tyle arbitralna „lista bestselerów", ile po katolicku przemyślana próba wydobyta z dzieł autorów, bez których obecności w naszej wyobraźni, myśli i słowie „jesteśmy ubożsi aż do losu synów marnotrawnych i żebraków na własne życzenie".

Nie ma więc przypadku w tym, że ta księga ma cel estetyczny, a także pedagogiczny oraz że trzeba ją rozpoczynać od fragmentów „Iliady". Homerycki epos wszechczasów to przecież opis zgubnych skutków gniewu i niezgody, które wywołują wojnę. Opiewa etos męstwa i waleczności, odpowiednich relacji między osobistym szczęściem a obowiązkiem, dzielnością a umiejętnością podejmowania słusznych decyzji. „Odyseja" to znów, jak wiadomo, niekończąca się i pełna pouczających wydarzeń wędrówka do rodzinnego domu, tu uzupełniona fragmentem przesiąkniętego homerycką aksjologią poematu Konopnickiej „Pan Balcer w Brazylii" opisującego polską tułaczkę z nadzieją powrotu do polskiego domu.

„Tebaida" Stacjusza mówi o bratobójczej wojnie wywołanej nienawiścią i zazdrością o władzę, którym ulegli synowie Edypa. Przestrzega przed zgubną siłą namiętności, których siła powoduje śmierć. Ten temat, tak aktualny w gorączce politycznych konfliktów niszczących życie publiczne, powraca też w „Wojnie domowej" Lukana opisującej przebieg fatalistycznego konfliktu między Juliuszem Cezarem i Pompejuszem, tyranią a republikańską wolnością. Taka wojna to jednak największa potworność, a jej źródłami są zepsucie moralne Rzymu, skorumpowany lud kupowany igrzyskami i brak wszelkiego umiaru. I tu dopełnia go „Sonet wojenny" Stefana Gaszyńskiego o fatalistycznym przebiegu powstania listopadowego. Jeden z opisów piekieł z „Boskiej Komedii" Dantego komentuje wypis z „Nie-boskiej komedii" Zygmunta Krasińskiego. Hrabia już dawno w roli potępieńców obsadził rewolucjonistów, którzy sprowadzają na świat infernalny chaos. Mamy też wielce pouczające przypowiastki z „Opowieści kanterberyjskich" Geoffreya Chaucera, jak tę słynną o Lisie i Kogucie, gdzie cwany pochlebca, lizus i klakier zawodowo usypia czujność łasego na pochwały Szanteklera w wiadomym celu konsumpcji drobiu. „Czytajcie zatem Księgę Koheleta / O pochlebstw zdradzie w niej pisze poeta".

„Breviarium Kanonu Kultury. Decorum"
(wybrał i opracował Paweł Milcarek), Dębogóra 2024

eprasa.pl e34f39cd17

CECYLIA MALIK*

Dogadać się z rzeką

Różnorodna, niepokorna, intrygująca. Nadal pełna tajemnic i możliwości. Bardzo potrzebna. Wisła, bo o niej mowa, przyciąga coraz więcej uwagi. Po powodzi, która dotknęła południowo-zachodnią Polskę, i na tę rzekę patrzymy inaczej. Czy roztropniej? Z większą pokorą wobec mądrości natury? Oby.

W uważność i mądre zainteresowanie naszą największą rzeką – można powiedzieć „wielonurtow" – wpisuje się książka Cecylii Malik „Wisła. Przewodnik dla dużych i małych" (Wydawnictwo Literackie). Dopełniona zintegrowanymi z tekstem ilustracjami Grażyny Rigall.

Opowieść o rzece jest prowadzona z perspektywy autorki narratorki, która sięga też po prywatne doświadczenia i zaangażowania. Dzięki takiemu podejściu łatwiej jej wejść w interakcje z czytelnikiem. Zatrzymać go przy kolejnych wątkach. A są one różnorodne. Tak jak różnorodna jest sama Wisła i to, co działo się na niej i wokół niej przez wieki, a co wpłynęło na jej obecny stan. Zarówno przyrodniczy, hydrologiczny, jak i kulturowy czy historyczny.

„Mam na imię Cecylia. Jestem artystką; czasem maluję obrazy, czasem wymyślam happeningi i piękne protesty. Kiedyś spłynęłam łódką ze sklejki, którą zrobił dla mnie mój mąż Piotrek Dziurdzia, wszystkimi rzeczkami wpadającymi do Wisły w Krakowie, bo chciałam nakręcić film o krakowskich rzekach. Jestem też mamą Antka, Urszulki i Ignasia. Mamy suczkę husky o imieniu Orszi, która nauczyła się pływać w rzece Wildze, gdy miała dziesięć miesięcy" – przedstawia się autorka (którą widzimy też na ilustracjach).

Dalej podkreśla, że warto poznać Wisłę nie tylko z perspektywy najbliższego nam mostu. I zaprasza do pełnego niespodzianek poznawania liczącej 1047 km rzeki. Zupełnie innej „koło Oświęcimia, w Sandomierzu i w okolicach Grudziądza".

W duecie z ilustratorką zabiera czytelników w malowniczą trasę, rozgałęzioną jak tytułowa bohaterka. Ta współczesna i ta sprzed lat – z opowieści dziadków, z historii flisaków czy olędrów. Także z legend. Ta, która może wezbrać, stanowiąc zagrożenie, albo w czas suszy odsłonić łachy, wyspy i... skarby. Ta, która wciąż jest ostoją dla roślin, ryb, owadów, gadów, ptaków, ssaków... Inspirująca ludzi, by np. pobiec wzdłuż niej, popłynąć nią albo fotografować czy malować.

Autorka namawia i podpowiada, dokąd wybrać się na wycieczkę, by bliżej poznać Wisłę, a oferta jest bardzo długa i ciekawa. Obejmuje też miejsca, o które szczególnie warto zadbać. By mogły cieszyć kolejne pokolenia, czasem trzeba też stanąć twardo w ich obronie. Przekonywać, że nie ujarzmiania i betonowanie, nie spiętrzanie wody i stawianie kolejnych tam, lecz uwalnianie rzek, danie im naturalnej przestrzeni pozwoli uniknąć zarówno tragedii, która dotknęła w tym roku południowo-zachodnią Polskę, jak i zniszczenia związanej z rzekami przyrody.

„Lasy, meandry, mokradła, strumyki, a nie zapory i sztuczne zbiorniki!", „Chcecie mieć wodę? Nie wycinajcie lasów w górach!" – nawołują hasła wpisane w ilustracje książki. I nie bez powodu bohaterami jednego z rozdziałów są olędrzy, XV-wieczni osadnicy z Niderlandów sprowadzeni nad Wisłę po wielkiej powodzi, bo potrafili „dogadać się z rzeką".

Jolanta Gajda-Zadworna
**Autorka książki „Wisła. Przewodnik dla dużych i małych"*

Ilustracja Grażyna Rigall/Wydawnictwo Literackie

eprasa.pl e34f39cd17

SŁODKO-SŁONY

Witaminy z krzaczka

ANNA MONICKA

Sezon na polu definitywnie zakończony. Na otarcie łez wybrałyśmy się z córką do ogrodu botanicznego Polskiej Akademii Nauk w Powsinie. Akurat w sobotę odbywało się wielkie dyniowe święto i komisyjne ważenie tegorocznych laureatek. Wygrało monstrum, które napuchło do 888 kg i na wagę taszczył je dźwig. Ubiegłorocznego rekordu wprawdzie nie pobiło, bo chyba było jednak ciut za sucho, ale wstydu nie ma, a nie robi go na pewno różnica marnych 19 kg – olbrzymka i tak nadawałaby się na karetę.

Przy okazji zorganizowano kiermasz, na który stawili się rolnicy z okolic. Natychmiast ruszyłyśmy do speców od jabłek i gruszek z Rajskiego Sadu, bo owoce mają wybitne, oraz pań z Folwarku Anielin spod Magnuszewa po syropy i soki na zimę: z czarnej porzeczki, kwiatów bzu, malin, limonki, pigwowca, a przede wszystkim pędów sosny. Same też go robimy, ale jakoś tak się dziwnie dzieje, że coraz częściej zamieniamy syrop w nalewkę, której nie mogę przecież wlać dziecku do termosu ani sobie do herbaty, gdy jestem przeziębiona, a muszę pracować. Ten z Anielina już kiedyś piłam, rzeczywiście był smaczny i skuteczny na kaszel.

Tym razem jednak wypatrzyłam sok z rokitnika – rzadkość w naszych sklepach. Owoce są prawie nieznane i mało przez nas cenione (chociaż to się na szczęście powoli zmienia), tymczasem roślina jest wybitna. Smak może nie jest jej najmocniejszą stroną i żółtopomarańczowych kulek nie da się jeść jak jagody czy wiśnie, ale warto wprowadzić je do diety w postaci soku wyciskanego ze świeżych owoców. Sam, bez dodatków, nadal jest napojem raczej dla fanów, ale już po zmieszaniu z miodem i rozcieńczeniu ciepłą wodą robi się całkiem miły w odbiorze. Warto go poszukać w tłoczniach, koniecznie sprawdzić, żeby był bez konserwantów i pić dwa razy dziennie przez całą zimę, bo ma mnóstwo zdrowych kwasów tłuszczowych witamin: E, B, P, bardzo trwałej C, chroni przed chorobami, wzmacnia, zapobiega nowotworom.

A jeszcze lepiej posadzić sobie w ogródku kilka krzaków. Są kolczaste i gęste, świetne na żywopłot, a jesienią wyglądają pięknie, oblepione pomarańczowymi kulkami. To roślina dwupienna, więc w okolicy żeńskich powinien rosnąć co najmniej jeden męski, żeby pojawiły się owoce. Jesienią, po przemrożeniu, warto je przecierać przez sito, mieszać z miodem i zajadać, żeby zregenerować organizm.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Bielak, polatucha i rosomak

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dzięki położeniu geograficznemu i byciu częścią kontynentu eurazjatyckiego w naszej faunie mamy rozmaite gatunki. Również takie, które w naszym rejonie osiągają granicę zasięgu, dzięki czemu wnoszą wyraźny rys egzotyki.

Zając bielak (*Lepus timidus*) to gatunek związany z północą Europy i Azji, również tą bardzo odległą, daleko poza kręgiem polarnym. Jego bliskim krewnym jest zając arktyczny, do niedawna uznawany za podgatunek bielaka, zamieszkujący Arktykę amerykańską i północ Grenlandii. Cechą charakterystyczną bielaka jest zmiana futra zimą na śnieżnobiałe za wyjątkiem czarnych końcówek uszu, co słusznie nadaje mu wyglądu zwierzęcia z najdalszej północy. W Polsce rzadkiego bielaka można zaobserwować np. w rozciągającej się w północno-wschodnim krańcu kraju Puszczy Rominckiej.

Jeszcze w XIX w. w Puszczy Białowieskiej występował inny ewenement borealnej fauny – polatucha syberyjska o oddziaływującej na wyobraźnię nazwie łacińskiej *Pteromys volans* i nie mniej intrygującej nazwie zwyczajowej – latająca wiewiórka. Choć dziś trudno w to uwierzyć, w naszych lasach rzeczywiście żyły zwierzątka wielkości i obyczajów wiewiórki, posiadające między przednimi a tylnymi łapami obszerny fałd skórny. Po jego rozpostarciu, kiedy zwierzę przybiera kształt latawca, umożliwia on skok i szybowanie na dużej wysokości na odległość nawet kilkudziesięciu metrów. Dziś możemy sobie tylko wyobrażać, jakie wrażenie budziło spotkanie z tak osobliwym stworzeniem w głębinach starej puszczy.

Według dawnych relacji niegdyś w polskich lasach można było spotkać jeszcze jednego przedstawiciela ssaków Północy: rosomaka (*Gulo gulo*), największego przedstawiciela łasicowatych, zwierzę dzikie, drapieżne i waleczne, nieustępujące z drogi żadnemu innemu, zmuszające do ucieczki nawet watahę wilków lub niedźwiedzia, zdolne do upolowania łosia w pojedynkę.

Informacje o rosomakach w naszym kraju nie są potwierdzone. Niektóre źródła wskazują, że gatunek ten żył na terenach dawnych Inflant, według innych nigdy nie był spotykany tak daleko na południe, większość przezornie nie porusza tej kwestii. Stare podania twierdzą jednak, że rosomaki żyły kiedyś w Polsce.

eprasa.pl e34f39cd17

OGNIEM NA WPROST

Make Russia small again

Andrzej Rafał Potocki

W USA rośnie przewaga Donalda Trumpa nad amerykańską Kidawą-Błońską, czyli Kamalą Harris. Na pewno będzie próbował zrealizować swoje rojenia o zakończeniu wojny w 24 godziny. Tyle że Kreml jest już w nią tak uwikłany, że nie może ot tak się z niej wycofać. Nawet jeśli Ukraina zrobi „gest dobrej woli" i odda część terytorium, wiadomo, że nie za darmo. W dodatku Kijów ma siły i środki, żeby torpedować ewentualny proces pokojowy, zwalając to na Moskwę. I w drugą stronę tak samo. W dodatku rosyjska mentalność nie pozwoli Putinowi na zadowolenie się planem minimum. Jeśli Zachód zaproponuje Donbas, to Moskwa zażąda całej Ukrainy wschodniej aż do Dniepru. W takiej sytuacji Trump poczuje się dotknięty w swoje wybujałe ego, co pchnie go, zgodnie z jego deklaracjami, do takiego wsparcia Ukrainy, żeby Rosja się po tym nie podniosła. I o to tu chodzi. Podobnie w tym kontekście odczytuje się t-shirt prezydenta Zełenskiego. Być może już zawarł z Trumpem jakiś deal, który pozwolił mu na otwarte prowokowanie i drażnienie Rosji. Na koszulce widnieje napis nawiązujący do wyborczego hasła kandydata republikanów „Make Russia small again" i mapa etnicznej Moskowii (ówczesnej Rosji) z 1462 r., na której była rozmiarów obecnej Polski. Chyba nabędę taki t-shirt.

Front. Pod Kurskiem Ukry odpuściły trzymanie jakiejś linii frontu i bawią się z Moskalami w berka: atakują, niszczą sprzęt i umocnienia, odskakują, żeby pojawić się gdzie indziej. Wojna manewrowa, męcząca dla strony podgryzanej, w stylu Jędrzeja Kmicica, który z podchodził kompanionami Chowańskiego. A pod Kupiańskiem Ruscy ponownie doszli do Oskiła na północ od Krugłakowki. Na kierunku pokrowskim miejscowość Sełydowe stracona, a oddziały ukraińskie proszą o zezwolenie na odwrót. Na razie nie ma zgody. Na południe od tego miasta Moskal kontynuuje natarcie w kierunku na zachód, zgodnie z tym, co przewidywaliśmy. Powoli zamyka się operacyjne oskrzydlenie Kurachowki.

Na odcinku Marinka–Wuhłedar Ruski znów posunął się nieco do przodu, a Tryzuby nie bardzo mają się tu gdzie bronić. Przychylamy się do zdania analityka Marka Meissnera, który zwraca uwagę, że podstawowe błędy Ukraińców to źle działający system łączności, brak koordynacji i współpracy między jednostkami, flankowanie dobrych jednostek słabymi, pchanie zbyt małych sił na zagrożone odcinki. Natomiast inny ekspert, Tomasz Fit, dodaje, że Moskale działają na zasadzie „milion ukłuć szpilką zabije słonia". Atakują naprawdę małymi grupami – do dziesięciu bojców – ale na całej szerokości frontu. W efekcie zawsze znajdą gdzieś lukę. Oczywiście wraże dowództwo nie zrezygnowało z klasycznych szturmów „mięsnych", bo przecież kiedyś obrońcom skończy się amunicja. Skuteczność tej strategii jest taka, że rosyjscy propagandyści doszli do wniosku, iż mobilizacja zniszczy ekonomię, więc lepiej sięgnąć po najemników z zagranicy. Ale o pół ludziach, pół robotach od Kim Dzong Una następnym razem, bo jeszcze nie ma pewnych informacji o wejściu do akcji tej formacji. Eh! Te niewyczerpane rezerwy ludzkie i materiałowe Rosji.

Apropos niewyczerpanych rezerw ludzkich i materiałowych Kremla. Żołnierze ukraińskiej 110. Brygady Zmechanizowanej bronili Awdijiwki do połowy lutego 2024 r., a gdy ta padła, w walkach odwrotowych cofali się aż pod Pokrowsk. Rozpoczęła się bitwa o to miasto, więc stali się główną tarczą ukraińskiej obrony. 23 października rozpoczął się pierwszy „mięsny" szturm. Gdy żołnierze 110. brygady powstrzymali natarcie, pole przed ich pozycjami było zasłane ciałami zabitych. Po przeszukaniu zwłok bojców okazało się, że byli to niedawno wymienieni jeńcy – Moskale, których wcześniej wzięto do niewoli na Ukrainie, a potem odesłano w zamian za wypuszczenie ukraińskich żołnierzy. Zamiast odesłać uwolnionych żołnierzy do domu i powitać jak bohaterów, dowództwo zamknęło ich w obozach filtracyjnych, gdzie zmuszono ich do odnowienia kontraktów udziału w tzw. specjalnej operacji wojskowej. Następnie odesłano ich z powrotem do „pokrowskiej maszynki do mielenia mięsa". Nu, sołdaty, co się odwlecze, to nie uciecze!

Na do widzenia dawno nie widziany rzut wzwyż ruską wieżą czołgową. Ale tym razem z bliska. Tak, że aż operatora kamery w chaszcze rzuciło. Dla zainteresowanych podajemy adres na Telegramie: https://t.me/russianocontext.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e34f39cd17

Michał Korsun prezentuje:* *Czy Holland zaatakuje Donalda Tuska „Zieloną granicą 2”?

Wycinki z przeszłości

Ciepła jesień sprawiła, że pod jabłonkami i innymi drzewami, także dzikimi, wciąż jeszcze leży dużo owoców. W przedwojennej polskiej prasie znaleźliśmy ciekawy pomysł na to, co można z nich zrobić: ocet owocowy. „Zajęcie się tym przetworem wymaga mało kosztów i czasu i pozwala nam zużytkować odpadki. Materiału mamy zawsze pod dostatkiem, gdyż możemy użyć wszelkich owoców i odpadów owocowych, mogą to być także wytłoczyny, okrawki, skórki i gniazda ziarnkowe” – zachęca autor artykułu. A jak to zrobić: „Przygotowany materiał czysty zdrowy wrzucamy do naczynia drewnianego lub kamiennego, wypełniając je do trzech czwartych objętości, poczem zalewamy wrzącą wodą pokrywając owoc na 10–15 cm. Wodę na ten cel zagotowujemy i wrzącą zalewamy owoc. Po pewnym czasie, np. po 4–5 dniach, dorzucamy trochę gorszych owoców jabłek i gruszek i znów zalewamy je wrzącą wodą. Gdy garnek jest napełniony, należy zlać wszystko do dużego gąsiora szklanego lub garnka kamiennego, otwór obwiązać muślinem i postawić na działanie słoneczne. Po 8–10 tygodniach woda zamieni się w doskonały ocet złotej barwy, który trzeba przefiltrować przez bibułę i wlać w butelki”. Redakcja „Przeglądu Katolickiego”, gdzie ukazał się ten przepis, twierdziła, że „dla osób mających skłonność do artretyzmu lub chorób żołądkowych jest to jedyny ocet nieszkodliwy”, a pod względem smaku „może naprawdę współzawodniczyć z octem winnym”.

Na zdjęciu gąsior z octem owocowym ilustrujący artykuł z 1934 r.

Smacznego!

(mk)

Z WOLEJA

Nie wszystko złoto, co się świeci...

Ryszard Czarnecki

Nie wiedziałem, że na Półwyspie Iberyjskim stare polskie przysłowia są tak bardzo w cenie. Jednym z nich: „Na złość babci odmrożę sobie uszy”, kierował się Real Madryt, bojkotując coroczną uroczystość przyznania Złotej Piłki. Królewscy śmiertelnie się obrazili, że ich zawodnik Vinícius Júnior nie dostał głównej nagrody, zajmując „tylko” drugie miejsce. Kto bogatemu zabroni? Cóż, klasy nie kupisz. Władze klubu ze stolicy Hiszpanii uznały, że ich zawodnikowi wygrana należy się jak psu kość, a jak nie – to wypad. W rezultacie Real nie odebrał też nagrody dla najlepszego klubu piłkarskiego na świecie.

To, co zrobili Galacticos, jest chamstwem, ale organizatorzy plebiscytu Ballon d'Or są nie mniejszymi bucami. Najwięcej może o tym powiedzieć Robert Lewandowski, któremu ukradli to najbardziej prestiżowe futbolowe wyróżnienie, odwołując w czasie pandemii plebiscyt France Football. Tyle że nawet podczas zarazy mecze się odbywały, a nasz rodak wygrał z Bayernem Monachium Ligę Mistrzów, Bundesligę i wszystko, co można było zdobyć. Rok później „Lewemu” Złota Piłka znowu się należała, ale w kuriozalnym głosowaniu (jego zasady zostały w końcu zmienione) dzięki głosom z najbardziej egzotycznych piłkarsko krajów, które głosowały na sławę Argentyńczyka Leo Messiego, a nie na realne dokonania Polaka – też jej nie dostał. Poczucie sprawiedliwość uratowała FIFA, przyznając naszej reprezentacyjnej „dziewiątce” tytuł piłkarza roku.

Nie chodzi tu tylko o subiektywne głosowania, nie raz i nie dwa kontrowersyjne. Chodzi o interesy i wielkie pieniądze. Od stycznia tego roku francuska policja prowadzi śledztwo w sprawie machlojek przy przyznaniu Złotej Piłki Anno Domini 2021 zawodnikowi francuskiego klubu PSG, czyli wspomnianemu Messiemu, a nie Polakowi. Francuska nagroda, francuska drużyna, której gracz nigdy w historii nie miał owej nagrody, a w tle wielkie pieniądze właściciela klubu z Półwyspu Arabskiego. Źli ludzie od razu zaczną gadać, że amerykański (z kolei) wymiar sprawiedliwości przeprowadził gigantyczne śledztwo w sprawie przyznania krajowi z tegoż Półwyspu Arabskiego organizacji ostatniego mundialu kosztem USA, co tak pobudziło Jankesów. Ale ja mam gołębie serce, więc nie będę tych wszystkich kropek łączyć.

Złota Piłka już dawno straciła reputację. Odzyska ją dopiero za rok, gdy Lewandowski w końcu ją otrzyma. Real i Vinícius stracili reputację dopiero co. Czy ją odzyskają?

eprasa.pl e34f39cd17

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

AI – grajmy na dwie ręce

Rozważania, które przeprowadziliśmy w książce „AI Eksploracja" (Zona Zero, 2024) utwierdziły nas w przekonaniu, że obecnie przyjęta ścieżka rozwoju AI ku tzw. ogólnej sztucznej inteligencji jest niebezpieczna dla ludzkości. Jak najszybciej należy co najmniej na jakiś czas zatrzymać badania nad najpotężniejszymi dziś modelami AI.

Ponieważ badania te są prowadzone przez wiele firm sporej grupy krajów, niezbędne są jakieś międzynarodowe porozumienia. Także Polska powinna głosić ich potrzebę i zabiegać o nie. Zanim to się stanie, stoimy w obliczu pytania: jaką strategię wobec idącego niebezpiecznym torem rozwoju AI już teraz powinna przyjąć Polska?

Naszym zdaniem polityka władz RP musi być dwutorowa: na poziomie międzynarodowym powinna działać na rzecz wyhamowania niebezpiecznych kierunków badań, ale na poziomie krajowym musi paradoksalnie przyspieszyć.

Jaką strategię wobec idącego niebezpiecznym torem rozwoju AI już teraz powinna przyjąć Polska?

MNOŻNIK SIŁY

AI już stała się znaczącym czynnikiem zmian. Wywiera wpływ na komunikację publiczną, edukację, rynek pracy i badania naukowe. Przyciąga miliardowe inwestycje, w tym poświęcone celom militarnym. To wcale nie musi (choć może) prowadzić do czegoś dobrego, ale jakie by nie były skutki tych zmian, Polska nie może ich lekceważyć. Nasze państwo oraz gospodarka muszą mieć instytucje i kadry, które będą w stanie kompetentnie monitorować to, co na polu AI robią ci, którzy są najbardziej zaawansowani. Dla polskich polityków to nie może być czarna magia.

Pamiętajmy, że dojrzałe organizmy państwowe potrafią prowadzić politykę wielowymiarową, co najmniej na dwie ręce. W tym przypadku na jednym polu angażować się po stronie wyhamowywania niebezpiecznych kierunków rozwoju AI, zaś na innych dynamicznie rozwijać technologie obronne oraz biznesowe zgodne z interesami naszego społeczeństwa.

PIĄTKA DLA AI

W lipcu 2024 r. na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" ukazał się tekst Anny Wittenberg i Anity Dmitruczuk, gdzie naszkicowano projekt pod hasłem „Piątka dla AI". Objął on następujące zagadnienia: pieniądze, infrastrukturę, uniwersytet AI, DARPĘ dla Polski oraz energię. Wydają się one dobrze dobrane i jasne, ale warto przypomnieć, czym jest amerykańska DARPA.

Skrót rozwija się jako Defense Advanced Research Projects Agency – Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych Departamentu Obrony. Działa ona już od wielu dekad, przyczyniając się do wielu odkryć naukowych i przełomowych rozwiązań inżynierskich. Być może kluczem do sukcesu było przyjęcie zasady, że DARPA zachęca do składania projektów ryzykownych, w tym takich, które na gruncie aktualnej wiedzy mogą się wydać nierealizowalne. Od razu zatem widać, że polska piątka dla AI nie powiedzie się bez porzucenia dotychczasowego biurokratycznego, asekuranckiego, bazującego na podejrzliwości stylu finansowania badań rozwojowych.

Niestety zamiast podjąć systematyczną, publiczną analizę koncepcji tej piątki, wygląda, jakby opinia publiczna dała się zaspokoić niedawną płytką zadymą wokół projektu IDEAS NCBiR.

NAJPIERW POLITYKA

Nasze państwo w porozumieniu z *polskim* biznesem i kapitałem powinno inwestować środki w wymiarze *miliardów* złotych także po to, byśmy nie zostali znienacka zaskoczeni osiągnięciami innych państw i korporacji, które pozbawiłyby naszą gospodarkę przewag konkurencyjnych.

Na koniec postulat: ze względów bezpieczeństwa rozwój polskiej AI powinien podlegać nadzorowi organów władzy publicznej. Powinno się to odbywać przy ścisłej, zasadniczo transparentnej współpracy polityków z przedstawicielami biznesu i badaczami. Kłopot m.in. w tym, że dzisiaj trudno wyobrazić sobie, by rządzący Polską byli w stanie zorganizować to na dobrym poziomie i ponad podziałami.

Może zatem kolejność działań musi mieć charakter polityczny: przezwyciężenie nadmiernej polaryzacji, cofnięcie się wszystkich zaangażowanych w spór polityczny co najmniej o krok i następnie wspólne wejście w projekt rozwojowy AI o dużej skali? Być może nie mniejszego kalibru niż Centralny Port Komunikacyjny. Brzmi nierealnie? Może tylko dla starszego pokolenia naszej klasy politycznej...

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl e34f39cd17

Zawsze w trendzie wzrostowym

Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

Portal pełen informacji i opinii o gospodarce

Pobierz aplikację na:

DOSTĘPNE W Google play

Dostępne w App Store

eprasa.pl e34f39cd17

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	339	121
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	dekoder Mediabox	dekod KAON
					PLAY	dawniej UPC

eprasa.pl e34f39cd17